

Podróż do Kiribati

Erich von Daniken

List do moich Czytelników

Nie da się tak zdmuchnąć kurzu,
żeby ludzie nie zaczęli kasłać.
*Filip, księżę Edynburga,
małżonek królowej Elżbiety II*

Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku!

Pewien mądry człowiek, zajmujący się naszymi czytelniczymi gustami, bodajże profesor Alphons Silbermann, stwierdził, że jedno „pokolenie czytelnicze” trwa cztery lata. Proszę policzyć, chyba się zgadza. Pierwsze pokolenie czytelnicze - od drugiego do czwartego roku życia

- interesuje się kartonowymi książeczkami z obrazkami. Potem przychodzą te straszne podręczniki szkolne oraz bajki - dziś komiksy!

- a dla dziewczyn i chłopaków o rozbudzonych zainteresowaniach powieści młodzieżowe, awanturnicze, podróżnicze i opisy świata zwierząt; tak jest do dziesiątego roku życia. Dojrzałsi oddają się już wówczas lekturze powieści dla dorosłych i pierwszych interesujących książek popularnonaukowych. Z nadejściem osiemnastego roku życia pojawiają się upodobania tematyczne, niekiedy pozostające na całe życie albo

- pod wpływem pracy zawodowej, życia prywatnego, hobby czy nadzwyczajnych zdarzeń - zmieniające rytm pokoleń czytelniczych.

Jeśli wezmę pod uwagę ten rytm, to od 1968 roku, gdy ukazała się moja pierwsza książka, wyrosło już trzy i pół pokolenia czytelnicze. Ktoś, kto w 1968 roku miał szesnaście lat, dziś ma lat trzydzieści! Być może, Drogi Czytelniku, poznaliśmy się już wtedy, może jesteś jednym ze stałych czytelników, którzy czekają na moje kolejne książki, ukazujące się co dwa lata.

Na pewno jednak wielu młodych ludzi zauważy, że w każdej nowej książce podbudowuję swoje „stare” tezy najświeższymi zdobyczami nauki. Taki już los każdej hipotezy - nawet najbardziej naukowej - trzeba ją stale aktualizować! I tu, muszę przyznać, za każdym razem stoję przed dylematem: moi stali Czytelnicy znają podstawy tych teorii, jakie jednak „narzędzie” mam dać moim nowym Czytelnikom, żeby, zawieszeni między niebem a ziemią, poczuli „twardy grunt pod nogami”? Z jednej bowiem strony nie chciałbym nużyć swoich dawnych czytelników, a z drugiej wpuszczać nowych w maliny bez kompasu.

Nie pozostaje mi nic innego, jak w telegraficznym skrócie przedstawić to, co twierdzę od czterestu lat:

- w prehistorycznych czasach Ziemię odwiedziły nieznanne istoty z Kosmosu. W literaturze na ten temat określa się je mianem „istot pozaziemskich” albo „kosmitów”;
- istoty pozaziemskie stworzyły ludzką inteligencję przez zmianę materiału genetycznego prymitywnych jeszcze wtedy mieszkańców Ziemi. Moim zdaniem, ludzka inteligencja nie powstała za sprawą przypadku, nie jest to główna wygrana na loterii, stwarzającej miliardy możliwości, ale celowa ingerencja nieznanymi istotami z Wszechświata;
- wizyty nieznanymi istotami spowodowały powstanie na Ziemi najstarszych religii, doprowadziły do narodzin mitów i legend, których sedno przekazuje realność ówczesnych zdarzeń.

Gdyby te hipotezy, zaledwie nakreślone, nie były tak kontrowersyjne, nie wywołałyby ogólnoswiatowej dyskusji na ten temat. W istocie bowiem podpiłowuję filary, na których wspiera się cała budowla tradycyjnego myślenia. Dysponując danymi zdobytymi przez dwadzieścia lat, jestem takim traperem, wędrującym między najróżniejszymi dziedzinami wiedzy: archeologią, etnografią, badaniami nad pochodzeniem gatunków, lotami kosmicznymi..., a jak trzeba, także teologią. Oczywiście w trakcie tych wędrówek wielu osobom nadepnałem na odciski. To nieuniknione. Oczywiście jest też, że - w szczególnych przypadkach - zdarzało mi się pobiłdzić. Przyznaję się do pomyłek.

Ale - co utwierdza mnie w dążeniach - w moich hipotezach coś jednak jest, bo stałem się przedmiotem ataku autorów książek, publikowanych we wszystkich najważniejszych językach świata. A ponieważ odniosłem światowy sukces, atakuje mnie, nierzadko poniżej pasa, cała falanga autorów, którzy wyrabiają sobie w ten sposób nazwisko. No cóż, tonący brzytwy się chwytą. Jestem wyrozumiały. Z drugiej wszakże strony publikuje się prace, które z całą powagą, a nawet przychylnością, akceptują moje tezy. Wśród ich autorów są uznani naukowcy.

Temat ten, jak żaden inny w tym stuleciu, wywołał światowe echo. A przyczyniły się do tego nie tylko moje

filmy „Wspomnienia z przyszłości” i „Posłanie bogów”. Inspirowane moimi przemyśleniami były też zapewne amerykańskie obrazy „Wojna gwiazd” oraz „Imperium kontratakuję”. Moi stali Czytelnicy widzą na ekranie sytuacje dobrze im znane.

Śpiewająca po angielsku grupa Exiled w swojej najnowszej piosence idzie na całość. Oto tłumaczenie: „Było to przed tysiącami lat. Potężna armada statków kosmicznych pokonywała gwiazdne morze, poszukując planety, na której mogłoby przetrwać i rozwijać się ich życie. Odkryto i zasiedlono planetę Ziemia. Dopiero teraz zaczynamy odczytywać przekazy opowiadające o tym fantastycznym zdarzeniu [...]. Od tej chwili zrozumiemy więcej z rzeczy dziejących się w niebie i na Ziemi [...]”. W przypadku powyższego tekstu jestem „bez winy”, ale cieszę się, że moje tezy stały się tak popularne, że przejęła je muzyka rozrywkowa. Napawa mnie otuchą, że właśnie młode pokolenie rozumuje tak trzeźwo, gdy chodzi o idee brzemiennie dla przyszłości.

Drodzy Czytelnicy, posłuchajmy proroka Ezechiela, żyjącego w VI w. przed Chrystusem: „Synu człowieczy! Mieszkasz pośród domu przekory, który ma oczy, aby widzieć, a jednak nie widzi, ma uszy, aby słyszeć a jednak nie słyszy, gdyż to dom przekory”.

Ze swej strony mogę obiecać, że nadal będę robił dużo szumu, zdmuchując kurz ze starych problemów, nawet jeśli wielu doprowadzi to do ataków kaszlu!

Zapraszam więc swoich starych i nowych Czytelników, aby towarzyszyli mi w kilku podróżach. Dowiedzą się Państwo nowych rzeczy i przeczytają o przeciwnościach, na jakie trafia „niedzielny badacz” w trakcie peregrynacji po świecie.

Z serdecznościami *Erich von Daniken*

I. Podróż na Kiribati

*Zaskoczenie i zdziwienie są początkiem
zrozumienia.
Ortega y Gasset*

Pastor wabi mnie do odległego celu - Gdzie jest Kiribati? - Wieczór, który przeżyliśmy jak szejkowie - Strajk na wyspach pokoju — Teorie na temat początków Kiribati - Teeta, nasz czarny anioł - Odkrywamy wspaniałą bibliotekę w Bairiki - O Nareau i innych istotach pozaziemskich - Lecimy na Abaiang - Magiczny krąg - Przed grobem olbrzyma na Arorae — Kamienie nawigacyjne na Arorae - Bogowie stworzenia wylaniają się z mroków ciemności - Jak uwiecznili się olbrzymi - Pożegnanie z nowymi przyjaciółmi i pradawnymi zagadkami

Nigdy nie wybrałbym się na Kiribati, gdyby nie list z Kapsztadu w Republice Południowej Afryki:

„Dear Mr von Daniken,

jest Pan zapewne człowiekiem zajęтым, więc od razu przejdę do rzeczy.

Zdecydowałem się napisać do Pana, bo istnieją przekonujące dowody na istnienie bogów, przybyłych z nieba. Gdy prowadziłem działalność misyjną w regionie Pacyfiku, pokazano mi groby dwóch olbrzymów, którzy wedle miejscowych przekazów przybyli z nieba.

Groby są w dobrym stanie. Mają po około pięć metrów długości. Na skałach widać też skamieniałe odciski stóp, a jest ich tak wiele, że bez trudu można je znaleźć i sfotografować. Jest tam też »kamienny kompas«, a nawet miejsce, gdzie -jak chce legenda - wylądowali bogowie. To nader interesujące miejsce. Jest to krąg, w którym nic nie rośnie. Jeśli informacje te Pana zainteresują, będę się czuł zaszczycony, mogąc służyć dalszymi szczegółami. Jeśli zaś okaże się, że wie Pan o tym z innego źródła, zrozumieć, jeśli Pan nie odpisze. Z najlepszymi życzeniami i podziękowaniami za miłe godziny spędzone na lekturze

Pański pastor C. Scarborough".

List ten dostałem do rąk z końcem maja 1978 roku. Pastor, który interesuje się moimi ideami?

Odpisałem od razu, dziękując za list i prosząc o wspomniane informacje. Zadałem też od razu pytanie, czy istnieje jakaś literatura na ten temat albo fotografie tajemniczych miejsc, proponując oczywiście, że pokryję wszelkie koszty. Po miesiącu wielebny Scarborough odpisał:

„Dear Mr von Daniken,

dziękuję za Pański list. Chciałbym Panu wyjaśnić, że nie oczekuję rekompensaty za moje wydatki. Będę szczęśliwy, mogąc pomóc Panu w poszukiwaniach.

W kwestii dostępnej literatury muszę Panu powiedzieć, że literatura o Kiribati w zasadzie nie istnieje, a na temat dziwnych miejsc, o których wspomniałem, nie ma świadectw pisanych. Szkoda. Mogę sobie wyobrazić, że dostaje Pan różne wskazówki od fantastów z całego świata. Sądzę więc, że powinienem napisać Panu coś o sobie. Obecnie jestem pastorem kongregacji Sea Point w Republice Południowej Afryki.

Przedtem wraz z żoną i dwojgiem dzieci mieszkaliśmy na Kiribati, gdzie prowadziłem działalność misyjną jako przedstawiciel London Missionary Society. Mieszkaliśmy na wyspach trzy i pół roku i nauczyliśmy się w tym czasie biegle miejscowego języka. Byliśmy na wszystkich szesnastu wyspach archipelagu, spędzając często na każdej z nich po wiele tygodni, a nawet miesięcy. Jako że znaliśmy język, powierzano nam w sekrecie nieznaną, często niewytłumaczalną historię wyspiarzy.

Pierwsze, co mnie zdumiało, to fakt, że wyspiarze na określenie *człowiek* mają dwa słowa. Sami określali się mianem *aomata*, co znaczy *ludzie*. Ale każdy człowiek o innej barwie skóry, a szczególnie dużego wzrostu, jest nazywany *te i-matang*, co znaczy dosłownie *człowiek z krainy bogów*. Gdy poznaliśmy wyspiarzy bliżej, zorientowaliśmy się, że takie rozróżnienie miejscowych i obcych stosuje się na wszystkich wyspach archipelagu.

W razie, gdyby zechciał się Pan zająć tymi sprawami, muszę Pana przestrzec, że wyspiarze bywają czasem bardzo nieufni wobec obcych, jeśli nie postępuje się z nimi w odpowiedni sposób. Są bardzo religijni, wychowywali ich kapłani protestancy i katolicy, z których wielu to tubylcy. Obcy, który nie potrafi się z nimi porozumieć, nie słucha ich rad, niech tam nie przyjeżdża.

Wśród wyspiarzy proszę nie pokazywać się za często w towarzystwie Europejczyków czy przedstawicieli władz.

Pomoc władz będzie jednak Panu potrzebna, bo trzeba uzyskać zezwolenie na podróżowanie po wyspach. Jestem pewien, że dzięki doświadczeniu jest Pan mistrzem dyplomacji".

List zawierał też wskazówki, jak odnaleźć groby olbrzymów, oraz opis kamieni nawigacyjnych w południowej części „pewnej” wyspy. Pastor widział linie, wryte na kamieniach, kierujące się ku odległym celom. Istotna jest też uwaga, że kamienie zostały tu skądś przetransportowane, bo takiego gatunku skały nie ma na wyspach. Sprawę „ładowiska bogów” mój korespondent skomentował w sposób następujący:

„Proponuję Panu dwie możliwości, bo zapomniałem, na której z wysp znajduje się ów krąg. Albo jest to Tarawa Północna, albo Abaiang. Obie wyspy leżą tak blisko siebie, że z każdej widać drugą gołym okiem.

Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, była to Abaiang. Tamtejszy *tabunia* - szaman, czarownik - strzeże tajemniczego miejsca. Wyspiarze je znają, powiedzą też Panu, z której strony może się Pan zbliżyć do kręgu. W tajemnicy przed duchownymi udają się tam składać ofiary dawnym »bogom«.

Dlatego też będzie Panu potrzebna pomoc *tabunii*, który pójdzie z Panem, tak jak ze mną, przez busz aż do kręgu. Tam nic nie rośnie. Ani krzak, ani drzewo, nic żywego nie widać w kręgu. Czarownik powie Panu, że każde stworzenie umiera, jeśli tamtędy przejdzie. Dlaczego? Promieniowanie radioaktywne? Na miejscu zobaczy Pan inną ciekawą rzecz: pnie drzew rosnących ku kręgowi robią elegancki łuk, odchylając się w przeciwną stronę. Nic nie rośnie wewnątrz kręgu.

Przybyły tam w 1965 roku *resident commissioner* sądził, że miejsce to jest radioaktywne. Ale jak do tego doszło? Pamiętam wszakże pewną tubylczą legendę, wedle której miejsce to było podobno lądowiskiem bogów".

Daleki, nieznany wielebny ojciec trafił mnie w czułe miejsce. Zacząłem sposobić się do wyprawy. Gdzie jest Kiribati?

Gdzie jest Kiribati

Na półkach mojej biblioteki stoją cztery wielkie atlasy. Nie wymieniają Kiribati. Słynne encyklopedie - Brockhaus, Larousse, Encyclopaedia Britannica - zawierają informacje na temat 1200 gatunków pcheł, ale nie wymieniają Kiribati. Mądre książki z lat siedemdziesiątych również nie zawierają nazwy tego archipelagu, zagubionego na Oceanie Spokojnym. Ale wyspy te istnieją, są bardzo interesujące, choć rzeczywiście wyglądają jak pchełki rzucone na nieskończony przestwór oceanu.

Ale ponieważ był tam mój pobożny informator, mieszkający teraz na drugim końcu świata, to muszą się znaleźć. Wypytywałem kogo się dało: „Słyszał pan o Kiribati?” Ale za każdym razem zamiast odpowiedzi obrzucano mnie bezradnym spojrzeniem: Kiribati? W końcu napisałem do Kapsztadu i zapytałem pastora;

„Gdzie jest Kiribati? Jak można się tam dostać, czy latają tam samoloty?

Czy można tam znaleźć jakieś przyzwoite lokum, czy jest hotel, kwatery prywatne?

Jaka waluta obowiązuje na Kiribati?

Jakie prezenty wiać dla kapłanów, czarowników, jakie dla tubylców?

Czy w trakcie pobytu muszę się liczyć z jakimiś niebezpieczeństwami w rodzaju jadowitych węży, skorpionów albo pajaków?

Czy ma Pan tam przyjaciół, znajomych? Czy może mi Pan podać adresy, gdzie mógłbym pójść i powołać się na Pana?”

Wielebny Scarborough odpisał szybko i rzeczowo. Mgła nad Kiribati zaczęła się rozwiewać.

Dowiedziałem się, że archipelag ten składa się z szesnastu wysp, należących kiedyś do kolonii brytyjskiej, a znanych jako Wyspy Gilberta. W 1977 roku archipelag uzyskał niepodległość i... zmienił nazwę. Jest położony na Oceanie Spokojnym, ma w sumie 973 km² powierzchni, a mieszka tam około 52 000 Mikronezyjczyków.

Na główną wyspę archipelagu, Tarawę, gdzie jest port i siedziba władz, latają samoloty z Republiki Nauru i z Suwy, stolicy Fidżi.

Na upominki wielebny radzi mi wiać nowoczesne scyzoryki z wieloma ostrzami dla ważniejszych tubylców, tanie okulary słoneczne dla rybaków i aspirynę dla kapłanów i dam z wysp.

Nie ma tam węży i pajaków, pisze mr Scarborough uspokajająco, są natomiast skorpiony, ale ich ukąszenie nie jest groźniejsze od ukąszenia osy. List zawierał jednak ostrzeżenie:

„Najpoważniejsze niebezpieczeństwo czai się w morzu! Niech Pan się nigdy w morzu nie kąpie, nawet jeśli wypiarze będą twierdzić inaczej. Prawdziwym niebezpieczeństwem są dla pływaków rekiny i inne morskie stworzenia. Chciałbym, żeby wiać Pan sobie tę radę do serca: *Never bath in the sea!*”

Zawsze kiedy wracam pamięcią do tego listu, uświadamiam sobie, że bez takiego zdecydowanego ostrzeżenia bez wątpienia wstąpiłbym w odmętę.

Mój nieznany protektor poradził mi nawiązać kontakt ze swoimi starymi przyjaciółmi, pastorami Kamoriki i Eritaią. Są to ludzie uprzejmi i na pewno mi pomogą, podobnie zresztą jak znający wyspy jak własną kieszeń kapitan Ward ze statku „Moana-Roi”. Zwłaszcza Ward zna dobrze miejscowe legendy i święte miejsca wypiarzy.

Trzy razy na Kiribati i z powrotem

Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, jakobym był człowiekiem majątnym, który fundusze na takie wyprawy wyciąga z kieszeni, udając się w jakiś rejon świata zawsze wyznaczam sobie kilka leżących tam celów, żeby wydatki na podróż nie przekroczyły wpływów. Za często bowiem dopiero po moim przyjeździe na miejsce okazuje się, że otrzymane informacje są nieprawdziwe, że były rojeniami „fantastów”, jak pisał wielebny, a wtedy pieniądze i czas są stracone. Ale w 1980 roku była nadzieja, że wszystko szczęśliwie się ułoży, bo latem w Nowej Zelandii miał odbyć się VII Światowy Kongres Ancient Astronaut Society, AAS jest międzynarodową organizacją, zajmującą się tematyką pokrywającą się z moimi zainteresowaniami.

Nowa Zelandia! To połowa biletu do Kiribati!

Podyktowałem list do pastora Kamoriki z Tarawy. Z początkiem 1980 roku nadeszła odpowiedź. Drżące pismo

świadczyło o podeszłym wieku kapłana. Kapitan Ward - czytałem - odszedł kilka lat temu na emeryturę i wrócił do Anglii, ale pastor i jego rodzina z radością przyjmą mnie i moich przyjaciół. Oczywiście będziemy w ich domu gośćmi. Dobra nowina. Po serdecznych pozdrowieniach udało mi się jeszcze odczytać postscriptum nagryzmołone drobnym, koślawym pismem: „Czy ma Pan wizę wjazdową?”

Razem z moim sekretarzem, Willim Diinnenbergerem, zawiśliśmy na telefonach, próbując się dowiedzieć, która ambasada wydaje wizy Kiribati? Przez ostatnie dziesięć lat jeździliśmy do najróżniejszych dziur na końcu świata, ale przedstawicielstwa i ambasady krajów, do których jechaliśmy, znajdowały się w naszej stolicy. Na szwajcarskiej dyplomatycznej mapie świata Kiribati to biała plama. Jakiś urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych poradził nam: „Niech panowie zadzwonią do Australijczyków albo Anglików!” W Ambasadzie Australii dowiedzieliśmy się, że kraj ten prowadzi wprawdzie handel z archipelagiem, pomaga mu w rozwoju, ale nie ma uprawnień do wydawania wiz Kiribati. Londyński Urząd ds. Krajów Pacyfiku poinformował: Szwajcarzy dostają zezwolenie na pobyt przy wjeździe na Tarawę, jeżeli się zobowiążą, że nie pozostaną na archipelagu dłużej niż trzy miesiące i mają bilet powrotny. Trzy miesiące! Nie chcemy przecież na Kiribati osiaść na stałe!

Zaczęliśmy się pakować. Cztery aparaty fotograficzne z futerałami na obiektywy, filmy, dyktafon, niewielki licznik Geigera-Miillera, apteczka podróżna, scyzoryki, okulary przeciwsłoneczne, aspiryna. Oszczędzaliśmy na wszystkim, ale i tak wyrosła góra bagażu, pod którą ugięło się dwóch mężczyzn. Byliśmy już w rozpaczy, gdy niespodziewanie zgłosił się nasz stary, choć młody wiekiem przyjaciel, Rico Mercurio, jeden z tych nielicznych młodych ludzi, którym nigdy nie jest za wiele trudu, którzy nie liczą czasu, kiedy trzeba coś zrobić, Rico pracuje dla pewnej szacownej zuryjskiej firmy, szlifując diamenty i jeszcze kosztowniejsze kamienie szlachetne, wmontowywane potem w ozdobne zegarki, którymi szejkowie naftowi - no, bo kto? - obsypują swoje żony w haremach. Rico stwierdził, że po dwóch latach bez urlopu dobrze mu robi „wypad” na Kiribati, gdziekolwiek to jest. Utwierdziliśmy go w tym przekonaniu.

3 lipca 1980 roku nasze obładowane trio poleciało samolotem DC-10 linii lotniczych Swissair, lot nr 176. przez Bombaj do Singapuru. Tam przesiedliśmy się na lot nr 28. linii Air New Zealand do Auckland. Lecąc z Zurychu do Auckland jest się w powietrzu przez 25 godzin.

Straszne są te loty na wielkie odległości! Najpierw człowiek czyta stopy gazet, do których nie miał czasu zajrzeć przez ostatnie dni. Bardziej z nudów niż z głodu wbija w siebie suty posiłek. Zakłada słuchawki, potem stara się zasnąć, czemu nie sprzyja zakłócenie rytmu biologicznego zmianami stref czasowych. Zagląda więc do kryminału Agaty Christie *Śmierć nad Nilem*, ale nawet pasjonująca akcja nie jest w stanie zabić czasu. Wcale nie czuje się prędkości 850 km/h, bo nie ma punktu odniesienia: u dołu tylko woda, potem australijskie pustkowia i znów woda. Od Zurychu załoga zmieniła się trzy razy, pasażerowie siedzą, czy raczej zwisają w fotelach, karmieni w regularnych odstępach czasu, z kabiny pilotów napływają jakieś informacje. Czas drepce w miejscu. Dlaczego właściwie przeciwnicy postępu wysyłają naddźwiękowego Concorde'a do diabła? I dlaczego nie produkuje się dawno zaplanowanego amerykańskiego supersamolotu SST? Z nudów zaczyna nam coś chodzić po głowie. Zastanawiamy się, jakie zajęcia można by zaoferować pasażerom. Może elektroniczne gry? Może terapię zajęciową: szydełkowanie dla kobiet, klejenie papierowych torebek dla mężczyzn? To już coś! A po oddaniu tych skromnych „prac domowych”, wykonanych na pokładzie samolotu, odliczano by je od astronomicznej ceny biletu, wywindowanej wskutek naftowego szantażu OPEC. Może. Na wysokości 11 000 metrów myśleliśmy nawet o kasynie gry. *Rien ne va plus*. Naprawdę, po tak długim locie człowiek jest tak znużony, że nie ma ochoty na nic, zupełnie na nic.

Nowa Zelandia

Kocham Nową Zelandię. Ma w sobie coś z zielonych hal Jury w Szwajcarii, tamtejszych łąk i czyściutkich wsi. W Nowej Zelandii jest Wyżyna Szwajcarska i Alpy, hale, wspinaczki, wyciągi narciarskie, górskie jeziora z krystalicznie czystą wodą; wszystko jak w domu. Tyle że Nowa Zelandia ma coś, czego my nie mamy: morze! Kto więc chce mieć Szwajcarię nad morzem, musi wyemigrować do Nowej Zelandii. Dzięki bryzie, stałe wiejącej od Oceanu Spokojnego, tutejsze powietrze - mimo 40 milionów owiec - jest bardziej czyste i aromatyczne niż w Szwajcarii. Czterdzieści milionów owiec i tylko cztery miliony mieszkańców! Miejmy nadzieję, że pewnego dnia owce nie przejmą rządów wedle rewolucyjnego motta z *Folwarku zwierzęcego* George'a Orwella: „Cztery nogi dobre, dwie nogi złe!”

Przelet z Auckland na wyspę Nauru linią Air Nauru zaplanowaliśmy na 13 lipca. To nie feralna trzynastka sprawiła, że lot przesunięto o jeden dzień. Ta najdziwniejsza linia lotnicza świata nie stosuje się do zaplanowanych czasów odlotów. Czekamy. Jesteśmy zmęczeni i trochę głodni, jest więc zrozumiałe, że w restauracji portu lotniczego łykamy obrzydliwą miejscową specjalność, *spaghetti-sandwiches*. Między dwiema kronikami tostowego pieczywa jak z waty wiją się lepkie białe robaki w kleisto-słodkim sosie pomidorowym. Po podgrzaniu wcale nie są smaczniejsze. Czekamy i co godzina łykamy ten paskudny wynalazek kuchni nowozelandzkiej, i bez tego okropnej. Ze stereofonicznych głośników płyną przez 24 godziny na dobę motywy z „Białego konika”, rezolutna oberżystka z tego *lokalu* nad Wolfgangsee wysłałaby do diabła wszystkich

tutejszych kucharzy.

Noc w Nauru

Podczas lotu z Auckland na Nauru na pokładzie Boeinga 737 Air Nauru było trzech pasażerów - Rico, Willi i ja - oraz dziewięciu członków załogi. Air Nauru ma trzy dwusilnikowe Boeingi 727 i dwa trzysilnikowe Boeingi 737. Prezydent Republiki Nauru oświadczył podobno, że flota powietrzna Air Nauru jest potrzebna do przewożenia umów na fosforaty, czeków, inżynierów i zespołów naprawczych, ale jeśli zdarzy się „normalny” pasażer, to też wpuści się go na pokład. Są to przypadki rzadkie, bo wyspa nie zna pojęcia turystyka.

Wysepka Nauru o powierzchni 21 km² znajduje się prawie pod równikiem na 167° długości wschodniej. Otaczają pierścień raf koralowych, opadających stromo w głębinę, a składających się z wapiennych szkieletów, przede wszystkim koralu madreporowych. W rafach są też złoża fosforytów. Fosforyty stanowią bogactwo tej tropikalnej wysepki. Każdy z sześciu tysięcy jej mieszkańców żyje w mniejszym bądź większym stopniu z fosforytów, ich zdaniem najlepszych i najczystszych na świecie. W porcie zapyłone przenośniki taśmowe przerzucają z hałasem nawozy na frachtowce, które następnie popłyną do Australii i Nowej Zelandii. Według danych Nauru Phosphat Corporation z końca 1979 roku zapasy fosforytów starczą jeszcze na 14 lat, ale tylko w roku, w którym sporządzono tę prognozę, sprzedano ich za sumę 79 444 463 dolarów australijskich. Przy obecnym poziomie wydobycia złoża ulegną wyczerpaniu już za niecałe pięć lat. Potem bogactwo wysepki się skończy. Eksport orzechów kokosowych i warzyw niewiele daje.

Przed kilku laty dla pilotów Air Nauru oraz dla inżynierów i partnerów handlowych Phosphat Corporation rząd wybudował jedyny możliwy hotel, hotel Meneng, w którym podróżni, nawykli do lepszych noclegów, mogą przynajmniej przenocować w chłodzie. Już przy wejściu klimatyzacja mrozi człowiekowi spoconą twarz.

W restauracji kelnerki z poważnymi i dumnymi minami roznoszą jadłospisy z dość niewyszukaną ofertą na pierwszej stronie: pieczona ryba ze słodkimi kartoflami i kolbą kukurydzy duszoną w maśle. Ale na drugiej stronie karty sensacja: trzy gatunki win australijskich, dwa nowozelandzkich oraz Chateau Mouton Rothschild rocznik 1970 za 35 dolarów australijskich, czyli jedyne 70 franków szwajcarskich!

Uznaliśmy to za żart albo błąd drukarski. Rocznik 1970 to w regionie Bordeaux wino stulecia. W kraju nie da się go wytrzasnąć za mniej niż 400 franków, a w eleganckich restauracjach trzeba na nie wyłożyć, lekko licząc, dwa razy tyle. Chateau Mouton Rothschild to napój szejków, którzy modlą się do Mahometa, aby odwrócił wzrok na chwilę, gdy łamią zakaz spożywania alkoholu. Nie jest to napój zwykłych śmiertelników. Rico powiedział:

- Przyjaciele, to nasz ostatni wieczór przed Kiribati. Nie wiemy, co nas czeka, stawiam butelkę!

Kelnerka spojrzała z konsternacją na paluch Rica, wycelowany na nazwę wspaniałego wina widoczną w karcie. Ale ponieważ palec wciąż przewiercał jadłospis, a rozkazujący wzrok Rica zdumioną panienkę, potruchtała więc w końcu za bufet i poszeptła z pięknymi koleżankami, które, chichocząc, zaczęły się nam przyglądać bez żenady.

Szczerząc zęby w uśmiechu kelner od win ze złośliwą satysfakcją otworzył butelkę. Zastanawialiśmy się już, co naprawdę jest w środku, ale już za chwilę mieliśmy na stoliku drogocenne naczynie - „butelka” nie jest w tym przypadku określeniem dość godnym! - prawdziwe Chateau Mouton Rothschild, rocznik siedemdziesiąty, z kolejnym numerem i obrazem Marca Chagalla na etykiecie. Rothschildowie zawsze ozdabiają etykiety swoich win Mouton dziełami słynnych malarzy.

Podnieśliśmy kieliszki do ust, a obserwujące nas panienki szeptały coś do siebie, chichocząc. To nie było wino, to był najprawdziwszy nektar, napój bogów! Postawiłem drugą butelkę. Za plecami rozbawionych pań pojawił się azjatycki kucharz, któremu z radości kiwała się na głowie wielka biała czapa. Panienki piszcząły, jak gdybyśmy niechcący napili się oleju rycynowego, który da nam w nocy do wiwatu. Dyskretnie zlustrowaliśmy swoje ubrania, czy nie ma w nich przypadkiem czegoś niestosownego lub zabawnego. Ale strój nasz był nienaganny, wedle tropikalnej mody.

Do sali wkroczył pilot Air Nauru, który prowadził nasz samolot. Znał miejscowy język, poprosiliśmy go więc, żeby się zorientował, dlaczego wszyscy śmieją się z nas od dwóch godzin. Skinął głową i ruszył - pilot w każdym calu - w kierunku grupki rozgdakanych kokoszek. Po chwili wrócił do naszego stolika z wynikami dochodzenia:

- Panowie! One się śmieją dlatego, że trafiły trzech kopniętych cudzoziemców, którzy są na tyle durni, żeby pić takie stare wino, płacąc za nie do tego po 35 dolarów za butelkę. To wszystko! *Bye-bye!*

Nie wstydziliśmy się wcale swojej głupoty. Willi zamówił trzecią butelkę, ja zaś - świadom, że jest to być może moje pierwsze, a zarazem zapewne ostatnie, spotkanie z niezapomnianym Chateau Mouton Rothschild rocznik siedemdziesiąty, zapisałem w notesie numery z etykiet: 242/443, 242/444, 242/445.

Przypomnieliśmy Rico, że pora wstać od stolika. Ale okazało się, że on - z konieczności bez słów - nawiązał już niedwuznaczny kontakt wzrokowy z piękną kelnerką: rodzaj esperanto, rozumianego przez samców i samice

na całym świecie.

Strajk na Kiribati

Boeing Air Nauru miał odlecieć na Tarawę, główną wyspę archipelagu Kiribati, 15 lipca wczesnym rankiem, o wpół do szóstej. Wystartował z godzinnym opóźnieniem. Czas ma tu, jeszcze tego doświadczymy, zupełnie inną wartość niż w naszym zagonionym świecie.

O siódmej byliśmy już na Tarawie, na niewielkim lotnisku, wśród ludzi o ciemnokawowej i czarnej barwie skóry, którzy wesoło i bez pośpiechu rozpoczęli właśnie nowy dzień. Nie zwracali na nas uwagi. Nikt nam nie wrywał - jak w Ameryce Południowej czy w krajach arabskich - walizek, nikt nie wabił do taksówki, W porannym równikowym słońcu wydawało się, że razem z bagażem jesteśmy tu elementem zbędnym.

Poszukując kogoś, kto mógłby mi pomóc, zwróciłem się do czekoladowego młodzieńca, przyglądającego się w zadumie krzątającej się barwnej ciżbie. Podobnie jak inni wyspiarze nie miał na sobie nic poza *tape* - prostokątną, różnobarwną chustą na biodrach.

Odezwałem się doń, on zaś, uśmiechnąwszy się, odparł gardłowo:

- *Ko-na-mauri!*

Nie rozumiałem, nie pojmowałem nawet, że już wczoraj powinniśmy włączyć owo „*ko-na-mauri*” do naszego słownictwa, znaczyło to bowiem „niech będzie pochwalony” czy „dzień dobry”.

Wyspiarz zapytał:

- *You speak English?*

Angielski, pozostałość z czasów kolonialnych, wyrwał mnie z zakłopotania, ale gdy spytałem o taksówkę, tubylec odpowiedział z żalem:

- *No taxi here.*

Próbowałem się dowiedzieć, czy jest tu hotel. Pastor Kamoriki nie odpowiedział mi w liście na to pytanie. Z grymasem zakłopotania i współczucia młodzieniec przyznał, że zwykłego hotelu tu nie ma, jest tylko rządowy.

- *Wait here!* - powiedział i na bosaka pokłusował, nie czując zapewne bólu, mimo że paznokcie miał wrośnięte w wielkie palce od nóg.

Samolot Air Nauru odleciał. Rozeszli się ludzie, witający członków swojego plemienia. Kilku pozostałych, którzy zamierzali tu chyba spędzić resztę dnia, skierowało na nas swoją ciekawość, proponując, że nam pomogą. Ale my czekaliśmy na naszego *boya*, który przytelepał się. w końcu niedużą ciężarówką, rozklekotaną ze starości. Zawiózł nas do rządowego hotelu Otintai!

W recepcji drzemał sobie jakiś człowiek, który po obudzeniu okazał się nader nerwowy. Wielkim błękitnym strzępem chusty otarł sobie krople potu, skapujące mu z wysokiego czoła do oczu. W dość zrozumiałym angielskim oznajmił, że rząd dopiero po południu rozstrzygnie, czy hotel również będzie objęty strajkiem, on więc z braku służby nie może na razie nikogo przyjąć. Spróbowałem się ostrożnie wywiedzieć, o co chodzi strajkującym.

- Ludzie chcą dłużej pracować - powiedział recepcjonista ze znużeniem i chustą ponownie zatamował strumyk potu nad oczami.

- Chcą dłużej pracować? - spytałem, mając jeszcze w pamięci europejskie żądania wprowadzenia trzydziesto- czy trzydziestopięciogodzinnego tygodnia pracy, siedmiu czy ośmiu tygodni urlopu i przejścia na emeryturę w wieku maksimum sześćdziesięciu lat, - Dłużej pracować? - powtórzyłem.

Nerwus wyjaśnił, że na Kiribati pracownicy fizyczni odchodzą na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat przy zmniejszonych poborach. Strajkujący chcą więc wywalczyć, żeby wiek emerytalny ustalono na co najmniej 55 lat, bo zła sytuacja ekonomiczna sprawia, że na żadnej z wysp nie można znaleźć dodatkowej pracy. Nie ma tu ani przemysłu, ani kopry, ani rzemiosła, fosforyty z wyspy Baanaba źle się eksportują - jedyną rzeczą, której tu nie brak, jest siła robocza.

Znajdując się jeszcze pod pierwszym wrażeniem po przyjeździe, pomyślałem bez zastanowienia: „Dlaczego wyspiarze chcą więcej pracować?” Wszelkie potrzeby życiowe zaspokaja im darmo przyroda: w morzu są ryby, palmy dają liście, z których wznosi się chaty, wystarczające w tym ciepłym klimacie, a także pożywne owoce. Od kiedy te cudowne wyspy uszczęśliwiono władzami i urzędami, pojawiły się zupełnie nowe problemy: eksport, oprocentowanie, przywleczono wirusa „angielskiej choroby”, strajku. Nie, cywilizacja szczęścia nie daje.

Ociekający potem czarnoskóry mężczyzna był na tyle uprzejmy, że pozwolił nam zostawić bagaże w kącie za swoim kontuarem. Byłoby niezbyt miłe, gdybyśmy objuczeni wdarli się do domu pastora.

Pastor Kamoriki nie żyje

Tarawa to typowy atol, koralowa tropikalna wyspa w kształcie podkowy, wznosząca się z wielkiej głęбини tylko kilka metrów nad poziom morza. Między Tarawa północną a południową rozciąga się laguna, połączona z

morzem naturalnymi przesmykami. Na północną część wyspy można dostać się tylko łodzią - fale morskie co i raz przerywają łąd - jest to też rejon prawie bezludny, w przeciwieństwie do części południowej, o dość dużej gęstości zaludnienia. Nasza niewielka ciężarówka podskakuje na wąskim pasku rafy koralowej.

Z samochodu widać niewiele budowli murowanych: są to budynki rządowe, kościoły, szpital, kilka domów bogatych wyspiarzy. Materiału dla typowego budownictwa dostarcza przyroda: chaty przypominają nieco bungalowy, wzniesiono je z pni i liści palm. Budowle te mają często tylko jedno pomieszczenie. Bardziej luksusowe, dwa do trzech. „Centrum informacyjnym” jest zawsze pokój centralny. Tu się plotkuje, je, śpiewa i śpi, a pewnie i płodzi potomstwo, bo gdzieżby indziej.

Mimo rannej pory i pędu powietrza duszny równikowy skwar sprawia, że jesteśmy złani potem, który tryska nam ze wszystkich porów skóry. Koszula i spodnie lepią się do ciała. Smugi dymu z palenisk przed domami dodają nieco aromatu słonemu powietrzu, zatracającemu zgnilizną. Nasz pojazd sunie wąską drogą, mijamy palmy, chlebowce i chaty. Wyspiarze machają do nas. Dzieci biegną obok warczącego samochodu. Tarawa wydaje się wyspą pokoju, strajk jednak trwa.

Z prawej widzimy spokojną wodę laguny, z lewej niewielkie wioski, a za nimi ciężkie fale Oceanu Spokojnego, od niepamiętnych czasów bezustannie bijące z hukiem w rafę. Pory roku tu nie istnieją. Co dzień słońce wschodzi o jednej porze i o jednej porze zachodzi.

Samochód prowadzony przez naszego *boya* dotacza się do dwóch nie otynkowanych chat. W otwartych oknach poruszają się różowo-czerwone zasłony, jakich nie widzieliśmy tu nigdzie indziej.

- To dom pastora Kamoriki - mówi nasz kierowca.

Z okna patrzą na nas kobiety, jedna starsza i dwie młodsze. Zniknęły jak duchy, gdy tylko skierowaliśmy na nie wzrok. Dom nie ma drzwi, wszystkie wejścia są otwarte. Różowoczerwone zasłonki są w środku ściągnięte, możemy zajrzeć do środka. Na prawo, w największym z trzech pomieszczeń, stoi wielkie patriarchalne łóżko, osłonięte moskitierą, pamiętające bardziej wystawne życie, w pozostałych pomieszczeniach mebli chyba nie ma. Nasz kierowca wchodzi do środka, rozmawia z jedną z młodszych kobiet. Na jego pogodnej twarzy pojawia się jednak wyraz zatroskania. Młodzieniec zbliża się do nas i ze smutkiem powtarza, czego się przed chwilą dowiedział:

- *Reverend Kamoriki is dead!*

Szok. Pastor Kamoriki nie żyje. Pamiętani jeszcze jego uprzejmy list, pisany drżącą ręką, list od bardzo starego człowieka. Ale wielebny Scarborough wymieniał też w korespondencji nazwisko swojego kolegi, Eritaii. Spytałem o niego. Tak, odparł nasz *cicerone*, pastor Eritaia mieszka w domu obok, ale jest bardzo, bardzo stary i na pewno nie przyjmuje gości. Ale może pomogą nam dzieci pastorów. Potem zaprowadził nas na sąsiednie podwórze.

Na jednej z mat kokosowych, rozłożonych na ziemi, siedział w kucki mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna o kawowej barwie skóry, gęstych czarnych włosach, typowych dla wyspiarzy, i medytował. Gdy wrócił do rzeczywistości i uświadomił sobie naszą obecność, wstał i powiedział z cieniem uśmiechu:

- *Ko-na-mauri!*

- *Good morning, Sir* — odparłem.

Bwere, syn Eritaii, rozumiał i mówił na tyle dobrze po angielsku, że mogłem mu opowiedzieć o korespondencji z wielebny Scarborough, o liście pastora Kamoriki i o swoich planach. A przede wszystkim, że interesują mnie mity wysp i przedsięwzięciem tę długą podróż, aby obejrzeć miejsca, spowite mgłą tajemnicy.

Z całkowitym spokojem Bwere popatrzył uważnie na swoich gości, na Williego i Rica, którzy, počąc się w milczeniu, stali za mną skromnie, oraz na mnie, grzecznie przedstawiającego swoją sprawę. Po tej „lustracji” zapytał:

- Jak długo chcą panowie zostać na archipelagu?

- Z tydzień - odparłem spokojnie, myśląc o ewentualnym przedłużeniu pobytu w razie konieczności.

Bwere z powrotem usiadł na macie i uśmiechnął się lekko, jeszcze raz spojrzął na nas przenikliwie, a potem już bez żenady wybuchnął głośnym śmiechem:

- Tydzień! Panowie zwariowali! Panowie chyba nie wiedzą, co to jest czas?! Chcą się panowie czegoś dowiedzieć w tydzień! Na poznanie naszych wysp, rozrzuconych po oceanie, trzeba miesięcy. - Spojrzął na nas z irytacją: - Niech panowie poleniuchują sobie parę dni na słońcu, a potem tu wrócą, jeśli starczy im czasu... Jest strajk, a więc i tak nic nie da się zrobić, w Otintai nie ma pokoi, nie ma nawet transportu...

Nagle poczułem się wściekły. Wściekły na samego siebie, na nasze życie pełne pośpiechu, na pętające nas terminy, wszelkie konieczności związane z zawodem, rodziną i finansami, oplatające nas niewidzialną pajęczyną. Bwere ma rację. Ale my już tu jesteśmy, to nie jest wycieczka za miasto, i nic nie powstrzyma nas przed obejrzeniem i sprawdzeniem wyznaczonych celów naszej podróży; mimo strajku, mimo że nie możemy sobie pozwolić na spędzenie tu miesięcy. Pastor Scarborough zalecał, aby w kontaktach z wyspiarzami zachować jak najdalej idącą dyplomację. Zrekapitulowałem szybko wszystkie swoje dotychczasowe wypowiedzi. Czy Bwere Eritaia poczuł się dotknięty moją zbytnią bezpośredniością? Czy tajemnice wyspy są *tabu*, czy chroni się je przed wzrokiem obcych? Spróbowałem dyplomatycznie:

- Widzieliśmy na tych wspaniałych wyspach niewiele, ale nawet to wywarło na nas ogromne wrażenie. Pańscy ziomkowie są mili i usłużni. Żałujemy, że nie możemy tu zostać dłużej. Nie chcemy nikomu sprawić kłopotu. Byłoby dla nas bardzo ważne, gdybyśmy mogli się dowiedzieć, czy jest tu biblioteka, w której moglibyśmy znaleźć coś na temat miejscowych mitów. Nasza wdzięczność byłaby ogromna.

Zirytowany jeszcze przed chwilą, Bwere uśmiechnął się: to właśnie on zajmuje się w rządzie sprawami kultury, ma pod kluczem bibliotekę i archiwum, które nam udostępni, jest też gotów nam pomóc w poszukiwaniach przekazów.

Mieliśmy za sobą etap pierwszy i zapewne najłatwiejszy. Tymczasem przypomniałem sobie, że na kilku wysepkach mikronezyjskiego archipelagu Karolinów są naturalne lądowiska, na których mogą siadać niewielkie samoloty śmigłowe. Czy takie naturalne pasy startowe istnieją też na wyspach Kiribati?

Bwere oświadczył z wyraźną dumą, że na większych wyspach archipelagu są naturalne pasy startowe i że latają tam regularnie samoloty Air Tungaru, niedużego towarzystwa lotniczego. Ale nie teraz, nie podczas strajku. Mógłbym wprawdzie zapytać szefa pilotów, czy ma dość odwagi, żeby złamać strajk, ale Bwere nie robi nam wielkich nadziei...

Od strony domu nadeszła ku nam piersiasta piękność i położyła przed Bwere trzy orzechy kokosowe. Ten otworzył je zręcznymi cięciami maczety i podał nam połówki z orzeźwiającym sokiem. Zdumiewające, ile rzeczy można zrobić z pustych łupin orzechów kokosowych, których biały miąższ ma mnóstwo witamin: kubki, doniczki, lampki na olej, a nawet biustonosze dla dojrzewających dziewcząt.

Pogawędka przy mleku kokosowym

Bwere zaprosił nas gestem, abyśmy usiedli na matach i rozpoczął wykład na temat swojego kraju. Zarówno on, jak i jego ziomkowie są Mikronezyjczykami, ale ich język jest spokrewniony z narzeczami melanezyjskimi.

Na temat pierwszych mieszkańców Kiribati, ciągnął Bwere, jest kilka teorii. Jedna twierdzi, że najdawniejsi przodkowie Kiribatczyków przybyli z Indonezji i w strefie równikowej zmieszali się z ciemnoskórą prarasą. Wedle innej pochodzą oni z kontynentu południowoamerykańskiego. Trzecia zaś wywodzi ich pochodzenie bezpośrednio od boskich istot, które niegdyś odwiedziły wyspy. Nadstawiłem ucha.

Dla Kiribatczyków magia jest częścią ich życia, powiedział Bwere. Był wprawdzie synem pastora i praktykującym chrześcijaninem, ale oczy załśniły mu wówczas głębokim, prawie fanatycznym blaskiem; Bwere jednak nie wyszedł poza to stwierdzenie. Nie dopytywałem się o to, aby nie zmaćcić zawiązującego się zaufania, poza tym przed wyjazdem zdobyłem stosowną literaturę, tam zaś napisano wiele o magii na archipelagu.

Z początkiem naszego stulecia na wyspach, będących jeszcze kolonią angielską, mieszkał Arthur Grimble, pełnomocnik Korony Brytyjskiej. Grimble poznał język Kiribatczyków, brał udział w ich obrzędach, a uznano go za swojego do tego stopnia, że - to wielkie wyróżnienie - został przyjęty do ekskluzywnego Klanu Słońca Karongo, jakby miejscowej loży masońskiej. Przeczytałem książkę Grimble'a [1] i książkę jego córki Rosemary [2], która wydała zapiski zmarłego po nadaniu im formy pracy naukowej. O magicznych rytuałach wyspiarzy - nasz przyjaciel Bwere nic o nich nie mówił - Rosemary Grimble pisze: „Jest zaklęcie, które chroni orzechy kokosowe przed złodziejami, inne wszakże pomaga kraść orzechy sąsiadom; jest jeszcze jedno, które zapobiega kradzieżom. Istnieje formuła czarnoksięska pozwalająca wczarować truciznę w pożywienie wroga, i jeszcze jedna, która temu zapobiega. Istnieje »wawi«, magia śmiertelna, i »bono-bon«, która ją unieszkodliwia" [2].

Dziś kościoły sześciu różnych wyznań starają się wypłenić ze zwyczajów Kiribatczyków skłonność do magii: katolicy, protestanci, adwentyści, mormoni, Church of God oraz Bahaii konkurują o prawdziwe zbawienie duszy, o zdobycie siły roboczej i o nieduże pieniądze Kiribatczyków [3]. Kościoły te roszczą sobie prawo do kontrolowania życia codziennego, wykorzystują zwyczaje pielęgnowane przez stulecia, ze względu na potrzebę zwiększenia liczby swych owieczek namawiają do nieokiełznanego rozmnażania się, współzawodniczą, który zbuduje największą świątynię. Bwere rzucił kilka niejasnych aluzji, z których wynikało, iż nie sądzi, aby wszystkie te poczynania były dla jego ziomków korzystne.

Jakby spod ziemi wyrosły: Teeta, nasz zbawca

Ni stąd, ni zowąd pojawił się wśród nas bosonogi olbrzym w po strzępionych białych szortach. Pod *T-shirtem* z napisem *Teeta* przeżyła się muskularna klatka piersiowa. W oczach miał radość dziecka i przy pierwszej przerwie w rozmowie każdemu z nas podał rękę.

- *Ko-na-mauri! I am Teeta, the son of Reverend Kamoriki!*

Trudno było zrozumieć jego angielski, wypowiediany niskim i dźwięcznym, może nieco zbyt gardłowym barytonem, ale Bwere przetłumaczył nam, że Teeta i jego rodzina zapraszają nas na kolację i że byliby szczęśliwi, gdyby mogli nam dać dach nad głową.

Podziękowaliśmy wyszukаныmi słowami, prosząc, abyśmy mogli przedtem sprawdzić, czy dostaliśmy pokój w hotelu rządowym Otintai, wspominałem też o naszych bagażach z obawą, że nadużyjemy gościnności. Na delikatną odmowę trzeba było dziesięć razy więcej słów niż Teecie na zaproszenie.

Bwere wiózł nas do Otintai dostawczą toyotą. Po długim milczeniu powiedział, że chciałby nam pomóc:

- Muszą mieć panowie niezależny transport, potrzebny panom samochód. Mam przyjaciela, który wynajmuje swój samochód.

Nie czekając na naszą zgodę, zatrzymał wóz przed jakąś chatą, obok której pod dachem z liści palmowych stał nieduży datsun, Japończycy mają w garści również Kiribati. Za kilka dolarów australijskich pojechaliśmy do hotelu *własnym* samochodem.

Spocony recepcjonista dał nam na jedną noc pokoje nr 102 i 103, rano się okaże, czy z powodu strajku hotel trzeba będzie opróżnić. Był chyba u kresu wytrzymałości nerwowej, ale wręczył nam klucze. Tazząc nasze bagaże, weszliśmy na pierwsze piętro i otworzyliśmy drzwi do pokoi, wyglądających na nie zamieszkałe. Zgodnie z dobrym szwajcarskim zwyczajem zrobiliśmy najpierw porządku. Opróżniliśmy więc cuchnące kosze na śmieci, sprzątnęliśmy zawartość poprzewracanych popielniczek, zmiętymi gazetami zmiotliśmy z podłogi skorupki po orzechach, niedopałki papierosów i podarte majtki, pozbieraliśmy puszki po konserwach, w dwóch palcach wynieśliśmy spod prysznic na korytarz brudne prześcieradła i czarne od brudu ręczniki. Po zakończeniu strajku ktoś je pewnie stamtąd zabierze. Nad głowami klimatyzacja nuciła nam swoją monotonną pieśń, dmuchając chłodem; właśnie dlatego pokoje te były mimo wszystko oazą w tym tropikalnym klimacie. Po zakończeniu gruntownych porządków opuściliśmy hotel i ruszyliśmy na wieczorne przyjęcie u państwa Kamoriki. Byliśmy ciekawi, czy choć o krok zbliżymy się do celu?

Wieczorne przyjęcie u państwa Kamoriki

Teeta i Bwera wystroili się na wieczór. Pierwszy miał na biodrach kwadratową chustę, czerwoną jak straż pożarna, drugi koloru morskiego błękitu. Przed wejściem do głównego pomieszczenia zdjęliśmy buty i skarpetki, bo wszyscy obecni byli na bosaka, nawet pewna starsza dama, która przywitała nas mocnym uściskiem ręki i głębokim dygnięciem. Przemawiała do nas melodyjnym głosem, potakiwała, my jej potakiwaliśmy, uśmiechaliśmy się, jak ona, starając się wtrącić po angielsku parę formuł powitalnych, co zabrzmiało raczej żałośnie. Bwera szepnął nam, że to wdowa po pastarze Kamoriki, matka Teety.

Dobrze wychowany syn, który w jej obecności ściszał swój grzmiący baryton do dźwięku kamertonu, poprosił, abyśmy usiedli na trzech krzesłach przy lewej ścianie, w najprzyjemniejszej części pomieszczenia. Dmuchał tam na nas wiatrak. Bwera i Teeta siedli obok po turecku.

Zacząła się niewysłowienie przezabawna pantomima. Siedzieliśmy sztywno w zupełnym milczeniu, jakbyśmy wysiadawali strusie jaja. Pucolowata twarz wesołej wdówki promieniała serdecznością i radością. Czy aby nie najadła się jakichś narkotyków? Popatrywała na nas przebiegle, potakiwała z ufnością, na co odpowiadaliśmy naszym potakiwaniem. Niekiedy, nie wiem, czy było to zamierzone, opadała jej na moment jedna powieka. Wyglądało to tak, jakby wdowa puszczała do nas oko. Mógł to być jakiś nie znany nam zwyczaj, Pomrugiwałem więc też do niej wesoło. Powinien to zobaczyć Marcel Marceau, wspaniała francuski mim: miały do swojego programu numer, którym rzuciłby widzów na kolana.

Zabawną scenę przerwały cztery czarujące młode damy. Weszły na bosaka tanecznym krokiem i na jasnobrażowej macie kokosowej rozwinęły kolorowy kokosowy chodnik. I one kiwały do nas wielokrotnie głową, na moment zniknęły bezszelestnie, aby wpłynąć po chwili z miskami i skorupami, które ustawiły na podłodze razem z talerzami i pucharami.

Niegrzecznie - byliśmy głodni i szła nam ślinka - wgapialiśmy się w suty, wielobarwny posiłek: zielone, żółte i czerwone warzywa miąższ orzechów kokosowych surowy i gotowany, słodkie kartofle koloru miodu, ryby gotowane i pieczone, kawałeczki mięsa w ziołowych sosach, owoce chlebowca pieczone na ruszcie, ryż. Tylko oficjalny charakter przyjęcia powstrzymywał nas przed natychmiastowym rzuceniem się na jedzenie.

Trzy słodkie dziewczynki, sześć- albo siedmioletnie, stały przed nami bez skrupowania i włożyły na nasze niegodne głowy wielobarwne wieńce z kwiatów, pachnące jaśminem i orchideami. Nim zdążyliśmy cokolwiek pomyśleć, małeńkie wróżki zniknęły. Teraz spod przeciwnej ściany podniosła się wdowa Kamoriki w czerwonej sukni w białe kwiaty i zaczęła przemowę. Bwera tłumaczył. Przemowa ta, nagrana na magnetofon, przyjechała z nami do domu. Wdowa Kamoriki powiedziała:

„Mój zmarły mąż, który spoczywa w ogrodzie, zaoferował panom naszą gościnę, jak to u nas w zwyczaju. Poleciał mi powitać panów, jak to u nas w zwyczaju. Wieńce na głowach panów oznaczają przyjaźń i pokój, jak to u nas w zwyczaju. Moje córki będą szczęśliwe, mogąc gotować i prać dla panów, moi synowie będą zaszczytzeni, mogąc panom pomóc, jak to u nas w zwyczaju. Ja jestem tylko głupią, starą i słabą kobietą, która spełnia życzenie swojego męża, jak to u nas w zwyczaju. Niech nasz dom będzie domem panów, nasza rodzina będzie panom służyć, jak to u nas w zwyczaju". Pani Kamoriki usiadła i uśmiechnęła się do nas. Byliśmy wzruszeni gościnnością tych dobrych ludzi. Tłumiąc wilczy głód wstałem, aby wyrazić naszą wdzięczność i zapewnić, że my, przybysze z niewielkiego kraju po drugiej stronie globu, będziemy szczęśliwi mogąc nauczyć się podczas pobytu na Kiribati tego, czego nie było nam dane dotąd się nauczyć, i wyraziłem ubolewanie z powodu śmierci męża i ojca. Nie uczynimy nic, co nie spodobałoby się świętej pamięci pastrowi.

Starsza dama skinęła mi wesoło i przyjaźnie głową i zaprosiła gestem do rozpoczęcia posiłku. Porzuciliśmy krzesła i kucnęliśmy jak Bwera i Teeta na podłodze z dłuższej strony bufetu „dywanie nakryj się". Krażyły miski

i salatery wypełnione po brzegi, po wiele razy nakładaliśmy sobie palcami góry wszystkich specjałów. Na początku, zgodnie z europejskimi zwyczajami, poprosiłem do stołu kobiety, siedzące w kucki w pewnej odległości od ściany z bardzo poważnymi minami, ale dopiero gdy ujrzały, że jedzenie nam smakuje, na twarze wrócił im naturalny uśmiech. Z przyjemnością napełnialiśmy żołądki. Jedzenie było wyborne nie tylko w porównaniu z obrzydliwymi sandwiczami ze spaghetti! Kiedy nie mogliśmy już więcej mimo ciągłych zachęt, damy pociągnęły kolorowy dywan do siebie i zaczęły jeść, napychając sobie usta. Gdybyśmy znali ten zwyczaj, powściągnęlibyśmy apetyt i zostawili im więcej.

Damska uczta trwała, my zaś przy papierosach omawialiśmy z Teetą i Bwere nasze plany na jutro. Bwere przypuszczał, że kamienny krąg znajduje się w świętym miejscu na wyspie Abaiang; wielebny Scarborough pisał, że to chyba ta wyspa. Bwere powiedział, że Teeta postara się o łódź i dostateczną ilość benzyny, żebyśmy mogli popłynąć na wyspę, leżącą 50 kilometrów stąd.

Teeta spytał, czy mam czarny tytoń papuaski. Nie, po co? - spytałem, na co usłyszałem w odpowiedzi, że miejsce to jest *tabu* i że dla przebłagania zaklęcia trzeba tam złożyć w ofierze tytoń. Moją prośbę, aby się postarał o tytoń, Teeta odrzucił zdecydowanie: jeśli tytoń ma podzielać na zaklęcie, sami musimy go kupić.

Podczas naszej rozmowy do środka wcisnęło się ponad tuzin dziewcząt i chłopców, ubranych tylko w wielobarwne *tepe* na biodrach i rzucających ukradkiem zaciekawione spojrzenia w stronę obcych w kwietnych wieńcach na głowach. Nigdy nie widziałem ładniejszych ludzi! Urzeczony tym widokiem, zapomnieliśmy o tajemniczych kamiennych kręgach, kamieniach nawigacyjnych i o mitach. Byliśmy pod urokiem prężnej, żywej natury. Grupa stanęła w szeregu, co dało nam okazję podziwiać pełne gracji ruchy młodych wyspiarzy oraz zmysłowość i wdzięk ich ciał. Wyglądali, jakby wyszli z raj. Zacząłem rozumieć biblijnych olbrzymów i boskich synów, którzy pozwalali sobie na związki z córami rodzaju ludzkiego. W pomieszczeniu wibrowała namiętność ciemnoskórych ciał, w uśmiechach lśniły śnieżnobiałe zęby, czuć było swobodę w zachowaniu. Czy wiedzieli, że są piękni, powabni? Cieszyli się, że patrzymy na nich oczami szeroko otwartymi z podziwu?

Zaśpiewali. Śpiew, najpierw delikatny, zmienił się po chwili w wielogłosowy chór. **Dwaj** chłopcy akompaniowali na gitarach, trzeci wybijał rytm na wydrążonym pniu. Melodyjna pieśń miała wiele partii wokalnych. Po odśpiewaniu trzeciego utworu śpiewaczki i śpiewacy usiedli na ziemi. Jedna z dziewcząt wysunęła się na kolanach do przodu i powiedziała:

— *It's your turni*

Mamy śpiewać! Podczas krótkiej narady okazało się, że nasze trio trzeba zredukować do duetu. **Rico** oświadczył, że już w szkole proszono go, żeby nie otwierał ust w czasie lekcji śpiewu, bo wydobywa się z niego tylko jakiś charkot.

Gospodarz i chór patrzyli na nas w napięciu. Wraz z Willim zaśpiewałem mężnie „Muszę zaraz pójść na pole”, może nie tak doskonale, jak Elvis Presley, ale przynajmniej na tyle dobrze, że słuchacze poprosili o bis. Zgodziliśmy się z Willim na pieśń „Chłopczyk ujrzał raz różyczkę”. Był to ogromny sukces, po którym nastąpiły prawdziwe owacje; klaskano, śmiano się i podskakiwano: gromada szczęśliwych dzieci w raj.

Potem młodzi wyspiarze kontynuowali swój program, aby po odśpiewaniu kilku pieśni przerwać nagle, usiąść, a dziewczyna znów wyszła ku nam na kolanach:

- *It 's your turni*

Po pierwsze dlatego, żeby nie przeciągać tego w nieskończoność, a po drugie, bo repertuar nasz prawie się wyczerpał, zastanawiałem się gorączkowo, co mogłoby ukoronować nasz występ. I wtedy przyszło mi to do głowy. Na kolanach podszedłem do śpiewaków i poprosiłem Bwere, aby przetłumaczył, że chcielibyśmy zaśpiewać razem z nimi znaną w Europie piosenkę ludową „Panie Janie”, że to piękna i nieskomplikowana melodia. Zanuciłem, a potem zaśpiewałem na głos tak, aby można było powtórzyć tekst i nie upłynął nawet kwadrans, a muzycy Kiribatczycy śpiewali jak z nut „Panie Janie”.

Dzięki wspólnie odśpiewanemu kanonowi wieczorne przyjęcie u rodziny Kamoriki, kończące nasz pierwszy dzień na Tarawie, otworzyło przed nami wszystkie drzwi. Przez noc wszyscy na wyspie wszystko wiedzieli. Kiedy szliśmy ulicami, machano do nas przyjaźnie. Gdy przybyliśmy do wielkiej *maneby* domu gminnego, stanowiącego centrum każdej wsi, podawano nam ręce, wciągano - gest szczególnej przyjaźni - pod brązowy dach z liści palmowych pozbawiony ścian. *Maneba* jest miejscem zgromadzeń, podczas których głos ma wiejska starszyzna, młodzi zaś mężczyźni mogą odzywać się tylko wtedy, gdy się ich o coś zapyta. Kobiety nie mają tu nic do roboty. Zajmują się wychowywaniem dzieci, troszczą o porządek w rodzinnych chatach. Gdy pozdrowiały nas przyjaźnie, zdawało się, że niczego im nie brakuje. Gdy zaglądaliśmy do chat bez ścian, widzieliśmy, jak gawędzą wesoło z córkami i sąsiadkami, często śpiewają, a podczas naszego pobytu słyszeliśmy nawet kilka razy „Panie Janie”.

Co udało nam się wygrzebać w bibliotece wsi Bairiki

Nazajutrz rano Teeta powiedział nam u siebie przy śniadaniu, że morze jest dziś zbyt wzburzone na wyprawę tak małą łodzią, a z powodu strajku nie udało się zdobyć dość benzyny do dużej łodzi.

Jedliśmy chleb z drzewa chlebowego. Drzewa takie rodzą co roku do stu owalnych owoców wielkości piłki do rugby. Owoce chlebowców rosnących na Kiribati można wykorzystywać w całości, razem z zieloną skorupą. Po utłuczeniu przyrządza się z nich smaczną pikantną papkę. Po pocięciu na plastry, jak ananas, można je piec na gorących kamieniach - przypominają gruboziarniste pieczywo, smakujące nieporównanie lepiej od naszego chleba produkowanego najczęściej metodami przemysłowymi.

Chleb był smaczny, ale nie mogłem jeść. Myśl, że idiotyczny strajk pokrzyżuje nam szyki, zepsuła mi apetyt. Łyknąłem mleka kokosowego i powiedziałem:

- Bwere mówił wczoraj o niedużych liniach lotniczych. Czy można polecieć na Abaiang?

Teeta spojrział na mnie z namysłem, malującym się w ciemnych oczach i odparł miłym barytonem:

- Okay. *Lefs try!*

Wraz z Teetą, naszym czarnym aniołem, pojechaliśmy na lotnisko poznać Gila Butlera, Australijczyka, szefa pilotów Air Tungaru. Butler był w fatalnym humorze. Psioczył na strajk. Zapytał z sarkazmem, czy Szwajcarzy nie znają jakichś zaklęć na idiotyczne wybryki wyspiarzy, oglupionych zachodnimi zwyczajami. Polecieć na Abaiang? Nie, tego nie może zrobić ze względu na strajk, ale jutro jego kolega leci tam z delegacją rządową i jeśli będą wolne miejsca, możemy się załapać, a potem wrócić wieczorem. Dzięki światowemu sukcesowi mojej książki - Gil Butler czytał *Wspomnienia z przeszłości* - szef pilotów zaprosił nas bez zastanowienia do siebie na jutro na kolację. Zgodziłem się, bo widziałem w tym szansę, żeby po strajku albo mimo niego dotrzeć z Gilem Butlerem na tę czy inną wyspę.

Wyczuwaliśmy, że Teeta jest strajkiem zażenowany, że stara się odwrócić od niego naszą uwagę i nie chce, abyśmy stracili humor. Zaprowadził nas do jakiejś chaty i pokazał wzrokiem pęczek czarnych jak smoła, lepkich lasek tytoniu długości piędzi, śmierdzących obrzydliwie lukrecją, wilgotnymi niedopalkami i - niestety, muszę o tym napisać - niemytymi nogami. Tytoń ten sprowadza się z Papui-Nowej Gwinei. Kupiłem pęczek w przekonaniu, że gdy tylko staniemy na progu świętych miejsc, jego fetor odpędzi najgorsze duchy.

Po zrobieniu tego zakupu Teeta zawiózł nas do wsi Bairiki i wysadził przed zadziwiająco bogatą biblioteką, zawierającą literaturę z regionu Oceanu Spokojnego. Dzięki Bogu tu nie strajkowano. Uprzejmi pracownicy przynieśli nam zamówione pozycje. Najbardziej zainteresowała mnie praca zbiorowa pióra 25 miejscowych autorów, zawierająca legendę o powstaniu świata i Kiribati. Pod brzęczącym wentylatorem, mieszającym duszne powietrze, czytałem niezwykle tekst, poszerzający moją wiedzę o mitach dotyczących prehistorii.

Na samym początku, bardzo, bardzo dawno temu, istniał bóg Nareau-Stwórca. Nikt nie wie, skąd przybył, nikt nie wie, kim byli jego rodzice, on bowiem, *Nareau, samotnie latał, śpiąc, po Wszechświecie*. We śnie usłyszał, że ktoś trzykrotnie zawołał go po imieniu, ten wszakże, kto go wołał, był „nikim”. Nareau obudził się i rozejrzał. Ale wokół nie było nic prócz pustki, gdy jednak spojrział w dół, spostrzegł wielki obiekt, było to *Te-Bomatemaki*, co znaczy „wspólny dla ziemi i nieba”. Gnany ciekawością, Nareau zniżył lot i wstąpił ostrożnie na *Te-Bomatemaki*. Nie było tam ani życia, ani ludzi, był tylko on, Stwórca. Czterokrotnie okrążył odkryty świat z północy na południe, ze wschodu na zachód. Był sam. W końcu Nareau wykopał dziurę w *Te-Bomatemaki*, wypełnił ją wodą i piaskiem, zmieszał jedno z drugim i tak powstała skała. Potem nakazał skałę, aby razem z pustką narodziła *Nareau Tekikiteia*. Tak na polecenie Nareau-Stwórcy powstał *Nareau Tekikiteia*, czyli „Nareau-Mędrzec”.

Nareau-Stwórca rządził teraz *Te-Bomatemaki*, Nareau-Mędrzec zaś był w ziemi. Mogli ze sobą rozmawiać. Postanowili uwolnić niebo od ziemi. Plan powiódł się, choć z wielkim trudem. Potem Nareau-Mędrzec stworzył pierwsze istoty inteligentne, którym nadał takie nazwy:

uka - co znaczy skoncentrowana siła poruszająca powietrze;

nabawe - co znaczy skoncentrowana siła wieku;

karitoro - co znaczy skoncentrowana siła energii;

kanaweawe — co znaczy skoncentrowana siła wymiaru (odległości);

ngkoangkoa - co znaczy skoncentrowana siła czasu;

auriaria - co znaczy skoncentrowana siła światła;

net tewenei - co znaczy kometa.

Jest to najpopularniejszy mit o Nareau-Stwórcy, opowiadany w kilku wersjach. Arthur Grimble przytacza jego istotne zakończenie:

„Gdy zaś pracę ukończono, rzekł: »Dość! Stało się! Odchodzę, aby już nie powrócić!« Odszedł więc, aby już nie powrócić, i nikt nie wie, gdzie odtąd przebywa" [1].

W przekazie tym pojawiają się elementy mozaiki, idealnie pasujące do teorii bogów-astronautów.

Bóg-Stwórca Nareau latał samotnie, śpiąc, po Wszechświecie, aż ktoś, nikt, zawołał go po imieniu i obudził. Z dzisiejszego punktu widzenia można sobie wyobrazić, że był to doskonały statek kosmiczny, którego pilot za pomocą specjalnych metod został wprowadzony w głęboki sen, aby zahamować aktywność komórek do chwili, gdy znów będą potrzebne wszystkie funkcje organizmu. Problem wprowadzania kosmonautów w głęboki sen za pomocą różnych metod fizykochemicznych jest od dawna dyskutowany przez specjalistów w dziedzinie medycyny

kosmicznej, pozwoliłoby to bowiem utrzymać przy życiu kosmonautów podczas podróży na ogromne odległości. Gdy komputer pokładowy na podstawie danych z radaru stwierdzi, że statek kosmiczny dotarł do właściwego układu słonecznego, obudzi załogę z głębokiego snu. „Imię jego rozbrzmiało i Nareau się obudził.”

Obudzony pilot nadal widzi wokół tylko czerń Wszechświata, ale *w dole, w dole pod sobą* spostrzega planetę, w dole, gdzie działa siła grawitacji układu słonecznego. „Potem Nareau spojrział w dół i dostrzegł wielki obiekt.”

Pilot, całkowicie rozbudzony i znów w pełni sił, postanawia wylądować na idealnej do tego, trzeciej planecie tego układu słonecznego. „Nareau przeciągnął się. Zapragnął się dowiedzieć, co to za obiekt [...]. Zniżył lot i zstąpił ostrożnie na obiekt.”

Zbadawszy planetę z orbity, pilot stwierdził, że wprawdzie istnieją na niej warunki do powstania życia, ale życia jako takiego nie ma. Postanawia więc posiać tu zarodki życia. „Nie było wówczas duchów ani ludzi, był tylko potężny Nareau. Czterokrotnie okrążył świat [...] i stwierdził, że nie ma tam życia.”

Mit nie mówi, jak Nareau pielęgnował życie. Może procesy z tym związane były zbyt skomplikowane i niezrozumiałe, żeby włączyć je do ludowej legendy. Nareau mógł na przykład wypuścić ze statku kosmicznego sinice, może bakterie, a może nawet, choć to nieprawdopodobne, rozsypać nasiona wytrzymałych pragatunków roślin. „Nareau wywiercił dziurę w ziemi i napełnił ją piaskiem i wodą, zmieszał jedno z drugim i powstała skała [...], skała zaś nakazał, aby razem z pustką narodziła ziemię (*Nareau Tekikiteia*). Tak powstał Nareau-Mędrzec.”

Być może określenie *mądry* oznaczało niegdyś *ducha* albo *natchnienie*. Tam, gdzie jeszcze do niedawna była tylko sterylna pustka, poczęło się życie. Od tego prapoczątku aktywne są dwa żywioły twórcze: Nareau - twórca wszelkiego istnienia oraz Nareau - mędrzec, troszczący się o rozwój życia na Ziemi. „Nareau-Stwórca znajdował się teraz nad *Te-Bornatemaki*, Nareau-Mędrzec zaś był wewnątrz Ziemi.”

Niezwykle zaskakujące w relacji o stworzeniu są takie pojęcia, jak *skoncentrowana siła energii*, *skoncentrowana siła wymiaru*, *skoncentrowana siła czasu* czy *skoncentrowana siła światła*.

Nie mam dość fantazji, aby wyobrazić sobie, co przez te pojęcia rozumieli pierwsi Kiribatczycy. Bezwiednie przekazali poszlaki, dotyczące umiejętności, jakimi dysponował nieprawdopodobny bóg stworzenia. Przy dzisiejszym stanie wiedzy nie sztuka zrozumieć, że skoncentrowana siła energii daje skoncentrowaną siłę światła. Dzięki badaniom teorii silników fotonowych, prowadzonym przez profesora Eugena Sangerę (1905-1964), wiemy, że silniki te umożliwią statkom kosmicznym, znajdującym się poza zasięgiem sił grawitacji danego układu słonecznego, osiągnięcie ogromnych prędkości. Dziś wiemy, że wszelkie rodzaje przyśpieszenia wiążą się ze „skoncentrowaną siłą wymiaru”. Przyśpieszenie zawsze znaczy pokonywanie i przerzucanie mostu nad olbrzymimi dystansami; jest to proces, związany ściśle z czasem („skoncentrowana siła czasu”) i wiekiem („skoncentrowana siła wieku”). Przesunięcie (dylatacja) czasu, jest zjawiskiem udowodnionym przez fizykę doświadczalnie.

Oto cytat z pracy Arthura Grimble'a, uzupełniający w istotny sposób moje notatki, sporządzone w dusznej bibliotece w Bairiki:

„Gdy zaś pracę ukończono, rzekł: »Dość! Stało się! Odchodzę, aby już nie powrócić!« Odszedł więc, aby już nie powrócić, i nikt nie wie, gdzie odtąd przebywa” [1].

Podczas podróży międzygwiazdnej z ogromną prędkością takie zniknięcie na zawsze jest możliwe! Ostatnio wpadła mi w ucho fantastyczna piosenka grupy Dschingis Khan:

„Bogami ich nazwano,
bo innego słowa nie było na obcych.
W starożytnych księgach napisano,
że gdy znów powrócą,
nas już nie będzie.
Na Ziemi został po nich tylko ślad.
Prawie wszystko zalała woda, skrył piach,
a nikt nie wie, jakie przynieśli posłanie,
ci obcy.
Bogami ich nazwano,
bo innego słowa nie było na obcych”.

Nie wiem, co zainspirowało autorów do napisania tej piosenki. Przyjaciołom pytającym, czy nie jest to przypadkiem tekst mojego pióra, przysięgam, że tak nie jest.

Wciąż ta sama śpiewka!

We wszystkich mitach o stworzeniu brzmią te same pytania: skąd nasi praojcowie wiedzieli, że życie na Ziemi pochodzi z Kosmosu, że znalazło się tu przypadkiem lub umieszczono je tu świadomie? Nie ma świadków

ani na akt stworzenia znany Kiribaczkom - śpiący Nareau doleciał do Układu Słonecznego i nakazał, aby powstało życie - ani innym ludom. Komu Nareau miałby przekazać swoją historię, komu opowiedzieć o swoim dziele? Czy to więc tylko wybujała fantazja gawędziarzy, pozbawiona realnych podstaw?

Biblia mówi, że Bóg stworzył niebo i ziemię, a „ziemia była pustkowiem i chaosem; ciemność była nad otchłanią”. Reportera nie było również przy biblijnym akcie stworzenia.

Ponieważ nie było naocznego świadka ani kronikarza żadnego z mitologicznych aktów stworzenia, a mimo to mity całego świata koncentrują się na *jednym* wielkim zdarzeniu, nasuwa się logiczna odpowiedź na wszystkie pytania. Miliony lat po akcie stworzenia bóg-stwórca powrócił na miejsce zdarzenia i ludziom, których stworzył, przekazał wiedzę o tym, co stało się w odległej przeszłości, wiedzę o tym, jak powstałi.

Już widzę kwaśne miny etnografów, którzy będą musieli połknąć tę żabę, po zapoznaniu się z moją interpretacją mitów, powstałych w sposób tak zagadkowy. Należy - powiadają ci uczeni - rozważyć wszelkie związki, wziąć pod uwagę wszelkie możliwości, zaakceptowawszy najpierw interpretacje najprostsze. Po pośpiesznych początkach rozwiązywania łamigłówek absolutnie naukowa interpretacja rozplywa się we mgle kadzideł psychologii, od których szczypią i łzawią oczy. Jaką wartość ma ułamek, mający w liczniku same zera?

Mity przetrwały w najróżniejszych wersjach. To zrozumiałe, bo przekazywano je nieskończenie wiele razy od plemienia do plemienia, niektóre rzeczy pomijano, inne dodawano. Każdy kryminolog wie, jak bardzo różnią się zeznania naocznych świadków jednego zdarzenia. Dopiero ich porównanie i odrzucenie subiektywnych upiększeń daje prawdziwy obraz przebiegu czynu przestępczego.

Na Kiribati znalazłem też legendę o dziecięciu Te-rikiato, które wykradziono, aby je dać niebiańskiej kobiecie Nei Tetange-niba. Kobieta odleciała wraz z dzieckiem, a następnie uczyniła zeń półboga. W zachodniej części wyspy - zwanej „ptaki z Biiri” - Te-rikiato, wyrosły na młodzieńca, powiedział do niebiańskiej kobiety: „Spójrz, jakie cudowne są te ptaki, wyglądają jak ludzie!” Za sprawą czarów przybrana matka sprawiła, że ramiona młodzieńca stały się niezwykle silne, ciało zaś mocne. Te-rikiato usiadł na grzbiecie ptaka i mocno się go trzymał. Ptak zaczął krążyć, a potem wzniósł się w niebo i tak dotarli do „krajiny istot niebiańskich”. Tam Te-rikiato stanął przed domem mieszkanki niebios Nei Mango-Arei, ona zaś spytała młodzieńca: „Skąd przybywasz i z jakiego rodzaju istot pochodzisz? Nie mogą odwiedzać mnie ludzie, różnię się bowiem od nich”. Mimo wyraźnych różnic para ta miała czworo dzieci. Pierwszemu dali na imię Nirakini-Karawa, co znaczy „krążący po niebie”. Legenda mówi wyraźnie, że po spłodzeniu dzieci Te-rikiato powrócił na Ziemię i osiadł na Samoa [2].

Historia ta przychodzi mi na myśl zarówno lot Babilończyka Etany, który wzniósł się do nieba na grzbiecie orła, a potem opisał, jak wygląda Ziemia z wielkiej wysokości, jak i japońską legendę o dziecięciu z wysp, które pewna wróżka uprowadziła na niebiańskie łąny. Dziecię to później wróciło do domu. Jak zasadniczy motyw temat ten rozbrzmiewa w wielu, bardzo wielu ludowych legendach.

Czy są tu - myślałem sobie pod wieczór tego „dnia teorii”, spędzonego w bibliotece w Bairiki - gorące ślady sekretnych mitów, ślady, na jakie naprowadził mnie wielebny Scarborough? Z drżeniem oczekiwałem nadejścia kolejnego dnia.

Odczarowany czar

O szóstej rano Teeta, nasz czarny anioł, zawiózł nas do portu lotniczego, choć „port lotniczy” jest w tym przypadku określeniem całkowicie mylącym, jeśli ma się na myśli porty lotnicze w naszych szerokościach geograficznych. Dwusilnikowy samolot poniósł nas łagodnie nad wciąż wzburzonym morzem na wyspę Abaiang, na której już o poranku panował duszny i przytłaczający upał. W bambusowej chacie, budynku portu lotniczego, Teeta, gestykulując i ciągle wskazując na nas, powiedział coś do kilku ludzi, z których dwóch popędziło gdzieś klusem, aby po chwili powrócić dostawczą toyotą, zatrzymać się przed nami, załadować bagaże i nas oraz - nie oszczędzając wozu - ruszyć pędem pełną drogą pełną wielkich dziur.

Abaiang to wąski atol o długości 32 km, płaski jak deska do prasowania, prawie całkowicie zarośnięty palmami kokosowymi wielkości domu i chlebowcami uginającymi się od ciężkich owoców. Aby przebyć dwie trzecie długości wyspy, trzeba było jechać dwie godziny.

- Teeta, wiesz, gdzie jest krąg objęty *tabu*? - spytałem, gdy zatrzymaliśmy się we wsi Tuarabu. Teeta przyznał wprawdzie, że nie wie, gdzie to jest, bo na Abaiang mieszkał jako dziecko, gdy jego ojciec był tu pastorem, ale że jego matka, nasza wesoła gospodyni, powiedziała mu, jak dotrzeć do celu. No dobrze! Teeta oddalił się lekko jak gazela.

Rozejrzeliśmy się po osadzie, liczącej 45 dusz. Jak wszędzie w tych okolicach, stojące tu chaty zbudowano z materiałów pochodzących z palm kokosowych, niektóre z domów stały na blokach koralu, co z jednej strony zapewniało przepływ powietrza pod podłogą, z drugiej separowało mieszkańców od rojącego się na ziemi robactwa i krabów, przede wszystkim jednak bloki koralowe nie butwiały tak, jak bale z pni palmowych w bagnistym gruncie. Dzieciaki wdrapływały się na szczyty palm trzydzieści metrów nad ziemią i zrzucały stamtąd orzechy kokosowe, które mężczyźni zręcznie rozbijali, a następnie proponowali nam mleko kokosowe jako

poczęstunek na przywitaniu. W tym upale mleko kokosowe gasi pragnienie lepiej niż karton coca-coli. W 45% składa się z wody, reszta to różne wartościowe białka, tłuszcze, węglowodany i składniki mineralne, oferowane w nadmiarze przez naturę.

Teeta pojawił się z powrotem w dość osobliwym towarzystwie. Obok niego, powłócząc nogami, szła wiekowa, chuda kobieta w czarnej pelerynie, przypominającej sutannę, i w woalce, co sprawiało, że wyglądała dość niesamowicie. Towarzyszył jej pomarszczony starzec. Na lewym ręku miał płaczące niemowlę, prawą zaś ciągnął za sobą chłopca w wieku przedszkolnym. Poza kwilącym niemowlęciem wszyscy milczeli jak grób. Niemowlę było chyba głodne, ale piersi starej nie były życiodajnym źródłem, o ile w ogóle je miała, bo peleryna zasłaniała wszystko.

Gdy po chwili ruszyliśmy dalej, stłoczeni na skrzyni niewielkiej toyoty jak śledzie w beczce, widać było, że Teeta stracił humor.

- Daj tej kobiecie dziesięć lasek tytoniu i pudełko zapalek - szepnął do mnie. „Zakonnica” w czarnej pelerynie przytaknęła, a starzec wyszczerzył się w uśmiechu. Ujrzałem, że w miejscu zębów ma żółto-brunatne pieńki. Pociuszające, pomyślałem, że nawet na Kiribati starość pobiera należną daninę i że nie wszyscy wyspiarze są piękni.

Dojechawszy do południowego skrawka wyspy, zahamowaliśmy gwałtownie. Wieś nazywała się Tabanga. Nastrój naszych towarzyszy, nawet tych młodych, uległ widocznej zmianie. Śmiechy ucichły. W oczach pojawił się lęk. Nawet twarz Teety, zawsze wesołego, oblekła powagę.

- Co się dzieje? - próbowałem się dowiedzieć.

Teeta ruchem głowy wskazał zieloną, tropikalną roślinność przed nami, ale nic nie powiedział. Zakonnica w sutannie ruszyła przez zarośla ścieżką szerokości chustki do nosa. Poszliśmy za nią gęsiego w milczącej procesji. Teraz kwilił też dziadek i chłopczyk. Bali się.

Stara stanęła, ruchem ręki nakazała nam się zatrzymać, a potem wyszła na polanę, którą kryła zasłona bujnych zarośli. Kobieta kroczyła ze śmierdzącym tytoniem w garści, aby odprawić uroczystą ceremonię. Wszystko działo się przy wtórze skrzeczenia egzotycznego, kolorowego ptactwa, huku pobliskiego przyboju i klepięć, którymi zabijaliśmy siadające na nas moskity. Musieliśmy, niestety, stwierdzić, że wołały grzeszną słodycz krwi cudzoziemskiej. Przynajmniej miały jakąś odmianę.

Nie zaszczycały nas ani jednym spojrzeniem, starucha zawróciła ze stężoną twarzą, przechodząc obok. Teeta, którego tytoniowa ofiara wyzwoliła z objęć strachu przed złym czarem, rzucił mi ostrożnie; *Go on!*

Polana była niewielka, nie porośnięta tropikalną roślinnością. Już na pierwszy rzut oka zrozumiałem, że aby nic tu nie rosnęło nie potrzeba żadnego cudu: po prostu leżało tu mnóstwo kawałków koralu. Większe, okrągłe odłamy otaczały prostokąt, w którym stał koralowy monolit wielkości człowieka, przypominający kamień nagrobny. Przypuszczenie to potwierdziło się, gdy obszedłem kamień wokół, ujrzałem wówczas wyryte imię i datę zgonu nieboszczyka. Pod muszlą wielkości skorupy żółwia tliły się laski tytoniu. Byliśmy sami. Wyspiarze patrzyli na nas ciekawie i bojaźliwie z pewnej odległości.

To, co nam tu pokazano, nie miało nic wspólnego z tajemniczym świętym miejscem, o którym pisał pastor Scarborough. Pamiętając o przestrodze, aby zawsze być uprzejmym dla wyspiarzy, przeszliśmy do porządku dziennego nad naszym wielkim rozczarowaniem i po zrobieniu kilku zdjęć dołączyliśmy do grupki oczekujących nas tubylców. Dysponująca magicznymi zdolnościami starucha utwierdziła się w skuteczności tytoniowej ofiary i po raz pierwszy spojrzała na nas z dumą. Dziadek i niemowlę kwilili, zapewne jak zawsze. Nawet Teeta obejrzał nas krytycznie: czy jego przyjaciele aby się nie zmienili, czy bez szkody odeszli od grobu? Ale poza dławiącym nas uczuciem gniewu nic nam nie było.

Nasi towarzysze odprężyli się dopiero, kiedy toyota oddaliła się od tego miejsca, niesamowitego i niedobrego dla wyspiarzy. Teeta puścił w krąg plastikową butelkę z jakąś mleczną, letnią lurą. Ponieważ nie wypadało odmawiać, przewyciężyłem wstępną i na oczach wszystkich pociągnąłem dobry łyk. Twarz musiała mi się zapewne przy tym ściągnąć w groteskowym grymasie, który Teeta uznał chyba za wyraz uznania, bo zaśmiał się z zadowoleniem, napił do syta, a potem przystawił butelkę do ust moich przyjaciół. Poza staruchą, dziadkiem i niemowlęciem wszyscy pili z rozkoszą drogocenny płyn i z każdą chwilą stawali się coraz bardziej rozluźnieni i coraz bardziej pijani.

- Teeta, co my właściwie pijemy?

- *Sauer-toddy* - odparł z taką oczywistością Jakby chodziło o whisky z wodą sodową.

- Co to jest *sauer-toddy*?

Teeta kazał kierowcy stanąć i wskazał palcem smagłej ręki na korony palm kokosowych. Pod koronami do pni drzew były przymocowane mniejsze i większe butelki, do których skapywał z drzewa sok, zawierający wiele cukru. Po trzech dniach płyn zaczynał fermentować, kipiąc niczym moszcz. Jest to napój niebezpiecznie dobry, unieszkodliwiający na kilka godzin nie nawykłych do mocnych alkoholi wyspiarzy. No proszę, palmy kokosowe dają nawet alkohol!

Sauer-toddy działał uspokajająco, gdyby było inaczej, wyszedłbym z siebie! W Tuarabu starzy mężczyźni stali i gawędzili tak samo jak rano, gdy stąd wyjeżdżaliśmy. Kierując się resztkami europejskiej uprzejmości, poprosiłem

Teetę, aby się dowiedział, gdzie właściwie byliśmy i dlaczego „wpuszczono nas w maliny”. Nasz czarny anioł, wypytawszy ziomków, oświadczył, że zwiedziliśmy grób pewnego męznego wojownika, którego potężny duch po dziś dzień chroni swoją rodzinę. Z całym szacunkiem dla wojownika, powiedziałem, ale naszym celem był kamienny krąg bez nagrobka, sterylne miejsce, gdzie nie rosną nawet palmy.

Gdyby było słyhać, jak starcy biją się z myślami, byłby to zapewne odgłos podobny do łaskotu kamieni młyńskich. Po ich twarzach było widać, że myślą nader intensywnie. W oczach jednego coś nagle zabłysło. Tak, powiedział, na Tarawie Północnej jest taki krąg, gdzie od niepamiętnych czasów mieszka „potężny duch” przybyły z nieba. Duch ten nie znosi, kiedy zakłóca mu się spokój. Nawet ptaki przelatujące nad „jego królestwem” spadają na ziemię martwe. Słowa te były dla mnie najśłodszą muzyką. Ale czy jest to naprawdę nasz cel?

Mimo strajku i kłopotów z benzyną docieramy do celu

Nim z morza wstał dzień czwarty naszego pobytu na archipelagu, przyjęliśmy zaproszenie na wieczór do domu szefa pilotów, Gila Butlera. Spokojnie i wyczerpująco wyłuszczyliśmy mu nasze prośby. Gil nie miał zielonego pojęcia, gdzie powinniśmy się udać, powiedział, że wyspa Tamana - wymieniona przez wielebego Scarborougha - jest stąd o 544 km w linii prostej, na północną Tarawę zaś można bez trudu dopłynąć łodzią. Butler dodał, że już jutro rano może z nami polecieć na Tamane, godzina lotu kosztuje 225 dolarów australijskich, czyli mniej więcej 410 marek. Przystałem na tę propozycję.

Łądowisko na Tamanie nie wyglądało z góry najlepiej, bo w istocie nie było to prawdziwe lądowisko. Lotniska, przygotowywane na archipelagu przez Air Tugaru, są przecinkami wśród palm, z grubsza oczyszczonymi z kamieni i roślin. Wyspiarze mają je utrzymywać we właściwym stanie i nie wpuszczać tam bezdomnych psów i świń ryjących ziemię. Tubylcy odpowiadają na to *eng-eng*, tak, tak, ale już tydzień później na „lotnisku” pleni się trawa, pasą się i ryją dzikie zwierzęta, tropikalne ulewy wypłukują glebę pomiędzy kamieni. Każde lądowanie i każdy start wymaga od pilota najwyższych umiejętności. Nasz samolot skończył dobieg omijając slalomem zwierzęta i kamienie.

Teeta poszedł do palmowej chaty, w której wałkoniło się trzech pracowników personelu naziemnego. Nasz czarny anioł wiedział już dobrze, czego szukamy. Wyniszczył to teraz swoim ziomkom, rozbudzając ich fantazję i pamięć żywymi gestami oraz potokiem słów. W końcu zbliżył się do nas ze strażnikami lądowiska:

- Z tamtej strony są groby bardzo wielkich istot!

- Naprawdę? - upewniłem się. Teeta zrobił swoim pobratymcom powtórne przesłuchanie. Potwierdzili i rozcapierzonymi palcami wskazali las palm za lądowiskiem. Obwieszeni ciężkim sprzętem, pomaszzerowaliśmy w tamtą stronę. W samo południe. Słońce stało pionowo nad nami. Piekło bezlitośnie. Pot ściekał nam aż do butów. Bładym twarzom nie wypadało zdejmować koszul przy obcych, wkrótce więc każdy z nas miał pełno bąbli od oparzeń. Chmury żarłocznych moskitów kąsały przez materiał. Paski aparatów fotograficznych wrzynały się w ramiona jak w żywą ranę.

Ujrzelśmy groby, pokryte kawałami brunatnego koralu.

- To tu? - spytałem. Z pragnienia i rozczarowania język kleił mi się do podniebienia.

Tiaki-tiaki! Nic-nie, proszę dalej! - odparli ludzie z obsługi naziemnej, przedzierając się przez gęste zarośla, omijając palmy, wspinając się na kamienne rumowiska i groby, aż zatrzymali się rozpromienieni:

- Tu!

Popatrzyliśmy po sobie w rozczarowaniu pustym wzrokiem. Teeta zrozumiał, że nie o to szło. Odwrócił się zakłopotany i podrapał po wzbudzającej zazdrość gęstej czuprynie.

Co dalej? Ci ludzie byli pełni najlepszych chęci, starali się. To musiała być nasza wina.

- Teeta - zacząłem pojednawczo - podziękuj im w moim imieniu, że nas tu przyprowadzili i powiedz, że jesteśmy zaskoczeni widokiem tak wielu bardzo starych grobów, ale te, których szukamy, są bardzo duże, o wiele większe od tych. Wykopano je dla olbrzymów dwu- lub trzykrotnie większych od ciebie czy ode mnie. Groby te są zapewne gdzieś na osobności, nie na takim cmentarzysku jak to, bo ci ogromni ludzie nie znosili, kiedy w ich pobliżu było życie albo śmierć.

Nasz niezmordowany tłumacz podszedł do gromadki mężczyzn, którzy mimo palącego słońca i dusznego powietrza wydawali się całkiem rześcy. Znowu wyjaśniał błagalnie - było to widać - co chcą zobaczyć biali ludzie. Po chwili wdał się w rozmowę z jednym z mężczyzn, który go zapewnił, że na końcu wyspy są większe groby, większe od największego z tych.

Czy w okolicy są jeszcze inne groby? - spytałem.

- *Eng-eng!* - przytaknęli z zapalem, ale ja pomyślałem, że znów będziemy szukać wiatru w polu. Poprosiłem Williego o blok rysunkowy i ołówek, usiadłem na jednym z grobów i za pośrednictwem Teety zadałem tubylcom pytanie:

- Czy grób, o którym mówicie, jest większy od największego z tych?

- *Eng-eng!*

Złapałem jednego z tubylców za rękę i poprosiłem, żeby mi ten grób narysował. Zrobił to za pomocą kilku

kresek.

- Narysuj mi teraz inne groby obok tego wielkiego!

Chłopak narysował skupisko grobów. Nie było to miejsce, którego szukamy. Widocznie uprzejmość Kiribatczyków zabraniała odmawiać nieznanym, nawet jeśli nie można było spełnić ich życzenia. Fantazja podsunęła mi pewną historijkę:

- Słuchajcie. Bardzo dawno temu żyli dwaj olbrzymi ludzie, znacznie więksi od Teety. Przybyli z dalekiego kraju, może nawet z nieba. Byli tak silni, że łodziami waszych ojców rzucali jak orzechami kokosowymi. Wasi ludzie upili ich i pokonawszy za pomocą czarów, zabili i wrzucili zwłoki do głębokiego dołu, aby nieżywi nie przynosili im już nieszczęścia. Czy wiecie, gdzie są te groby?

Słuchali uważnie wszystkiego, co tłumaczył Teeta. Po długiej chwili milczenia i zastanowienia jeden z nich wyszedł przed grupkę:

- Grób olbrzyma jest na południowym cyplu sąsiedniej wyspy Arorae!

Czy są tam też kamienie nawigacyjne, wskazujące odległe wyspy na oceanie?

Mężczyzna zapewnił nas, że widział takie kamienie, będąc z ojcem na Arorae. Wyspy tej nie było stąd widać. Znajdowała się w odległości 80 km i była najbardziej na południe wysuniętą wyspą archipelagu Kiribati. Czy mimo niepewnych informacji warto zaryzykować i polecieć na Arorae? Z powodu strajku Butlerowi nie udało się zdobyć za wiele benzyny, ale tak podnieciły go poszukiwania, że poleciał z nami. Już po półgodzinnym locie samolot wylądował po kilku podskokach. Była druga, ale równikowe słońce paliło jakby było południe.

Także na Arorae trzech miejscowi drzemali sobie w cieniu markizy z liści palmowych, także tu było pasło się na terenie, gdzie kołował samolot. Ale za to personel naziemny miał rowery! Teeta jak zwykle zasięgnął informacji, które skierowały nas do pewnego starca, wspaniale znającego okolice. Teraz trzęśliśmy się na sfatygowanych siodełkach dwóch zardzewiałych rowerów.

Żwawy staruszek, któremu schlebiali, że mógł nam udzielać informacji, wyjaśnił w obrazowy sposób i za pomocą gestów, jak znaleźć groby olbrzymów i kamienie nawigacyjne. Z nadzieją myślałem sobie przy tym, że wyspa ma przecież tylko cztery i pół kilometra długości i kilkaset metrów szerokości, a więc ktoś mieszkający tu od lat zna ją na pewno jak własną kieszeń, mimo że *tępe* nie miały kieszeni.

Poprosiłem Teetę, aby postarał się jeszcze o kilka rowerów. Moja prośba obiegła okolice lotem błyskawicy. Na „lotnisko” wracaliśmy w towarzystwie czternastu rowerzystów. Tym, którzy pożyczyli nam swoje pojazdy, wcisnąłem kilka monet i nasza wyprawa ruszyła w czterokilometrową drogę, co nie jest wielką odległością, przynajmniej w cywilizowanym kraju. Na Arorae wszakże był to rodzaj jazdy przełajowej o najwyższym stopniu trudności. Jechaliśmy przez gliniaste blocko i drobnutki piach, przez nierówne pola i tropikalne zarośla, poganiani przez chmary atakujących nas wiernych moskitów.

Staruszek nie obiecywał za wiele.

Na północnym krańcu Arorae, tuż za *manebą*, czyli domem zgromadzeń, rozpościerał się prostokąt, obramowany ułożonymi równo w warstwach płaskimi kamieniami. Kamienny mur wznosił się metr nad ziemię. Nie było grobów ani kamieni nagrobnych. Pięć kroków od rzekomego grobu olbrzyma widać było kwadratowy otwór dołu, gdzie na niewielkiej głębokości słońce odbijało się od lustra wody morskiej. Pastor Scarborough pisał o dwóch olbrzymich grobach. Gdzie jest drugi?

Teeta przetłumaczył moje pytanie i dowiedział się, że przed laty, gdy wznoszono *manebę*, potrzebne było miejsce, zlikwidowano więc drugi grób. Wypiarze nie bali się tego zrobić, bo zły czar prysnął, a z ciał olbrzymów też nic nie zostało. Nieważne, czy pochowane tu olbrzymy były ziemskiego czy pozaziemskiego pochodzenia; nie byłem zdziwiony, że duchy się ulotniły, a kości rozpuściły w słonej wodzie.

Staliśmy teraz przed mogiłą długości 5,3 i szerokości 2,9 metra. O grzebaniu pod kamieniami nie było co marzyć, bo i cóż moglibyśmy znaleźć? Poza tym Butler musiał wrócić przed zmrokiem. Zbieraliśmy się do powrotu nieco pocieszeni, że znaleźliśmy jednak stary mitologiczny grób. Pomyśleliśmy jeszcze szybko o wielbnym Scarborough, a potem zadaliśmy sobie pytanie: gdzie są kamienie nawigacyjne? Powiedziano nam, że na przeciwnym końcu wyspy, daleko za lądowiskiem.

Gdyby nie wszechobecny strajk, mielibyśmy więcej czasu i przylecielibyśmy tu za parę dni, w tej sytuacji jednak musieliśmy wykorzystać okazję jednorazowego zapewne pobytu na wyspie. Powtórzyła się crossowa jazda, ale od miejsca, z którego wyruszyliśmy po południu, nie dało się już jechać na rowerze. Chciało nam się pić. Marsz przez wydmy był prawdziwą torturą. Czasem łapałem się na tym, że mam halucynacje, opisywane przez ludzi, umierających z pragnienia na pustyni. Puls łomotał w skroniach, odbijając się echem w całej głowie. Na dziesięć minut przed dotarciem do celu udało mi się pokonać moje łajdackie drugie ja, które namawiało mnie, abym zrezygnował. Zataczałem się, idąc za Teetą, nie patrzyłem na Williego i Rico, których wplątałem w tę awanturę. Słyszałem, że kaszlą gdzieś za mną i wyobrażałem sobie, z jakim wyrzutem na mnie patrzą. Przed oczami przesuwwały mi się obrazy mitologicznych postaci. Nagle się otrząsałem. Widok, jaki ujrzałem, to nie była *chyba, fata morgana*?

Nie. Tuż obok przyboju widać było monolity, nasz cel: jeden leżał na ziemi, drugi stał pionowo. Zapomniałem o całym zmęczeniu.

Wielkie złomy kamienne, niegdyś przycięte pod kątem, dziś splekane od wiatrów i burz, dotknięte zębem czasu, wznosiły się przed nami. Otaczał je prostokąt, ułożony z niewielkich kamieni. Czy to kolejne mało ważne

cmentarzysko, jakich wiele widziałem na całym świecie?

Całkiem już przytomny zauważyłem, że proste monolity wysokości człowieka wskazują różne kierunki, spostrzegłem przy tym, że na kamiennym grzebieniu są wyryte prościutkie, szerokości centymetra, „drogowskazy”, nakierowane na odległe cele.

Wyciągamy mapę i kompas.

Linia skierowana na południe przecinała oddaloną o 1800 km w linii prostej wyspę Niutao, należącą do Wysp Ellice, dziewięciu atoli. Kolejne wyźłobienie wskazywało na Samoa Zachodnie - oddalone o 1900 km w linii prostej na wschód od Wysp Fidzi. Trzecią linią namierzaliśmy odległe o 4700 km w linii prostej Wyspy Tuamotu, w południowym regionie Oceanu Spokojnego, a w końcu trafiliśmy prawie na Hawaje. Po raz kolejny dziękujemy pastorowi Scarborough z Kapsztadu!

Dwa kamienie nawigacyjne były granitowe, choć granit nie występuje na Arorae, trzy miały cechy skały wulkanicznej, pozostałe były z koralowca.

Próbowałem powiązać ze sobą myśli, jakie zawsze przychodziły mi do głowy w konfrontacji z problemami prehistorycznej nawigacji. Bezsporne jest, że wyspiarze od dawna potrafili się uporać z prostymi problemami nawigacyjnymi za pomocą gwiazd i dzięki znajomości prądów morskich. Fakt ten jednak nie wyjaśnia zagadki, jak pierwsi podróżnicy morscy docierali do celu, o którego istnieniu nie mieli pojęcia. Odbijając od brzegów ojczyzny wyspy, nie wiedzieli, gdzie wylądują ani jak długo będzie trwała podróż. Jeśli cel ich podróży leżał nie wiadomo gdzie, to doświadczenia z podróży w jedną stronę nie były pomocne podczas powrotu, bo gwiazdy zmieniały swoją pozycję. Także prądy morskie i wiatry nie są elementem stałym. Przyjmując, że podstawową pomocą nawigacyjną było rozgwieżdżone niebo, prądy morskie i stale wiejące wiatry, zakładamy, że najdawniejsi podróżnicy morscy dysponowali skomplikowanymi i bardzo zróżnicowanymi informacjami dotyczącymi astronomii, prądów morskich i wiatrów, a zatem wiedzą, jakiej zwykle nie przypisuje się naszym najdawniejszym przodkom.

Pamiętam rozmowę, jaką przeprowadziłem niedawno w muzeum w Wellington w Nowej Zelandii z etnologiem, dr Robinem Watterem. Zagadnięty o problemy nawigacyjne tego rodzaju, Watt odparł, że nie widzi tu żadnego problemu: na przykład Maorysi, lud polinezyjski z Nowej Zelandii, wiedzieli, że na północnym wschodzie istniały archipelagi - dzisiejsze Fidzi, Wyspy Tonga i Samoa - wystarczyło więc, że utrzymywali „mniej więcej kierunek północno-wschodni”, a docierali do którejś z tych wysp, tam zaś otrzymywali pomoc od jej rdzennych mieszkańców.

Kiedy się tego słucha, wszystko wydaje się jasne, później jednak pojawiają się problemy. Hasło „mniej więcej kierunek północno-wschodni” zakłada, że gdzieś w tym kierunku są jakieś wyspy! Załogi łodzi wiosłowych, kanu, a nawet łodzi żaglowych mogą przecież wcale nie zauważyć, że przepływają przez środek jakiegoś archipelagu. Podróż w nieznaną - podróż, z której nie ma powrotu! Oczywiście doświadczeni żeglarze umieli nawigować bez widoczności lądu: pomagały im w tym odpadki, unoszące się na falach, pnie drzew, martwe zwierzęta. Ale jest to pomoc niewielka i nie można na niej polegać w nocy czy podczas sztormu.

Po wysłuchaniu i sprawdzeniu tych wszystkich wyjaśnień odnoszę wrażenie, że prehistoryczni żeglarze znali dobrze cel swojej podróży, zanim wybrali się w drogę, i odpowiednio zaopatrywali się w żywność. Czy posługiwali się wiedzą zdobytą przez stulecia, czy przekazaną im przez mitologicznych *bogów*?

Kto przetransportował tu te kamienie? Kto umieścił je na właściwych miejscach? Kto dysponował danymi, w jakim kierunku znajdują się *niewidzialne* wyspy? Jedynym pewnym punktem wśród tak wielu pytań są lśniące przed nami w blasku słońca kamienie wskazujące kierunek... i mity rejonu Oceanu Spokojnego, z których wszystkie, ale to wszystkie, opowiadają o latających istotach, *bogach*.

Najważniejszy jest mit o ptaku Rupe. Mit ten przypisuje się Maorysom, ale wiele jego wersji pojawia się też w opowieściach innych ludów tego regionu.

Wedle którejś z wersji Hina, jedna z sióstr Rupego, wyszła za mąż za Tinirau, który wziął poślubioną na daleką wyspę, uczynił ją brzemienną, a potem umieścił w domu, który otoczył „osłoną ochronną”, nie pozwalając Hinie opuszczać domu i wchodzić doń osobom obcym. Gdy poród był bliski, Hina pozostała bez pomocy. Zawołała więc w potrzebie: „Rupe! Rupe! Przybądź mi z pomocą!” Za chwilę grzmot rozległ się nad domem, ptak Rupe zaś krzyknął: „Hino! Jestem!”

Rupe zdołał dotrzeć do siostry dopiero po wywierceniu otworu w osłonie ochronnej. Po ciężkim porodzie Hina poprosiła, żeby zawiózł ją z powrotem do ojczyzny, ale przedtem ma przetransportować Tinirau i jego ziomków, ona chciałaby polecieć ostatnia. Rupe powiedział, że aby przewieźć tak duży ładunek, musi wykonać trzy loty. Wyspiarze siedli na Rupem, który, oddalwszy się znacznie od brzegu, wyrzucił wszystkich do morza. Po trzech turach wziął Hinę i noworodka. Z wysokości Hina ujrzała unoszone przez fale zwłoki i ubrania ziomków swojego męża. Zapytała Rupego, dlaczego zabił tych ludzi. Ten zaś odparł: „Uczynili ci krzywdę, gdy żyłaś w ich kraju. Zamknęli cię, a nikt nie pomógł ci przy porodzie. Dlatego wpadłem w gniew i wrzuciłem wszystkich do morza” [5].

Ten Rupe zachowywał się dość dziwnie jak na samolot!

Na Kiribati legenda o Te-Bongi-Ro - czarnej ciemności - opowiada, że mieszkańcy nieba lądowali tu, kiedy

nie było jeszcze ludzi. Zanim odlecieli, na każdej z większych wysp pozostawili po jednym praojcu. W legendzie tej interesujące jest, że imionami praojców - Bai-matoa, Matinaba, Matiriki i pozostałe - określa się gwiazdy i gwiazdozbiory. Czy ten ślad prowadzi nas do doradców, pomagających przy ustawianiu kamieni nawigacyjnych?

Na wyspie Raivavae w Polinezji Francuskiej dawna świątynia Te-Mahara do dziś uważana jest za miejsce, w którym wylądował mityczny bóg Maui, powracający z podróży kosmicznej [6]. Podobnie brzmi informacja przekazana przez pradawnych mieszkańców Atua, jednej z wysp Archipelagu Markizów. Wznosi się tam niewielka góra Kei Ani, uważana za świątynię, choć nie widać tam żadnej budowli. Pradawni Polinezyjczycy nazywali górę Mouna *tuatini-etua*, co znaczy *góra wielu bogów* - albo Mouna *tautini-etua*, co znaczy dosłownie: *góra, na której ładowali bogowie* [7].

Nie bawi mnie nawet potwierdzanie moich hipotez tyłoma mitami i legendami z regionu Oceanu Spokojnego. Przychodzi mi to tak łatwo, mitów jest tyle, że przytoczę tylko najistotniejsze:

O bogu-stwórcy Ta'araroa z Wysp Towarzystwa wiadomo, że:

„Ta'araroa siedział w muszli, w ciemnościach, od niepamiętnych czasów.

Muszla była niczym jaje, pędzące w nieskończonym Wszechświecie.

Nie było nieba ni ładu, ni morza, ni Księżycy, ni Słońca, ni gwiazd.

Wszystko było ciemnością, grubą rozpostartą ciemnością" [8].

W minionym stuleciu szacowni kapłani opowiedzieli etnografom o prabogu Jo:

„Jo poruszał się w nieskończoności Wszechświata. Universum było

pogrążone w ciemności, nigdzie nie było wody. Nie było blasku

jutrzenki, nie było jasności, nie było światła" [8].

O bogu Tagaloa z Wysp Samoa najstarsza legenda opowiada:

„Bóg Tagaloa płynął w pustce, on stworzył wszystko, istniał tylko on.

Przed nim nie było nieba ni ładu, on był zupełnie sam i spał w

otchłaniach przestrzeni. Nie było wówczas morza ni ziemi. Jego imię to

Tagaloa-fā"atutupu-nu'u, co znaczy 'przyczyna wzrastania'" [9].

Na Hawajii istnieje, zapewne za sprawą chrześcijańskich misjonarzy, boska trójca Ku-kau-akahi, którą stanowią trzej bogowie: Ku, Kane oraz Lono. Kane jest stwórcą, który stworzył ludzi „na podobieństwo swoje” [9]. Kane przybył oczywiście z mroków Wszechświata. Kierowane doń modlitwy chwalą jego krainę i gwiazdny świat:

„Wędrowne gwiazdy,

nietykalne gwiazdy,

poruszające się gwiazdy Kane'a,

niezliczone są te gwiazdy.

Wielkie gwiazdy, małe gwiazdy,

czerwone gwiazdy Kane'a.

O, nieskończony Wszechświecie!

Wielki księżyc Kane'a,

wielkie słońce Kane'a,

poruszają się w dalach

Wszechświata".

Ktoś, kto zapyta dziś Kiribaczyków, Maorysów czy mieszkańców innych wysp o legendy, spotka się z brakiem zrozumienia; ludzie ci już nic nie wiedzą o dawnych bogach. Działalność misyjna w regionie Oceanu Spokojnego wytrzebiła stare kultury, zaszczepiając nowe i zabroniła przekazywania „pogańskich” opowieści. Wszelkie znaleziska zawdzięczamy etnografom, zapisującym cierpliwie na przełomie XIX i XX wieku wszystko, co im opowiadano. O tym, że była to syzyfowa praca, pisze etnograf, Robert Aitken:

„Z rozczarowaniem musieliśmy skonstatować, że większość ludzi

przyznaje, iż nic nie wiedzą na temat legend przedchrześcijańskich.

Właściwie każdy potrafi recytować psalmy albo długie cytaty z Biblii,

bardzo niewielu wszakże mogło i chciało mi przekazać, co opowiadano przed wprowadzeniem Biblii" [5].

I tak z biegiem czasu zanika stara, ważna, bez wątpienia niezwykła wiedza. Dziś bezsensowne wojny obracają w perzynę całe miasta i niepowtarzalne budowle. Ale jeśli istotne zdarzenia z naszej najdawniejszej przeszłości wyciera się z ludzkiej pamięci kropidłem, trzymanym w wyświęconych rękach, zakrawa to już na czysty obłęd. Nie przeprowadzę takiego dowodu, ale jestem pewien, że dawne przekazy Kiribaczyków zawierały również wskazówki dotyczące kamieni nawigacyjnych na Arorae, tyle że przekazy te „wytrzebiono” pracowicie z ludzkiej pamięci. Tak więc stoi tu pięć pionowych kamieni, wskazując wyźłobieniami odległe cele, a osiem monolitów leży, wystając jeszcze pół metra nad ziemię. Nigdy się nie dowiemy, jaka technika umożliwiła pierwotnym mieszkańcom wyspy namierzenie nieznanych miejsc na dalekim morzu.

Młody rząd Kiribati nie robi nic dla zachowania tych kamieni. Wie o nich tylko kilku starców, ale oni nie

będą przecież żyć wiecznie.

Tajemnica, która wciąż jest tajemnicą

Na Tarawę dotarliśmy w zapadających ciemnościach. W „porcie lotniczym” oczekiwał nas Peter Heggim, nasz szwajcarski ziomek, wraz z panią doktor Rosiną Hassig, pracującą w miejscowym szpitalu na zlecenie WHO, Światowej Organizacji Zdrowia. Herbata, której picie weszło tu w zwyczaj w czasach angielskiego kolonializmu, a którą smakowaliśmy wraz z panią dr Hassig, zwilżała przyjemnie nasze wyschnięte gardła i ożywiała ducha. Oczywiście natychmiast spytałem krajanek o legendarny czarodziejski krąg, istniejący podobno na Tarawie Północnej.

- Nigdy o nim nie słyszałam - odparła, ale po chwili zastanowienia dodała: - Jeśli ktoś mógłby coś o tym wiedzieć, to tylko nasz ordynator! Pochodzi stąd, dzieciństwo i młodość spędził na Tarawie Północnej, potem wyjechał na studia do Ameryki, ale wrócił do ojczyzny,

Bez zbędnych formalności, dość niekonwencjonalnie jak na tutejsze stosunki, zaprowadziła nas do ordynatora, ja zaś, żeby zabrać mu jak najmniej czasu, od razu spytałem o czarodziejski krąg.

- Tak, on istnieje. Jest *tabu* od nie wiadomo jak wielu pokoleń, a moi rodacy są przekonani, że każda żywa istota, która przekroczy jego granice, umrze. Tylko proszę nie myśleć, że to gigantyczny krąg. Jest raczej nieduży, w środku ma prostokąt wyłożony kamieniami. Jeśli wolno mi panu coś poradzić, to niech pan na ten prostokąt nie wchodzi.

Nie była to diagnoza, ale zalecenie, przepisane przez doświadczonego lekarza, umiającego się posługiwać skalpelem.

- Jest pan przesądny? - spytałem z uśmiechem.

Roześmiał się. Nie, odparł, nie wierzy w widma i duchy, na wszystko znajdzie się w końcu przecież przekonujące wyjaśnienie naukowe, ale póki go nie znaleziono, nie należy puszczać mimo uszu wniosków, jakie jego krajanie wyciągnęli 7 długoletnich obserwacji procesów zachodzących w magicznym kręgu. Widzieli przecież, że zwierzęta, które przebiegły przez krąg, zdychały na zagadkowe choroby.

- Czy to ma coś wspólnego z napromieniowaniem? - rzuciłem.

- Nie, to należy wykluczyć, bo radioaktywność poznano dopiero w czasach Marii Curie-Skłodowskiej, w 1903 roku, a te zdumiewające zjawiska obserwowano od niepamiętnych czasów.

Ordynator nie potrafił ich wyjaśnić, ale potwierdzał istnienie magicznego kręgu, o którym wiedział też wielebny Scarborough.

Nadal nie pracowała wprawdzie służba hotelowa, ale - mimo strajku - mieszkaliśmy w Otintai. Zostawiono nas w spokoju, co było korzystne, bo stąd szybciej docieraliśmy do wyznaczonego celu, niż gdybyśmy przyjęli zaproszenia Teety i zamieszkali w jego domu rodzinnym.

O siódmej rano przyszedł nasz czarny anioł. Mimo strajku zorganizował łódź i trzy kanistry benzyny. Parkocząc, popłynęliśmy na Tarawę Północną. Po półtoragodzinnym płynięciu po lagunie dotarliśmy do wysepki wielkości boiska do piłki nożnej. Teeta poprosił nas o pięć lasek tytoniu i zapalki. Jedno i drugie stałe nosiłem przy sobie i miałem już dość tego zapachu, początkowo sądziłem, że fetor odstraszy moskity, ale te wyraźnie lubiły zapach pogańskich ofiar całopalnych. Teeta wziął tytoń i zapalki i prawą ręką rzucił je przez lewe ramię do morza.

- Po co to robisz? - spytałem.

Wyjaśnił, że w tym miejscu trzeba je złożyć w ofierze duchowi morza. Zapewni nam to bezpieczny powrót. Chrześcijańska wiara Teety, syna pastora, nie była zbyt głęboka. Gdy tylko żaden duchowny tego nie widział, Teeta - jak wszyscy miejscowi ludzie - na wszelki wypadek zwracał się do duchów. Złożyliśmy daninę bogu morza po przebyciu połowy drogi.

Na brzegu Tarawy Północnej kłębiły się miliardy krabów. Bez zastrzeżeń przyjęliśmy oświadczenie Teety, że musi zapytać miejscowych o cel naszych poszukiwań, bo widzieliśmy, że jest to akt wyspiarskiej uprzejmości. Teraz czekaliśmy. W palącym słońcu. Trzy bite godziny. Gdyby nie ostrzeżenie wielebnego Scarborougha *never bath in the sea!* Już dawno pławilibyśmy się w przejrzystej wodzie. Uśmiechnięci wyspiarze zrobili nam przysługę, dając do picia mleko kokosowe.

Teeta wrócił niedużą dostawczą toyotą. Znów towarzyszył mu jakiś starzec, znający drogę do magicznego kręgu. **Była** to polana w tropikalnej gęstwinie, otoczona prostokątem kamieni. U jednego z jego wierzchołków, poza obramowaniem, leżała przewrócona wielka muszla, ale chwała Bogu nie był to nagrobek. Zapanowało pełne napięcia milczenie.

Nasza trójka popatrzyła po sobie z dziwnym wahaniem. Słyszając tyle o niebezpiecznych czarach, byliśmy trochę przestraszeni. Widząc jednak, nieco zaniepokojone, a nieco zaciekawione spojrzenia wyspiarzy, uznaliśmy, że trzeba pokazać, jacy jesteśmy odważni. Spoczywający na nas dobroduszny wzrok Teety zdawał się jednak mówić: „Przyjaciele, dajcie spokój! Nie igrzajcie z duchami!”

Rozejrzeliśmy się. Przed sobą mieliśmy krąg o średnicy 14 metrów, w którego środku znajdował się kwadrat o boku 5,1 m, otoczony wydłużonymi, niewielkimi kamieniami. Kwadrat ten był jedyną rzeczą godną uwagi: nie

rosło w nim ani jedno źdźbło trawy, ani jedna roślina, choć wokół kłębiła się bujna roślinność. W kwadracie leżało wprawdzie trochę kamieni, ale były dość duże wolne miejsca, na których mogło coś wyrosnąć. W tropikalnym ciepłym powietrzu nasiona posadzone jednego dnia wschodzą nazajutrz. A na obszarze objętym *tabu* nic nie rosło. Mógł to być jednak przypadek. Mimo przestróg ordynatora, żebyśmy nie liczyli na nic wielkiego, byliśmy rozczarowani. W każdym razie przesunęliśmy nasz licznik Geigera-Mullera nad przekątnymi kwadratu. Wskaźnik ani drgnął. Willi chciał wejść do środka kwadratu, ale Teeta złapał go żelazną ręką. Całkiem słusznie, bo najpierw trzeba było udobruchać złego ducha obrzydliwym tytoniem. Podobnie jak widzowie podczas finałowego meczu turnieju wimbledońskiego śledzą lot piłki, tak samo tubylcy nie spuszczały z nas oczu.

Obeszliśmy okolice magicznego kręgu, ale nic nie znaleźliśmy, to znaczy nic szczególnego. Tylko bujną tropikalną roślinność. Ale dziwne było to, że zniknęła ona nagle na granicy kręgu. Czyżby jacyś ludzie zajmowali się pielieniem tego skrawka ziemi: z powodu tradycji albo żeby zrobić z innych idiotów? Tylko dlaczego ktoś miałby tak się naharować tylko dla kawału? Ze względu na gorący klimat miejscowi pracują tylko tyle, żeby przeżyć.

Podszedłem do starca i zapytałem, czy we wsi jest jakiś kapłan albo mędrzec, który mógłby opowiedzieć nam o przeszłości wyspy. *Eng-eng!* - przytaknął starzec i zaprowadził nas do chaty, przed którą siedział grubas, wyglądający jak Budda. Jak mi wcześniej przykazano, wyłowilem z lepkich zapasów laskę tytoniu i zapalki, „Budda” złożył ofiarę całopalną, a my, podobnie jak reszta, uklękliśmy przed nim w półkoło.

Po angielsku, wypowiadany z tak gardłowym akcentem, że uszy bolały, *Budda* opowiedział nam, że w kręgu, któryśmy widzieli, panuje najstarszy i najpotężniejszy z duchów, nie znoszący obecności żywych istot w pobliżu: zabija nawet przelatujące nad nim ptaki. Na wyspie jest jeszcze kilka takich miejsc, to jednak, któreśmy widzieli, należy do *powerful spirit*, potężnego ducha. Kto zlekceważy ostrzeżenia przed jego mocą i wstąpi w kwadrat, wkrótce przypłaci to życiem. Chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób do tego dochodzi. *Budda* odparł przebiegle:

- Nie wiemy, nikt tego nie wie, duch zabija swą mocą.

Przez całe lata zwiedzałem święte miejsca wszystkich religii, gdzie zdarzały się cuda: Lourdes, Fatimę, klasztor San Giovanni Rotonda, Guadelupę, Iborrę. Byłem przekonany, że musi istnieć jakaś przyczyna cudownych uleczeń, potwierdzonych przez lekarzy. Wedle najbardziej rozpowszechnionego poglądu przyczyną cudu jest wiara, żarliwe pragnienie odzyskania zdrowia. Jest to pozytywna wiara, czyniąca cuda, i tylko niewierzący odrzucają ją z pogardą jako zabobon. Zadałem sobie pytanie, czy przypadkiem za pomocą tego samego mechanizmu psychicznego nie można powodować oddziaływań negatywnych; osoby, przekonane o śmiertelnym działaniu miejsc magicznych, wierzące w duchy, umierają albo doznają uszczerbku na zdrowiu, przekroczywszy obszar będący *tabu*. Być może wyjaśniałoby to zdarzenia, o jakich wyspiarze opowiadają od najdawniejszych czasów i w które wierzą do dziś.

Podzielałem wprawdzie pogląd ordynatora, że zjawiska mistyczno-magiczne zostaną kiedyś wyjaśnione w logiczny sposób, wątpię jednak, czy uda się to zrobić obecnie stosowanymi metodami badań naukowych. Badania polegające na mierzeniu, liczeniu i ważeniu każdej rzeczy odrzucają zdecydowanie to, czego nie da się zważyć czy zmierzyć. Istnieją jednak siły, których nie można wykazać nawet za pomocą najbardziej wymyślnego technicznego instrumentarium.

Dawni przodkowie Kiribatczyków mówili - a potwierdzają to ich żyjące dziś wnuki - że wejście w zaznaczony kwadrat magicznego kręgu jest śmiertelne. Nie udało mi się tam wykryć nic nadzwyczajnego, ale nie jestem skłonny twierdzić, że wyspiarze byli naiwnymi ofiarami wiary w duchy. Jak długo nie uda się tam czegoś niezwyklego wykryć, zmierzyć, zważyć i policzyć, tak długo zjawisko to będzie zbywane określeniem „cud” albo „zabobon”. Niech więc do chwili przekonującego wyjaśnienia kamienne kręgi z Arorae będą uznawane za cuda i opatrywane sceptyczną uwagą, jaką sformułował Michael Faraday (1791-1867): „Nie ma nic tak cudownego, żeby nie było prawdziwe”.

Teeta zrobił to, czego nie odważyłem się zrobić jako przyjezdny, zatrzymał potok słów wymownego *Buddy* i przynaglił nas do powrotu. Chciał przepłynąć lagunę i jeszcze przed zapadnięciem ciemności ominąć ostre jak brzytwa rafy, które spowodowały zatonięcie niejednej łodzi; poza tym pod wieczór rekiny i ośmiornice sposobią się do kolacji.

Z chęcią poszliśmy za radą naszego czarnego anioła, bo wcale nie chcieliśmy oglądać walki tubylca z ośmiornicą. Wiemy, jak to wygląda: jeden człowiek wpływa między macki ośmiornicy jako żywa przynęta, a kiedy głowonóg zamierza opleść ofiarę mackami, drugi skacze do wody i uśmierca ośmiornicę, gryząc ją między oczyma [10]. Nie widzieliśmy takiej koszarnej walki, ale są one uważane za sport na południowych wyspach Kiribati. Bogu dzięki nie byliśmy również świadkami połowu rekinów, które - zanecone kawałkami mięsa - nurkowie zabijają w wodzie ostrym nożem. Genitalia rekinów są na wyspach towarem poszukiwanym, to afrodyzjak dla mężczyzn, muszka hiszpańska wprost z morza. Sposób zabijania niedużych ryb, długości i grubości ramienia, nie zmienił się od wieków: rybak wkłada sobie do ust głowę ryby i błyskawicznie ją odgryza [10]. Podobno niektórzy tubylcy seplenią, bo ryba była szybsza od odważnego rybaka.

Odpyw wyniósł naszą łódź ponad kilometr od brzegu. Dziesięciu wyspiarzy wyszło nam naprzeciw, brodząc w wodzie. Słońce, wyglądające jak purpurowa kula ognista, zniknęło za horyzontem. Razem z wyspiarzami pchaliśmy i ciągnęliśmy łódź na głębszą wodę. Wokół naszych stóp i łydek kłębiły się kraby, nieprzyjemne w dotyku. W ciemnościach błyskało światło z Bairiki, odbijając się w wejściu do portu Tarawy Południowej. Migotały światła na brzegu. W chatach pełgały kaganki oliwne ze skorup orzechów kokosowych. Nierealnie brzmiały śpiewy nad rajską wyspą. Nad Kiribati zapadała noc.

Bilans pobytu na Kiribati

Nie zaspokoilem do końca swojej ciekawości, został mi jeszcze jeden punkt na liście poszukiwań. Dałem więc Teecie do przeczytania list od wielbego Scarborougha:

„Piszę o odciskach stóp olbrzymów, mogą to być ślady bogów. Być może wyspa leżała na szlaku ich wędrówki. Są to odciski bardzo wyraźne, pozostawione w skale, a można je zobaczyć prawie na wszystkich wyspach. Niektóre z nich znajdzie Pan zaraz za wsią Antebuka, po stronie wyspy bliższej morza, ale na innych wyspach są jeszcze lepsze przykłady. Proszę pójść z Antebuki mniej więcej 300 jardów (275 m) w kierunku najbliższego skupiska domostw, tam znajdzie Pan ślady stóp na płaskiej skale oddalonej o 50 jardów od brzegu. Może się Panu wydawać, że to sami wyspiarze wykuli te ślady, ale wtedy proszę sobie zadać pytanie: po co i dlaczego? Z jakiego powodu wyspiarze mieliby wykuwać na 16 wyspach takie odciski stóp? Proszę pomyśleć, że narzędzia wyspiarzy były kiedyś bardzo słabe. Hipoteza, że zrobili to wyspiarze, nie ma chyba sensu. Proszę sprawdzić miejscowe legendy, mówiące, że są to odciski stóp bogów, przybyłych z nieba”.

Nie widzieliśmy jeszcze wprawdzie odcisków, opisanych przez pastora Scarborougha, ale to o niczym nie świadczy, bo nie pytaliśmy o nie. Dziwne było tylko, że Teeta popatrzył na nas, nic nie rozumiejąc. Naszego dobrego ducha już dawno ogarnęła jednak gorączka łowiecka. Dysponując dokładnymi danymi, rozpoczęliśmy więc we czwórkę podchody.

Obszar, wyraźnie rozgraniczony w liście, był miejscem nader paskudnym. Wprawdzie na podstawie dotychczasowych opisów można było przypuszczać, że cała Tarawa jest cudownym rajem o szlachetnym zapachu, ale i tu zdarzają się kontrasty. Pas wybrzeża o szerokości 50 jardów to istna kloaka.

Wyspiarze nie mają ubikacji ani w chatach, ani obok nich. Od niepamiętnych czasów chodzą za potrzebą na brzeg. Żeby tylne części ich pięknych ciał nie były narażone na uszczypnięcia ośmiornic i piekące czy łaskoczące dotknięcia fauny wodnej, żeby w trakcie tego zajęcia nic im nie przeszkadzało, a cała sprawa była w miarę miła, wzniesli nad wodą chatki na palach, do których w nagłym pośpiechu idzie się po dwóch pniach palmowych, chyboliwych jak lina linoskoczka: podczas przyływu delikwencji, będący pod działaniem *sauer-toddy*, wpadają czasem do wody, podczas odpływu zaś spadają na skały. Te WC-chatki są ośrodkami informacyjnymi wyspy: Kiribateczycy całymi godzinami siedzą w kucki w swoich latrynach, stojących jedna obok drugiej, plotkują, wymieniają nowinki: to po prostu komuna, połączona jedną sprawą. Tu wszyscy są równi. Pod względem praw, potrzeb i celu. Chlup!

Wielowiekowe przyzwyczajenie do oddawania produktów ludzkiej przemiany materii morzu znalazło logiczną kontynuację w błogosławieństwie cywilizacji, która ogarnęła i Kiribati. W przeciwieństwie do odpadów biologicznych, puszki po konserwach i butelki po coca-coli, opakowania z tworzyw sztucznych i niepotrzebne narzędzia nie ulegają rozpadowi, nie wszystko też odpływ wynosi na to wielkie wysypisko śmieci, jakim jest ocean, leżą więc na plaży, niszcząc powoli albo wcale.

Tak więc wyglądał „obszar”, na którym występowały ślady stóp olbrzymów, tak dokładnie zlokalizowany przez wielbego Scarborougha. Zgodnie z dotychczasowymi doświadczeniami i tę wskazówkę powinniśmy wziąć poważnie. Czy to ze względu na brak masek gazowych nasze poszukiwania były nazbyt pośpieszne, czy też zaniepokoiła nas wieść, że z powodu strajku zostaną zawieszony loty, nie pamiętam. W każdym razie plażę w pobliżu wsi Antebuka opuściliśmy nie natknąwszy się na ślady olbrzymów.

Zaraz po krótkim południowym posiłku Teeta pojawił się, szczerząc wszystkie zęby w promiennym uśmiechu. Przerwę w poszukiwaniach wykorzystał na zdobywanie informacji. Powinniśmy się udać, powiedział, do wsi Banreaba, gdzie na gruntach jednego z jego krewniaków są takie ślady stóp, jakich szukamy. Miejsce to nazywa się „Te Aba-n-Anti”, miejsce duchów, ale zwane jest też „Te Kananrabo” - miejsce święte.

Informacja ta doprowadziła nas istotnie do śladów stóp różnej wielkości. Olbrzym musiał żyć na niewyobrażalnie wielkiej stopie, jego ślady miały od pięty do końca palców 1,37 m długości, 1,14 m szerokości, a wyglądały jak pozdrowienia z prehistorii, przypieczętowane na płaskiej skale. Odcisk lewej stopy ma dwanaście palców, z jego środka wystrzela ku niebu palma. Dziwne. Tatusia-olbrzyma otaczała zapewne rodzinka o mniejszych numerach butów, aż do normalnych, a nawet dziecińczych. Większość śladów ma sześć palców, mają one głębokość dobrego centymetra.

W bibliotece znalazłem pracę *The Footprints of Tarawa* [11], wydaną przez Polynesian Society i opatrzoną obszernymi przypisami, dotyczącymi stóp gigantów. Według legendy ślady te zostawił podobno olbrzym Tabuariki, tak wielki, że bez trudu zrywał orzechy z palm kokosowych. Opowiada o nim legenda o Te-Bongi-Ro - czarnej ciemności: był on członkiem drugiej drużyny niebiańskich istot, która najpierw wylądowała

podobno na wyspie Baanaba. Ale jak wyrosła tu palma? W latach czterdziestych naszego stulecia zasadził ją pewien mąż bogobojny, aby - dosłownie - zarosła pogańskie legendy opowiadające o Tabuariki. Taka subtelna metoda botanicznej działalności misyjnej.

Dobrze udokumentowana praca *The Footprints of Tarawa* wymienia wiele miejsc, gdzie występują ślady stóp olbrzymów.

Chętnie bym tam pojechał, ale bez łodzi czy samolotu nawet stosunkowo bliskie cele były nieosiągalne, strajk bowiem sprawił, że stały się równie odległe jak Księżyc. Znaleźiska te muszą więc poczekać na kogoś innego.

Według najnowszych badań Kiribati jest zamieszkane co najmniej od 3000 lat. 3000 lat bez przekazów pisanych to okres bardzo długi. „Bogowie” zrobili dobrze, powierzając skałom swoje ślady: trudno je zatrzeć. Jeszcze w odległej przyszłości będą świadczyć o ich pobycie.

Należy sobie zadać pytanie, w jaki sposób te ślady powstały? Najłatwiej byłoby przyjąć, że kiedyś istotnie je wykuto. Po obejrzeniu i sfotografowaniu paru takich śladów, jakie znaleźliśmy na wyspie, nie odnieśliśmy jednak wrażenia, że tak było: w okolicach pięty i palców mają „naturalne” zaokrąglenia. Po namyśle odpada hipoteza, że powodem odcisnięcia się śladów w skale był ogromny ciężar ciała chodzących. Ileż ton musiałyby obciążać stopy! Już bardziej prawdopodobna jest dość absurdalna myśl, że w ten sposób odcisnęły się w skale wsporniki ładownika kosmicznego! Przekonujące jest też twierdzenie, że ślady powstały, kiedy skała była jeszcze plastyczna, gorąca, albo kiedy jej struktura była inna niż dziś. Ślady bosych stóp odcisnęły się w delikatnym popiele wulkanicznym, który później, pod wpływem warunków atmosferycznych, zamienił się w tu f wulkaniczny, utrwalając odciski.

Również ślady stóp odcisnięte w gliniastym gruncie mogły zachować swój kształt i utwardzić się z biegiem stuleci. Nie wiem, kiedy pojawi się przekonujące naukowe wyjaśnienie śladów olbrzymich stóp, znajdujących się w wielu miejscach naszego globu, skoro wyklucza się jako przyczynę wizytę istot spoza Ziemi. przyczynę wizytę istot spoza

Pożegnanie z Kiribati

Dowiedzieliśmy się od Gila Butlera, że nazajutrz rano na Nauru odlatuje maszyna „Air Nauru”, być może ostatnia w najbliższym czasie, bo strajk w coraz większym stopniu uniemożliwia planowe odloty. Chętnie dorzucilibyśmy jeszcze kilka dni do emocjonującego tygodnia i prawie tak zrobiliśmy - zarażeni wyspiarskim brakiem poczucia czasu - gdyby nie to, że w wieczór poprzedzający odlot ogarnął nas już zachodni pośpiech. Kolację jedliśmy z takim smutkiem, jakby to był nasz ostatni posiłek przed egzekucją. Rozmyślaliśmy, czy opłacała się nam daleka podróż na Kiribati.

Udało nam się zobaczyć jeden z olbrzymich grobów opisywanych przez pastora Scarborougha, widzieliśmy też krąg magiczny. Wiedzieliśmy teraz, że świadectwa najdawniejszej przeszłości istnieją, że dla żyjących dziś wyspiarzy są nadal *tabu*, mimo że „wyznają” oni religię obcą ich kulturze. Nie udało nam się dojść, jakie są przyczyny obawy przed mocą magicznego kręgu. Ujrzyliśmy też kamienie nawigacyjne, nakierowane na cele, które potwierdziliśmy za pomocą map i kompasu. Jak długo będą jeszcze niemymi świadkami umiejętności nawigacyjnych dawnych żeglarzy?

Kamienne zagadki, wystawione na działanie wiatrów i deszczy, rozsypią się kiedyś w proch, znikną też olbrzymie ślady stóp. Wielebny Scarborough, który spędził na wyspach trzy i pół roku, mówił prawdę.

Lepszymi dowodami na niegdysiejszą obecność istot pozaziemskich są jednak przekazy: Nareau, który śpiąc leciał przez Wszechświat i którego obudziło wołanie. Ptak Rupe, który pojawił się z hukiem i ewakuował mieszkańców wyspy. Imiona bóstw z Kosmosu, będące synonimami pierwotnych bogów.

Na pożegnanie znalazł się też Bwere. Przekazując nam pozdrowienia od wesołej i uprzejmej mamy Teety, uśmiechnął się do nas pobłażliwie:

- W krótkim czasie udało wam się obejrzeć zagadkowe miejsca naszych wysp, których ja nie widziałem przez trzydzieści pięć lat. Wiele osiągnęliście, ale wcale wam tego nie zazdroszczę, nie chciałbym być Europejczykiem. Kiedyż wy właściwie macie spokój, kiedy macie czas dla siebie? Skąd bierzecie siłę, żeby żyć w ciągłym pośpiechu? Osiągacie swoje cele, ale zapominacie o życiu!

Na skraju pasa startowego, w hałasie silników, nie umiałem wyjaśnić Bwere, co mnie popycha, poganiam, skąd biorę siłę na to wszystko. To przymus, który czuję nawet we śnie, to potrzeba znalezienia śladów „bogów”, już, natychmiast, nieważne, w jakim zakątku naszego globu.

Nieco z boku stał Teeta, nasz czarny anioł. Patrzył na mnie z ufnością swoimi ciemnymi oczyma. Zapytał:

- Czy dawni bogowie powrócą?

- Tak, Teeta, na pewno!

Tarawa unosiła się na falach oceanu jak raj utracony.

II Z jakiegoś powodu

Cóż to za smutna epoka, w
której łatwiej rozbić atom, niż
zniweczyć przesąd.

Albert Einstein (1879-1955)

Stonehenge i Rollright na stanowisku badawczym - Cudowne dzieła młodszej epoki kamiennej - Kamienne kolosy przekazują doskonałe dane astronomiczne - Problemy z transportem przed 5000 lat - Co obliczyły komputery? - Skąd ludzie epoki kamiennej czerpali wiedzę? - Czarodziej Merlin i rycerze Okrągłego Stołu Pytam niemych świadków - Kamienie i ich życie wewnętrzne - Co pisze Mojżesz o śnie Jakubowym? — O prorokach i ich świętych kamieniach - Zagadka nie rozwiązana!

Hanging stones, wiszące kamienie ze Stonehenge w hrabstwie Wiltshire, w pobliżu angielskiego miasteczka Salisbury, są dla jednych inspiracją, dla innych natomiast kamieniami obrazy, ze względu na wielość poglądów dotyczących ich pochodzenia i znaczenia. Kiedyś zdawało mi się, że na ich temat powiedziano już prawie wszystko, ale prowadzone w ostatnich latach badania naukowe Stonehenge i innych podobnie osobliwych skupisk kamieni sprawiły, że martwe kamienne olbrzymy znów ożyły. Jest trochę tak, jakby same chciały coś mi powiedzieć: rzeczy nowe i pasjonujące. W tej sytuacji czuję, jakby mnie znów zaczepiły, nie mogę ich więc jeszcze odłożyć *ad acta*.

Każdemu turyście bawiącemu w Anglii radzi się stanąć oko w oko z zagadką niemych świadków prehistorii. Nie trzeba ich nawet specjalnie szukać. W różnych rejonach Irlandii, Szkocji i Anglii jest ponad 900 godnych uwagi kręgów kamiennych. Podróżowanie w przeszłość siecią wygodnych dróg - po przyzwyczajeniu się do ruchu lewostronnego - to prawdziwa przyjemność. Całymi kilometrami jedzie się jakby przez ogromny park. Ale wakacyjna przyjemność zmienia się w przygodę, kiedy człowiek wkroczy w obcy świat wielkich kamiennych bloków, megalitów, spróbuje przenieść się w epokę?, w której te tajemnicze kamienne struktury powstawały. Bardzo szybko można się jednak zgubić w labiryncie znaków zapytania: Co przekazują nam kamienne kolosy? Czy kryje się w nich jakiś sens, który potrafimy zrozumieć? Czy mają dla nas jakieś znaczenie?

Oto niewielki katalog kamiennych struktur, które warto zwiedzić.

Szkocja:

- kręgi kamienne z Brodgar i Stenness znajdują się na Mainland, największej z Orkad, około 16 km na zachód od miasteczka Krikwall;
- kręgi kamienne Garrynahine, Cnoc Fillibhir i Callanish znajdują się u zachodnich brzegów wyspy Lewis, należącej do Hebrydów Zewnętrznych, około 22 km na zachód od Stornoway;
- kręgi kamienne Cullerlie i Sunhoney są 21 km na zachód od Aberdeen, przy bocznej drodze B/9119, odchodzącej od A/944, biegnącej z Aberdeen w kierunku Alford;
- tylko 5 km od Altord jest krąg kamienny Old Keig;
- kręgi kamienne Balquahain i Loanhead of Daviot leżą 26 km na północny zachód od Aberdeen, 5 km za miejscowością Inverurie, po prawej i lewej stronie drogi A/96;
- krąg kamienny Tempie Wood znajduje się 1,6 km na południe od Kilmartin przy niewielkiej bocznej drodze, odchodzącej od A/816.

Irlandia:

- krąg kamienny New Grange leży 42 km na północ od Dublina, a 5 km na wschód od Siane przy drodze prowadzącej do Droghedy;
- krąg kamienny Lios znajduje się 19 km na południe od Limerick, 5 km na północ od miejscowości Bruff.

Anglia:

- krąg kamienny Swinside jest 8 km na północ od Miliom na północno-zachodnich wybrzeżach Anglii;
- krąg kamienny Carles-Castlerigg znajduje się 1,6 km na południowy zachód od Penzance;
- krąg kamienny Stanton Drew leży 11 km na południe od Bristolu;
- zwiłkie kręgi kamienne Avebury znajdują się 10 km na zachód od Marlborough, w samym centrum wsi Avebury;
- krąg kamienny Rollright jest na północ od Oksfordu, mniej więcej 3 km na północny zachód od wsi Chipping Norton;
- często omawiany i opisywany krąg kamienny Stonehenge znajduje się na północ od Salisbury, trzy kilometry na zachód od Amesbury: zaraz za rozwidleniem A/303 i A/344 na dobrze oznakowanej drodze A/344.

Jest to 15 najbardziej znanych megalitycznych monumentów. Byłem tam. Na potrzeby moich rozważań najbardziej reprezentatywne dla pozostałych 900 są Stonehenge i Rollright, bo dokonano tam sensacyjnych odkryć, których wyniki dotyczą bez wątpienia również innych struktur megalitycznych.

Stonehenge kryją mroki przeszłości, liczącej 5000 lat. Fachowcy są zgodni przynajmniej co do tego okresu. Pierwszy etap budowy datują na 2800 r. prz. Chr., na epokę neolitu, czyli młodszą epokę kamienną, trzecią epokę w historii ludzkości, której początki przypadają na ok. 6000 r. prz. Chr. W Egipcie nie było wówczas wielkiej piramidy Cheopsa, a w Gizie nie przycupnął jeszcze Sfinks.

Genialne sprawy z epoki kamiennej

Jeżeli zaakceptujemy sprawdzoną ponoć teorię, to w owych czasach pracował tam na pewno jakiś architekt. Trudno byłoby wszakże przyjąć, że rozpoczął projektowanie na własną rękę, bez zlecenia, bo zaplanowana budowla była gigantyczna. Kto polecił wznieść tę budowlę? Czy byli to kapłani z epoki kamiennej, czy potężni władcy? Tego się nie dowiemy, bo wówczas nie znano jeszcze pisma. Utrudniało to także w znacznej mierze perspektywiczne prace projektowe.

Genialny architekt, który rozpoczął kiedyś to wszystko, oparł się - do takiego wniosku dochodzi się po obejrzeniu tych kamiennych świadków historii, pewnych jak opoka - na wielowiekowych obserwacjach Słońca, Księżyca i gwiazd. Zapewne wiele pokoleń zaznaczało na ziemi punkt, gdzie padał cień o wschodzie i o zachodzie Słońca, ludzie ci studiowali również fazy Księżyca i zjawiska na niebie. Nigdy się nie dowiemy, w jaki sposób przekazywano sobie zdobytą wiedzę astronomiczną, bo -jak wspomniałem - pisma wtedy nie było. Pewne jest tylko, że o godzinie „zero” architekt projektujący Stonehenge dysponował pakietem sprawdzonych danych i że wszystkie te dokładne informacje zebrano dzięki prowadzonym bardzo długo obserwacjom, w których trakcie nie stosowano żadnych urządzeń technicznych. Podobno.

Opierając się na przekazanej wiedzy i z nielimitowanym finansowo zleceniem w garści, architekt, obejrząwszy narzędzia, jakimi dysponowali jego pracownicy - krzemienne, kościane i drewniane - uświadomił sobie, że budowa świątyni-observatorium astronomicznego będzie trwała tysiące lat. Postanowił więc stworzyć tylko imponujące podwaliny, kolejne zaś pokolenia miały harować w pocie czoła, kontynuując budowę, zwłaszcza że zakładana dokładność wykonania nie dopuszczała jakiegokolwiek fuszerki. Taka perspektywiczność planów i zaufanie do przyszłych pokoleń były zdumiewające w epoce kamiennej.

W pierwszym etapie budowy Stonehenge powstał okrągły wał z wejściem z dwóch wielkich ciosów. Kilka metrów od wejścia, poza wałem, stanął olbrzymi głaz, zwany *Heel Stone*, czyli kamień pięty. Potem, dla umożliwienia dokładnego przepowiadania zjawisk astronomicznych - na przykład zachodu Słońca w przesilenie zimowe albo wschodu Księżyca w przesilenie letnie - wewnątrz wału rozmieszczono regularny krąg, składający się z 56 otworów, w których przypuszczalnie stały żerdzie, wytyczające określone linie namiarowe.

Żeby poruszać się pewnie wśród punktów, ustalonych metodami matematycznymi, kierownictwo budowy otrzymało od międzynarodowego urzędu miar i wag mającą 82,9 cm długości i stosowaną przez tysiąclecia jednostkę zwaną „megalitycznym łokciem”.

Pierwszy architekt był nie tylko genialnym matematykiem i astronomem, lecz również wielkim jasnowidzem: w projekcie uwzględnił też rozmieszczenie czteroipółtonowych kamiennych kolosów! 700 lat po rozpoczęciu budowy niebieskie kamienie - nazwane tak od ich barwy, widocznej szczególnie pod wpływem wilgoci - przytransportowano z odległości 400 km. Jeszcze raz powtarzam: były one uwzględnione w projekcie pierwotnym.

Ponieważ po raz pierwszy zajmowałem się tak gruntownie tymi osobliwymi budowlami, więc pisząc o tym zadałem sobie pytanie, w jaki sposób bez pisma - którego wówczas nie było, przynajmniej zdaniem archeologów - cała ta wiedza przypadła pierwszym budowniczym Stonehenge, w jaki sposób ludzie ci ją posiadli? Zastanawiam się też, w jaki sposób - uprzedzając przyszłość - podstawowy układ Stonehenge opierał się na sformułowanym znacznie później, twierdzeniu Pitagorasa, żyjącego ok. 570 r. prz. Chr., ponad 2000 lat po rozpoczęciu budowy. Nie rozumiem. Co było pierwsze: jajo czy kura?

Jak się to wszystko zaczęło i co o tym wiemy

Król Jakub T (1603-1625), natknąwszy się na kamienny labirynt Stonehenge, zapragnął się dowiedzieć, co działo się niegdyś na wyżynie koło Salisbury. A że królowie nie byli jeszcze wtedy pod kuratelą parlamentu, zlecił nadwornemu architektowi i modnemu scenografowi Inigo Jonesowi (1573-1652), aby akuratnie zbadał całą sprawę.

Inigo Jones był fachowcem, zaimponowała mu więc pradawna budowla. Zewidencjonował około 30 kamiennych ciosów, ważących po około 25 ton każdy, a mających po 4,3 m wysokości i stanowiących kiedyś wyraźny krąg, mimo że kilka już się przewróciło. Zauważył też, że w kamieniach są wykute gniazda na czopy, pasujące do innych kamieni.

Jones naszkicował monolityczny krąg z pięciu szarożółtych trylitów, czyli układów trzech kamieni, dwóch stojących pionowo i leżącego na nich poziomego oraz potężnego, nie ociosanego *Heel Stone*, znajdującego się poza kręgiem wewnętrznym.

Co powiedział Inigo Jones królowi? Że są to ruiny rzymskiej świątyni.

Kilka lat potem jeden z trylitów runął na tak zwany ołtarz, *Altar Stone*. 3 stycznia 1779 roku „zawaliła się kolejna kamienna brama” [1] Czas dobierał się do Stonehenge.

Zagadkami przeszłości królowie interesowali się chyba bardziej niż osoby sprawujące władzę obecnie, nie dające sobie rady z problemami dnia dzisiejszego, nie mówiąc już o historii. Król Anglii Karol II (1660-1685) zlecił Johnowi Aubreyowi udać się do Stonehenge. Aubrey znał się na zabytkach starożytności, a przed trzydziestu

laty badał kręgi kamienne z Avebury. W 1678 roku odkrył 56 zagłębień, jam, zwanych od tego czasu otworami Aubreya.

Co powiedział Aubrey królowi? Że pomysł z rzymską świątynią to bzdura, że jest to raczej dawna świątynia druidów.

Druidów, czyli staroceltyckich mędrców-kapłanów?

Kapłani owi, powiadała Aubrey, dysponowali nauką tajemną, w astronomii daleko wyprzedzali swe czasy, można więc przyjąć, że to oni byli budowniczymi nadzwyczajnych struktur. Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Od tamtego czasu Stonehenge było powszechnie uznawane za świątynię druidów. Do dziś w dzień przesilenia letniego członkowie zakonu druidów zbierają się w Stonehenge, gdzie czekają ze śpiewem na wschód Słońca, które - patrząc ze środka ołtarza na wschód - ukazuje się dokładnie nad *Heel Stone*.

Prawie 200 lat później, w 1901 roku, sir Joseph Norman Lockyer (1836-1920) zainteresował się fenomenem Stonehenge. Był pierwszym astronomem, który dokładnie zbadał kamiennych świadków prehistorii. Okazało się, że w Stonehenge pojawił się znakomity fachowiec: Lockyer był dyrektorem obserwatorium w South Kensington, pionierem astrofizyki i odkrywcą helu.

Badania astronomiczne doprowadziły Lockyera do przesunięcia datowania początków kamiennych struktur na 1860 r. prz. Chr., z tolerancją plus-minus 200 lat. Tak czy owak była to epoka bardzo odległa od czasów celtyckich druidów, którzy pojawili się dopiero w VI wieku prz. Chr. Trzeba było odrzucić bajeczkę o świątyni druidów.

W naszym stuleciu ożywiły się badania Stonehenge. Znalezione kamienne toporki oraz tłuki i zaczęto się zastanawiać, skąd pochodzą kamienne ciosy. W odległości 30 km były wprawdzie kamieniołomy, w których wydobywano piaskowiec, ale nie wiadomo, skąd wydobyto niebieskie kamienie. A kamienie w Stonehenge rzucały się w oczy.

Na zlecenie Królewskiego Brytyjskiego Urzędu Miar poszukiwania przejął dr Thom, który odkrył, że niewielkie ilości niebieskich kamieni znajdują się w Górach Prescelly w hrabstwie Prebrombshire w Południowej Walii. Było w tym jednak pewne ale: Góry Prescelly są odległe od Stonehenge o 385 km.

Jeśli zaakceptujemy tezę, że niebieskie kamienie wydobywano w Górach Prescelly, to będziemy mieli twardy orzech do zgryzienia: w jaki sposób przed tysiącami lat transportowano je do Stonehenge? Archeolodzy zgodzili się wspaniałomyślnie na wyjaśnienie, jakie stosują zawsze, kiedy zabrną w ślepy zaułek: olbrzymie ciosy przytransportowano na miejsce, ciągnąc je na płozach do rzeki, tam zaś za pomocą tratw załadowano na statki. Po wesołej przejażdżce niebieskie kamienie umieszczono, jak sądzi profesor Atkinson z Wydziału Archeologii Uniwersytetu Cardiff, na tratwach, „składających się z wielu powiązanych pni, które na wspólnym pokładzie mogły unieść skałę” [2].

W 1954 roku przeprowadzono test: trzy pontony połączono dragami, na to zasztauowano niebieskie kamienie tej samej wielkości co ich „koledzy” ze Stonehenge. Czterech młodych ludzi przeciągnęło tę „tratwę” w górę rzeki, a czternastu wciągnęło kamienny blok na saniach na ubocze, stosując do tego obrobione z grubsza rolki.

Zagadkę rozwiązano. Ale czy na pewno?

Tak, jeśli uznamy, że ludzie epoki kamiennej posługiwali się środkami, których nie mieli. Nawet drugi etap budowy, około 2100 r. prz. Chr., odbywał się jeszcze pod koniec epoki kamiennej. Zakłada się więc, lekkomyślnie albo błędnie, istnienie urządzeń bądź warsztatów, których nie było: stoczni, budujących statki specjalnego przeznaczenia, warsztatów powroźniczych, produkujących powrozy do transportu wielkich ciężarów, dźwigów, nawet najprostszych, do przeladunku... Zakłada się też istnienie organizacji transportu, wymagającej sztabu fachowców od przeladunku, doświadczonych dokerów. Przynajmniej o kilka rzeczy za wiele.

Na zarzut, że około 2100 r. prz. Chr. wyspiarze mieli już epokę kamienną za sobą, można odpowiedzieć: udowodniono, że niebieskie kamienie znalazły się na swoim miejscu *przed* rozpoczęciem drugiego etapu budowy, a więc przed ustawieniem gwardii z piaskowca! Można stąd wyciągnąć tylko jeden wniosek: że ludzie neolitu mieli znacznie większe umiejętności techniczne, niż przypisuje im nauka.

Sprzeczność tę zauważył też prof. Atkinson, który przyznaje: „Nigdy dokładnie się nie dowiemy, jak transportowano kamienie” [2]. Naprawdę akademicki wyrok. Dziękuję.

Komputery sprawdzają daty z epoki kamiennej

Czasopismo naukowe „Nature” opublikowało 26.10.1963 roku list astronoma Geralda Hawkinsa ze Smithsonian Astrophysical Observatory w Massachusetts. Uczony oświadczył, że Stonehenge jest z pewnością obserwatorium astronomicznym, bo zarówno 24 budowle zorientowane na ciała niebieskie, jak i możliwości obserwacji nieba wskazują na związki budowli z astronomią. Twierdzenie to poparł Hawkins dowodami w swojej książce *Stonehenge Decoded*.

Hawkins chciał się dowiedzieć, co będzie, jeżeli 56 otworów Aubreya połączy się liniami prostymi ze sobą, z *Heel Stone* oraz z niebieskimi kamieniami i z trylitami. Zrobił to, co zwykle robi się dziś w takiej sytuacji. Wbił komputerowi do głowy 7140 hipotetycznych linii łączących te obiekty i kazał mu sprawdzić, czy określone

linie mają związek z ciałami niebieskimi częściej, niż mogłoby się to zdarzyć za sprawą przypadku.

Wyniki były zdumiewające! Całe Stonehenge okazało się gigantycznym obserwatorium astronomicznym, strukturą, za której pomocą można przewidzieć szereg danych astronomicznych. Astronomowie epoki kamiennej wiedzieli, że pełny obieg *węzłów*, tj. punktów przecięcia się orbity Księżyca z ekliptyką, trwa 18,61 roku. Znajdując się w środku kręgu, widzieli w dzień przesilenia letniego wschód Słońca nad *Heel Stone*. Mogli przewidywać zaćmienia Słońca i Księżyca, określać dokładnie wschód Słońca w dzień przesilenia zimowego, a Księżyca w dzień przesilenia letniego i zimowego.

Tak rewolucyjne informacje nie pozostają oczywiście bez odpowiedzi.

Profesor Atkinson, cieszący się największym autorytetem wśród archeologów zajmujących się Stonehenge, w czasopiśmie „*Antiquity*” [4] wyszydził „Księżyc nad Stonehenge”. Cóż, jego świat walił się z hukiem.

No, bo skąd istoty z epoki kamiennej mogły zawrzeć w „swoim” Stonehenge tak dokładne i skomplikowane informacje? Hawkins i Atkinson weszli na ring, ale nie było ani zwycięzcy, ani przegranego: przeciwnicy tylko się „wyczuwali”. W końcu doszło do kompromisu. Nawet gdy do „spekulacji na temat Stonehenge” włączył się sir Fred Hoyle ze swoim eleganckim piórem, wyrobionym na powieściach *science fiction* [5], po skorygowaniu kilku danych komputerowych zgodzono się, że Stonehenge było obserwatorium z epoki kamiennej, kryjącym w sobie wspaniałe dane astronomiczne.

Także profesor Alexander Thom z Anglii przy badaniu kilkuset struktur megalitycznych we Francji i w Anglii posłużył się komputerem. Wymiary kręgów i linii, wyznaczonych megalitami, wprowadził do łebkiego i obiektywnego mózgu elektronowego, którego zapytał o punkty odniesienia na rozgwieżdżonym niebie.

Rezultaty obliczeń nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Ponad 600 badanych monumentów wykazywało jednoznacznie współrzędne astronomiczne! Kamienie zaczęły mówić. Powiedziały, że dawni budowniczowie uwzględniali nie tylko Słońce i Księżyc, lecz znali również orbity wielu gwiazd stałych, takich jak na przykład Koza, Kastor, Polluks, Wega, Antares, Atria i Deneb [6].

Profesor Thom odkrył też jednostkę miary, stosowaną przez wszystkich budowniczych tych obiektów, nazwał ją „megalitycznym łokciem”. W związku z tym Felix R. Paturi stwierdza, co następuje: „Niewiarygodna prawie zgodność miar stosowanych w Szkocji, Walii, Prusach Zachodnich i w Bretanii pozwala na wyciągnięcie nader interesującego wniosku: przed czterema tysiącami lat istniał zapewne gdzieś w Europie centralny »urząd miar«, dostarczający do różnych części kontynentu drewniane wzorce jednostki długości. Gdyby bowiem każda gmina nie otrzymała od centrali jednostki miary, tylko przejęła ją od sąsiedniej wsi, to błędy pomiarów byłyby z pewnością znacznie większe” [7].

Radziecki geolog i mineralog Władimir Iwanowicz Awiński przedstawił inną fantastyczną hipotezę. W wywiadzie udzielonym agencji TASS oświadczył, że wraz ze swoim zespołem w geometrycznym układzie pięciu trylitów, trzydziestu kamieni kręgu oraz 56 otworów Aubreya w Stonehenge odkrył pentagram, z którego można odczytać wymiary pięciu najbliższych Ziemi planet Układu Słonecznego [8]. Awiński zapewnia, że dane dotyczące wielkości Merkurego, Wenus, Marsa, Jowisza i Saturna różnią się od dzisiejszych o mniej niż jeden procent. No, proszę! Wszyscy zadają sobie oczywiście pytanie, w jaki sposób ludzie epoki kamiennej doszli do takich wyników bez stosowania dzisiejszych teleskopów o dużej rozdzielczości.

Wypad w nieznane

Astronomia jest najstarszą z nauk przyrodniczych, astroarcheologia zaś jedną z najmłodszych, bo istnieje zaledwie od kilku lat. Jest to nauka interdyscyplinarna: zestawia techniki i zdobycze współczesnej archeologii z pewnością astronomii praktycznej. Nauką tą zajmuje się kilkudziesięciu badaczy, budując ją od podstaw [9] - wśród nich są tacy renomowani specjaliści, jak Gerald Hawkins, Alexander Thom, Anthony Aveni, fizyk John A. Eddy i jej inicjator Edwin C. Krupp, dyrektor Griffith Observatory z Los Angeles.

Podoba mi się ta nowa nauka. Wydaje się dowodem na to, że tacy autorzy jak ja, którzy przygotowawali grunt pod realizm fantastyczny, nie całkiem się mylą. Może doprowadzimy do tego, że archeolodzy i astronomowie usiądą przy jednym stole?

Mojej radości z astroarcheologii nie zmąci nawet fakt, że jej przedstawiciele nie są do nas nastawieni przyjaźnie. Przy moim zrozumieniu dla wszystkiego, co ludzkie, potrafię też zrozumieć, że muszą się dystansować od Immanuela Yelikowskiego, Danikena i innych, inaczej mogliby sobie popsuć reputację w kręgach akademickich półbogów i nieomylnych profesorów, w których oczach jesteśmy tylko fantastami i autorami niepoważnych spekulacji, nie mającymi żadnych podstaw do takiej działalności. Astroarcheolodzy sami będą musieli najpierw wytyczyć, tak jak my, obszar swojej działalności, opierając się na spekulacjach i hipotezach, a następnie, podobnie jak my, rozpocząć poszukiwania dowodów do swoich założeń.

Proponując opinii publicznej coś nowego, nie można przebierać w środkach i trzeba być przygotowanym na ataki, nawet jeśli sprawią one człowiekowi przykrość i posypie się przy tym pierze. Ale ataki muszą być rzeczowe. Okazuje się jednak, że nie dotyczy to tej młodej nauki. Edwin C. Krupp gra znaczącymi kartami. Twierdzi on, że ja „zongluję” informacjami. Powiedźcie panu Kruppowi, że nie twierdzę, jakoby pasy startowe na Płaskowyżu Nazca zbudowały istoty pozaziemskie. Krupp wprawdzie mnie cytuje, ale raczej moich książek

nie czytał... albo zongluje informacjami. Moi czytelnicy wiedzą, że nigdy czegoś takiego nie twierdziłem, wysuwałem najwyżej nieśmiałe przypuszczenie, że tak było. Nie jest najlepiej, gdy młoda nauka rozpoczyna od szachrowania w grze. Nie należy to też do dobrego akademickiego tonu. Astroarcheologia musi się jeszcze nauczyć *gry fair*. Ale przecież jest jeszcze taka młoda...

To bardzo interesujące wnioskować ze znalezisk archeologicznych -jeśli można domniemywać, że mają jakieś związki z astronomią -jak nasi dawni przodkowie zdobyli zdumiewającą wiedzę astronomiczną. Aby osiągnąć ten cel, młoda nauka musi się zdobyć na odwagę. Może jeszcze przedzierać się bez kłapek na oczach przez otrzymaną w spadku, hamującą ją wiedzę akademicką. Wolno jej, może, a nawet powinna zbadać pomysły różnych outsiderów. Ale tego nie robi. Patrzą więc zdziwiony na program astroarcheologii, w którym nie ma miejsca na możliwość wizyt istot pozaziemskich. Nakazem rozsądku byłoby zaakceptować tę myśl, żeby któregoś pięknego dnia nie dać się zaskoczyć przez fakty. Edwin C. Krupp nie rzucałby wtedy na papier tak bezmyślnych zdań, jak na przykład: „To zdumiewające, że już w najwcześniejszym projekcie zawiera się ogromna wiedza astronomiczna” [9]. Krupp gubi się w domysłach co do Stonehenge, ale poza zdumieniem nic z tego nie wynika.

Z jakiegoś powodu

Profesor Alexander Thom i jego syn, również Alexander, którzy w Stonehenge czują się jak u siebie w domu, są rozsądniejsi, pozostawiają niektóre sprawy otwarte:

„Trudno sobie wyobrazić, że budowniczy kultury megalitycznej projektowali i realizowali swoje monumenty bez stosowania instrumentarium astronomicznego; a przecież tak było... Budowlani epoki megalitycznej eksperymentowali z geometrią i ustalali metody pomiarów. Nie wiemy, jaki związek miały te wyobrażenia z ich innymi instytucjami, ale z *jakiegoś powodu* odkryte przez nich zasady matematyki były na tyle ważne, żeby je powierzyć kamieniom”. Tak to jest. Dla mnie Stonehenge jest klasycznym wręcz przykładem, że należy uwzględnić możliwość wizyt istot pozaziemskich.

Gdzież są, gdzież byli inicjatorzy budowy Stonehenge i Rollright? Wszystko opiera się jakoby na świętej ewolucji. Twórcy megalitycznych struktur mieli całe pokolenia poprzedników, gromadzących mozolnie jeden okrucz wiedzy po drugim, dodających je do siebie i przekazujących dalej. Tylko gdzież są te małpoludy, wspinające się po drabinie ku wiedzy? Nie ma ich.

Megalityczni architekci ruszyli z robotą od razu, od razu dysponowali całą niezbędną im wiedzą matematyczną i astronomiczną. Mieli nawet jednostkę miary. Od samego początku, bez żadnych kurków doskonalenia zawodowego byli doskonałymi materiałoznawcami, bo zgodnie z obranym celem nakładem ogromnych środków sprowadzali z wielkich odległości określony rodzaj kamieni. Dlatego że miał odpowiednie właściwości?

Zaczynamy pseudonaukową godzinę bajek!

Czytam więc, że około 2800 r. prz. Chr. na północy Europy klimat był podobno cieplejszy i bardziej suchy niż teraz, ogromne połacie Anglii porastały puszcze, w których pasły się wielkie stada bydła, niewielka zaś gęstość zaludnienia stała się przyczyną bogactwa hodowców [10].

Ale tego prościutkiego założenia ekonomiczno-handlowego nijak nie da się obronić. Jeśli założymy, że około 2800 r. prz. Chr. „gęstość zaludnienia” wynosiła 2 osoby na kilometr kwadratowy, że nie było wsi ani miasteczek, to skąd wziął się popyt na mięso, skoro nie było kupujących?

Spokojnie, ekonomiczne bajki będą miały swój morał. Bogactwo sprawiło, że hodowcy bydła mieli mnóstwo wolnego czasu, który wykorzystywali, urzeczywistniając twórcze idee walki o byt. „Możemy więc pomysł wzniesienia Stonehenge przypisać owym hodowcom bydła nawet, gdyby ich życie było monotonne i prymitywne.”

Leniwy musi dużo myśleć! Z tego wynika, że kultura *dolcefar niente* hodowców bydła istotnie nie znajdowała wyrazu w twórczych materialnych, lecz w zdobycach intelektu. Hokus-pokus, ale do tego wszystkiego trzeba mieć jeszcze dobrą pamięć! To zrozumiałe, bo przecież ludzie epoki kamiennej nie umieli pisać ani czytać. Stonehenge jest

- czarodzieje wszystkich krajów łączcie się! - wytworem zupełnie nowej kultury, „kultury pamięci”. A niech to diabli! Geniusze epoki kamiennej!

Hodowcy bydła i chłopcy orali ziemię zaostrozonymi kamieniami albo porożami jeleni. Władali nimi król, który kontrolował wszystko sam albo z mądrymi kapłanami. Król ten nakazał pewnego pięknego dnia rozpocząć tę jakże owocną pracę, polegającą na natychmiastowym wzniesieniu w całej Anglii kamiennych kręgów a la Stonehenge.

Dlaczego? Z jakiegoś powodu. Jednym z najgłupszych byłoby, że kapłani zażądali, żeby wzniesiono takie układy kamieni, bo umożliwi im to przepowiadanie pór roku, wyliczanie przypraw, odpływów i pływów syzygijnych, prognozowanie zaćmień Słońca i Księżyca. Kapłani zażądali zatem kalendarza! Skutek; z braku pisma trzeba było spiętrać ogromne kamienie tylko po to, aby było wiadomo, co wszyscy i tak widzieli: że co dzień jest przypływ, że co dwa tygodnie następują pływy syzygijne, gdzie wschodzi Słońce w dzień przesilenia

letniego i zimowego. Ludzie epoki kamiennej, bliżsi natury niż my, widzieli to wszystko ze swoich chat czy jaskiń. Czy te gigantyczne budowle, wznoszone przez całe stulecia, były naprawdę potrzebne do wyznaczania tego, co wciąż się powtarza? Zupełna bzdura!

Poważane amerykańskie czasopismo „Science” [11] napisało w 1979 roku o liczącym sobie tysiące lat prostym kalendarzu, wymyślonym przez Indian w Chaco Canyon w Nowym Meksyku.

Indianie zauważyli, że promień słońca padający przez szczelinę skalną wykreśla z biegiem pór roku powtarzającą się krzywą. Oznaczyli ją, a w miejscu, gdzie promień Słońca sięgał najwyżej, wyryli spiralę. Gdy promień przechodził przez spiralę wysokości 40 cm dokładnie w 18 minut, było przesilenie letnie. Kiedy promień Słońca przechodzący przez szczelinę obok wykreśla mniejszą spiralę - wysokości 13 cm - wtedy jest początek jesieni albo wiosny. Kiedy oba promienie dotykają dużej spirali - jeden z prawej, drugi z lewej strony - wtedy mamy przesilenie zimowe. Prawda, jakie to proste?

Publikacja w „Science” dowodzi, że nawet prymitywne społeczeństwa nie muszą wznosić monumentalnych budowli, żeby mieć kalendarz. Ale architekci Stonehenge nie byli wcale prymitywni, dowodzi tego ich spuścizna. Nie targano by przecież kamieni przez całe wieki tylko po to, żeby kapłanom podarować taki nieporęczny kalendarz. Nawet ludziom epoki kamiennej nie brakowało rozumu!

Nie jakiś więc, ale bardzo ważny powód skłaniał ludzi wszystkich epok do wznoszenia tak imponujących i nadzwyczajnych obiektów: religia. Należy zatem zadać pytanie, ku czci jakich bogów wznoszono w neolicie monstualne budowle, należałoby też sprawdzić, czy były do tego predestynowane określone miejsca i dlaczego materiał stanowiły niezwykle ciężkie kamienie, nie zaś znacznie lżejsze drewno. Dlaczego stosowano określone gatunki kamieni - w Stonehenge doleryt i ryolit?

Pewien uboczny produkt nauki wskazuje na świeży ślad.

Odkrycia przy okrągłym stole

Dawne legendy mówią o czarodzieju i wieszczu Merlinie. Podczas bitwy toczony w 573 roku po Chr. Merlin, ponoć ranny, umknął w lasy północnej Szkocji, gdzie przez pół wieku żył wśród dzikich zwierząt. Podczas tego przymusowego zbliżenia z naturą otrzymał podobno dar wieszczenia [12].

Czarodziej Merlin pojawia się później jako doradca króla Brytanii Artura, wymienianego przez dokumenty od VI wieku po Chr. Nic dokładnego na ten temat nie wiadomo, w każdym razie legenda o królu Arturze usamodzielniała się i zdobyła sławę w literaturze, od chwili narodzin króla - już wówczas Merlin go chronił - po Okrągły Stół, przy którym Merlin siadywał jako doradca. Dwór króla Artura był uważany za niedościgły wzór rycerskości. Tak też przedstawia go zarówno *Parzival* Wolframa z Eschenbachu (ok. 1170 r.), jak i broadwayowski musical „Camelot”, w którym błyszczał Richard Burton.

Zamek Camelot w hrabstwie Monmouth był ponoć jedną z siedzib dworu króla Artura, przebywały tam wytworne damy i szlachetni rycerze. Wraz z dwunastoma paladynami zasiadał tam król przy Okrągłym Stole. Stół był okrągły, aby wykluczyć spory o pierwszeństwo zajmowanego miejsca. Mebel ten wynaleziono specjalnie dla bohaterskich rycerzy. Ód tego czasu ratował etykietę w wielu drażliwych chwilach, bo przy okrągłym stole każdy władca siedzi na „honorowym” miejscu.

Gdyby Merlin pojawiał się tylko w towarzystwie rycerzy Okrągłego Stołu, nie byłby interesujący dla naszych rozważań o Stonenhenge. Ale ten wszechstronny czarodziej pojawia się też na stronach dzieła *Historia Regnum Britanniae* pióra mnicha Geoffreya of Monmouth. W istocie nie jest to dzieło historyczne, ale historyzująca opowieść w stylu eposów Homera czy Wergiliusza [13].

Geoffrey każe pojawić się Merlinowi - czarodziejowi i doradcy brytyjskiego uzurpatora, króla Yortigerna. Ten subtelny władca kazał zamordować potajemnie w trakcie narady 460 przedstawicieli szlachty. A gdy toporem ścięto mu głowę, jego prawowity następca, król Aureliusz, kazał wystawić pomnik 460 ofiarom mordu. Czarodziej Merlin radził:

„Jeśliście skłonni groby mężów owych przyozdobić dziełem, które trwać będzie wiecznie, to pošlijcie po tanięc olbrzymów, co się w Killaraus znajduje, pewnej górze w Irlandii. Boć są tam kamienne budowle, których nikt w owych czasach podźwignąć nie zdołał, chyba że rozum miał na tyle mocny, aby to uczynić sposobem. Kamienie te bowiem są ogromne, a żadne inne nie mają mocy tak wielkiej. Ustawione w tym miejscu kręgiem, jako teraz i stoją, ostaną tak po wsze czasy [...]. W kamieniach tych bowiem zawiera się tajemnica, moc mają one leczenia cierpień wielu. Dawnymi czasy olbrzymy przyniosły je z dalekiej Afryki i ustawiły w Irlandii, krainie, gdzie wówczas zamieszkiwały” [14].

Król posłuchał rady Merlina, wysłał do Irlandii całą armię, która jednak skapitulowała, ujrzawszy olbrzymie kamienie. Dopiero Merlinowi udało się dzięki zaklęciu - jak pisze mnich Geoffrey - przenieść kamienie do Stonehenge.

Nieważne, co jest w tej legendzie prawdą, a co zmyśleniem, bo Merlin nie mógł udzielać takich rad w VI wieku po Chr., ponieważ budowę Stonehenge rozpoczęto już przed 2000 lat. „Kamienne sedno” legendy należy datować znacznie wcześniej.

Często tak się zdarza. Od kiedy zajmuję się baśniami, mitami, legendami oraz dawnymi podaniami ludowymi,

stwierdzam często, że w przekazach tego rodzaju zasadnicza treść, sedno, jest często zaciemniana przez ozdobniki i fantastyczne dopiski późniejszych narratorów. Rdzeniem opowieści jest natomiast czyjeś przeżycie i doznanie. Późniejsze pokolenia nie wiedziały, o co naprawdę chodzi, nie znały dokładnego przebiegu zdarzenia, niektóre rzeczy dodawano, inne odrzucano, ale istota przekazywanej historii była tak zaskakująca, że przetrwała mimo wielokrotnych zmian „opakowania”. Sedno legendy o Merlinie świadczy o tym, że określone kamienie, posadowione w określonym miejscu, mają niewyjaśnialną moc. Tym samym „krąg” królewskiego stołu przestaje mieć tylko znaczenie dla dworskiej etykiety. W „kręgu” łatwo się porozumieć.

Wypytywanie niemych świadków

Cóż szczególnego jest w megalitycznych głazach?

Czy są tylko materią nieożywioną?

Czy do kamieni w kręgu można „przemówić”?

Czy kamienie te „słyszą”, a może nawet „odpowiadają”?

Gdyby choć na jedno z tych pytań można było odpowiedzieć twierdząco, to trzeba by się zastanowić, w jaki sposób ludzie neolitu poznali fenomen kamiennych kręgów?

Powodowany ciekawością angielski chemik, dr G. V. Robins, specjalizujący się w badaniu kamieni, zaczął zadawać sobie takie pytania. W czasopiśmie „Alpha” [15] przedstawił pierwsze efekty badań Rollright.

Żeby z Londynu dojechać do kręgu kamiennego Rollright, trzeba sobie zrobić półdniową wycieczkę. Z zachodniej części miasta jedzie się autostradą M/80 do Oxfordu, z obwodnicy, okrążającej to stare uniwersyteckie miasto, skręca się na północ w A/34, którą z kolei dojeżdża się do Chipping Norton. Stąd trzeba pojechać drogą M/44. Po czterech kilometrach jazdy na północ po lewej i prawej stronie drogi pojawią się kamienne monumenty, stojące na prywatnym gruncie. Właścicielka terenu chętnie jednak pozwala zwiedzać kamienną strukturę przyjeźdnym z całego świata.

Po dotarciu na miejsce licznik wskaże okrągłe 80 kilometrów.

Krąg Rollright Stones jest trzyczęściowy. Składa się z precyzyjnego kamiennego kręgu o średnicy 31,6 m, są to „Ludzie króla”. W odległości mniej więcej 70 m od kręgu stoi zwietrzały, pionowy menhir, typowy produkt epoki neolitycznej, zwany „Kamieniem królewskim”. Mimo niszczącego upływu czasu wznosi się na 2,6 m nad ziemią i ma 1,44 m średnicy. Na wschód od kręgu znajduje się grupa menhirów, po części leżących na ziemi, zwanych „Szepczącymi rycerzami”.

Co mówią legendy o celu naszej podróży?

Jedna głosi, że kamienie Rollright to król i jego wojowie, których za sprawą czarów przemieniono w głazy, i że gdzieś są groby, w których król śpi wraz ze swymi ludźmi, ale pewnego dnia obudzi się do życia.

Kraży też legenda, że w noc noworoczne „Szepczący rycerze” maszerują do strumyka u stóp wzgórza napić się wody. Kolejna twierdzi, że kiedyś próbowano wynieść nocą jeden z wielkich kamieni, bo był potrzebny jako budulec do wzniesienia filara budowanego mostu. Zawleczono go tam z wielkim trudem, siłami bardzo wielu ludzi i wielu koni, ale rankiem kamień leżał w trawie obok i nie można go było wbudować w most. Budowniczości porzucili więc w końcu swój zamiar i postanowili zatańczyć uparciucha na jego stare miejsce. Zdumiewające było, że do przywiezienia kamienia z powrotem trzeba było tylko dwóch koni i czterech ludzi [16].

W naszych czasach pojawiają się opowieści nie mniej zagadkowe. Ludzie, którzy dotykali kamieni, twierdzą na przykład, że czuli przy tym zawroty głowy. Różdżkarze opowiadają o halucynacjach, zwidach na jawie, którym ulegali w różnych porach dnia, przebywając w kamiennym kręgu. Osoby wrażliwe doznały ponoć w kręgu szoku.

W sumie dość zagadek, aby skłonić do badania Rollright takiego naukowca jak dr G. V. Robins.

Kamienie mają skomplikowane życie wewnętrzne

Dr Robins wraz ze swoim zespołem wyszedł z założenia, że większość kamieni to krzemiany. Krzemiany są najważniejszymi składnikami skał, a stanowią do 95% skorupy ziemskiej. Ich struktura krystaliczna to trójwymiarowa sieć łańcuchów krzemowo-tlenowych, poprzetykana jonami sodu, potasu i glinu. Analityk mówi w przypadku kamieni o „błędnych strukturach fizycznych”, bo geometryczne powiązania poszczególnych atomów kamienia nigdy nie są identyczne. Drobiną kamienia obserwowana pod mikroskopem elektronowym sprawia wrażenie nie uporządkowanej sieci krystalicznej i atomowej mającej wiele luk. Mówiąc obrazowo, luki w sieci działają jak zgrubne filtry. W miejscach, gdzie są luki, filtr przechwytyuje inne atomy, jony, proste cząsteczki i... *elektrony!*

Podobnie jak ludzie, zwierzęta, drzewa i cała materia organiczna również kamienie są w niewielkim stopniu radioaktywne. Radioaktywność ta pochodzi z atmosfery, jest to stała ilość radioaktywnego izotopu węgla. Izotopy te

ulegają ustawicznemu rozkładowi, co powoduje ciągle zmiany sieci atomowej. Powstają luki, wypełniane natychmiast przez jony i elektrony. Przechwycone elektrony sieć wypuszcza z chwilą doprowadzenia do kamienia jakiejś formy energii, na przykład przez napromieniowanie albo wysokie temperatury podczas upałów.

Teoria ta, wedle której w kamieniach i materiale skalnym znajdują się „uwięzione” elektrony, pozwoliła stworzyć nową metodę określania wieku przedmiotów - analizę termoluminescencyjną. Badany materiał jest podgrzewany, uwolnione elektrony redukują swoją energię do niższego poziomu, oddając różnicę energetyczną w formie światła widzialnego. Za pomocą niezwykle skomplikowanego multiplikatora światła, powielacza elektronowego, da się te ilości światła zmierzyć [17], na tej zaś podstawie można wywnioskować, przed iloma wiekami wypalono, na przykład, jakąś glinianą skorupę.

Tę metodę można zastosować do kamieni. Podgrzewa się kamień X, Y albo Z, elektrony zmniejszają swój poziom energetyczny, wydzielając światło. Ilość światła jest wprost proporcjonalna do ilości oddanej radioaktywności, a więc do wieku kamienia, bo czasy rozpadu materiałów promieniotwórczych są znane.

A zatem metoda termoluminescencyjna redukuje uwolnione elektrony do nowego poziomu energetycznego. Do pomiaru pierwotnego poziomu energetycznego elektronów wykorzystuje się natomiast zjawisko tak zwanego elektronowego rezonansu paramagnetycznego. Mikrofałe wyzwalamy przejście z jednego poziomu energetycznego do drugiego, kamień poddaje się działaniu pola magnetycznego... i znów otrzymujemy dające się zmierzyć promieniowanie elektromagnetyczne, zależne każdorazowo od liczby elektronów, ergo pozwalające wyciągnąć wniosek co do wieku badanego kamienia.

Od kiedy istnieje Ziemia, otaczają naturalne pole magnetyczne. Pola magnetyczne powstają też na przykład w miejscach występowania żył rud metali. Kamienie są od tysiąceci poddawane działaniu tych niewielkich sił, w ich wnętrzach wibruje więc wciąż niewielka liczba elektronów, uwięzionych w sieci i wyzwalamy dzięki stałemu promieniowaniu.

O co pokusił się dr Robins?

Wyszedłszy od tej wiedzy, dr Robins zrobił wielki krok naprzód.

Zamiana energii elektromagnetycznej w dźwiękową jest zjawiskiem znanym. Robins spróbował więc zbadać kamienie Rollright stosując detektory ultradźwięków. W latach 1978-1979 dokonywał w różnych porach dnia i nocy pomiarów z zastosowaniem zwykłego przenośnego wykrywacza ultradźwięków. Głowica miernika była chroniona przed zakłóceniami powodowanymi przez przypadkowe mikrofały. Miernik miał dziesięciostopniową skalę.

Najpierw Robins zmierzył oczywiście poziom tła ultradźwięków w okolicach Rollright. Miernik wskazywał między 0 a 1.

Robins jest chemikiem, wie zatem, że o wschodzie słońca kamienie wydzielają promieniowanie silniejsze niż w innych porach dnia. Rankiem dominowało promieniowanie o fali dłuższej, aktywujące elektrony w kamieniu.

Badaczy spotkała pierwsza niespodzianka!

Intensywność promieniowania kamieni Rollright wcale nie zwiększała się powoli podczas wschodu Słońca: nieoczekiwana pulsująca emisja, płynąca z „Kamienia królewskiego” i „Szepczących rycerzy”, zaczynała się na pół godziny przed wschodem, ale nie dotyczyło to kręgu. Miernik wskazywał, że natężenie pulsowania „Kamienia królewskiego” i „Szepczących rycerzy” osiągało na skali niezrozumiale dużą wartość 7, gdy tymczasem ultradźwięki wokół kręgu miały wartość *niższą* od promieniowania tła. Dwie, trzy godziny po wschodzie Słońca pulsacja nagle ustawała. Dotyczyło to tylko „Kamienia królewskiego”, bo aktywność ultradźwięków w obrębie kamiennego kręgu nasilała się, tworząc między „Kamieniem królewskim” a „Szepczącymi rycerzami” pole elektryczne, pulsujące synchronicznie z ultradźwiękami. Wtedy badaczy spotkała druga niespodzianka! Podczas pomiaru jeden z członków zespołu wszedł do kamiennego kręgu i pulsacja nagle ustała! Dr Robins napisał:

„W trakcie wszystkich badań kamienną strukturę o brzasku zaobserwowano silną pulsację pojawiającą się wokół menhiru oraz kręgu, pulsacja ta ustawała z chwilą, gdy ktoś wszedł do kręgu, Zmiany pulsacji intensywnej na bardzo słabą, o wartości niższej od wartości tła i odwrotnie, powtarzały się w trakcie całego okresu badań i zostały potwierdzone przez pewną liczbę świadków” [15]. W ostatecznym protokole z badań Robins potwierdza hipotezę, wedle której kamienne kręgi są „ośrodkami uaktywniania energii” i należy przypuszczać, że ludzie neolitu, którzy wzniesli Rollright, świadomie wykorzystali efekt energetyczny.

Rewolucyjne oświadczenie! Daje nam ono do ręki *dające się zmierzyć* argumenty przeciw teorii ewolucji. Wedle teorii ewolucji na każdy etap rozwoju - nieważne, na jakim polu - składają się małe kroki, każdy etap postępu jest niejako sekwencją pewnych cykli, a czas jego trwania obejmuje tysiące pokoleń. Według tego schematu nic nie może zaistnieć nagle i ot, tak sobie.

Jeżeli ludzie neolitu - pozostaliśmy przy akademickim schemacie - wznosili takie struktury, jak w Rollright, Stonehenge i gdzie indziej, a zakładamy, że znajdowali się na etapie rozwoju niższym od naszego, to ich poprzednicy na pewno nie byli od nich mądrzejsi. Tak twierdzi ewolucja. Ergo: na całej Ziemi nie było nikogo, od kogo budowniczy tych struktur mogliby dostać podręczniki, narzędzia miernicze i tabele, aby budując układ kamieni świadomie wywołać pulsację, udowodnione dziś za pomocą instrumentarium najnowocześniejszej fizyki i chemii. Nikt nie uczył ludzi neolitu, jakie kamienie, na jakim miejscu i w jakim układzie wywołają efekt

energetyczny. Ale efekt ten musieli znać, nim go wykorzystali. To, że kamienie pozostają w łączności z gwiazdami, wcale nie pomaga w rozwiązaniu zagadki, sprawia, że staje się ona bardziej skomplikowana, choćby ze względu na rozrzut takich struktur po całym świecie!

Ponieważ, jak mnie zapewniono, nie wchodzi tu w rachubę działanie istot pozaziemskich, to zapewne w potwornym, chorym umyśle jakiegoś neolitycznego dyktatora dojrzała myśl o zmuszeniu rodaków do wyłożenia placów zabaw ogromnymi głazami, a ponieważ dyktatorzy pozostawiają po sobie zwykle następców, naśladowali go gorliwie inni szaleńcy, zmuszając ludność knutem do kolejnych wysiłków. Przez wiele wieków kamienne kręgi powstawały w Anglii, Szkocji, Irlandii i nieco rzadziej również na kontynencie. Przyjęto, że jest to „zaraza” europejska, ograniczająca się do stosunkowo niedużego obszaru. Ale to bzdura! Kamienne kręgi są na całym świecie: w Indiach, Afryce, Australii, Japonii, w regionie Oceanu Spokojnego. Oto adresy najważniejszych:

- kamienny krąg Brahmagiri znajduje się na południe od rzek Narmada i Godavari w południowych Indiach;
- kamienny krąg Sillustani znajduje się nad Jeziorem Titicaca w Peru;
- kamienny krąg Msoura znajduje się w północnym Maroku;
- kamienny krąg Nioro du Rip znajduje się w senegalskiej prowincji Casamance, na południe od rzeki Senegal;
- biblijny kamienny krąg Gilgal znajduje się na wschodnich krańcach Jerycha. Wymienia go już Biblia; podobno prorok Jozue ustawił w kręgu 12 kamieni na pamiątkę przejścia przez Jordan. Kamienie symbolizowały ponoć 12 plemion Izraela;
- kamienny krąg Ain es Zerka znajduje się we wschodniej Jordanii;
- kamienne kręgi Ajun uns Rass znajdują się na stepowej wyżynie Nędz w Arabii Saudyjskiej;
- australijski kamienny krąg znajduje się na południowy zachód od Pustyni Emu: 28°58' szerokości południowej i 132°00' długości wschodniej;
- na Honsiu i na Hokkaido koło Nonakado znajduje się wiele prehistorycznych kamiennych kręgów i kamiennych kół;
- profesor Marcel Homet odkrył na granicy peruwiańsko-ekwadorskiej kamienny krąg Quebrada z Queneto, leżący na poziomie morza;
- na wyspie Naue, należącej do archipelagu Tongarewa, znajduje się kamienny krąg. W literaturze na ten temat napisano wyraźnie, że- kręgu tego nie można uznać ani za grób, ani za świętość plemienną, *marae* [20];
- kamienne kręgi Portela de Mogos i Boa Fe znajdują się 16 km na zachód od Evora w Portugalii [18].

Z jakiegoś powodu ludzie neolitu uczynili budowanie kamiennych kręgów ogólnoswiatowym kultem, Z *jakiegoś powodu* - to określenie jest, moim zdaniem, zbyt mętne, zbyt płynne, zbyt niedokładne. Chętnie poznałbym prawdziwą przyczynę tego, że preinkaskie plemiona Peru postępowały tak samo jak australijscy Aborygeni, senegalscy Murzyni, a także Hindusi, Japończycy czy wyspiarze z regionu Oceanu Spokojnego, nie mający kontaktów z innymi częściami świata, odlegli od innych cywilizacji i kultur. Przyszłoby, że nie wszystkie kamienne kręgi na świecie pochodzą z tej samej epoki, ale budowniczymi byli zawsze ludzie prości, nie mający zielonego pojęcia o istnieniu promieniowania.

Kamienny sen Jakuba

Mówi się, że kamienie zawsze były dla ludzi czymś świętym. To prawda. *Pewne* kamienie czczono i czci się po dziś dzień: kamienie nagrobne, pamiątkowe. Jakub, patriarcha Izraela, wznosił nawet kamień pamiątkowy swojego snu:

„Jakub zaś wyruszył z Beer-Szeby i udał się do Haranu. A gdy przybył na pewne [święte] miejsce [Betel], zatrzymał się tam na noc, gdyż słońce zaszło, i wziął jeden kamień z tego miejsca, podłożył go sobie pod głowę i zasnął na tym miejscu” (I Mojż. 28, 10 nn.). Niczego nie trzeba tu dodawać. Jakub przybył tu i wziął sobie pod głowę przewrócony zapewne kamień. Był to jeden ze szczególnych kamieni z poświęconego miejsca, w którym Jakub zasnął i miał sen: „I śniło mu się, że była ustawiona na ziemi drabina, której szczyt sięgał nieba, po niej zaś wstępowali i zstępowali aniołowie Boży. A Pan stał nad nią i mówił: [...] Potomstwo twoje będzie liczne jak proch na ziemi i rozprzestrzenisz się na zachód i na wschód, i na północ, i na południe, i będą błogosławione w tobie i w potomstwie twoim wszystkie plemiona ziemi” (I Mojż. 28, 12 nn.). Werset dalej czytamy:

„[...] bo nie opuścę cię, dopóki nie uczynię tego, co ci przyrzekłem” (Mojż. 28, 15).

Cóż takiego przyrzekł Pan Jakubowi? To, że potomstwo Jakuba rozprzestrzeni się na całą Ziemi, że Pan go nie opuści. Abstrahując od przypisywanej mu płodności, Jakub nie zdołałby przez całe życie spłodzić tylu synów i córek, aby rozprzestrzenili się po wszystkich kontynentach, Pan musiał go więc aktywnie wspomóc, bo jego przyrzeczenie nie odnosiło się do nieokreślonej przyszłości: nie opuści Jakuba przed wykonaniem polecenia. Jakub czuje się dziwnie. Nie przeczuwa, że w „tym miejscu” będzie rozmawiał z Panem:

„A gdy Jakub się obudził ze snu, rzekł: Zaprawdę, Pan jest na tym miejscu, a ja nie wiedziałem. Zdjęty trwożą, rzekł: O, jakimże lękiem napawa to miejsce! Nic tu innego, tylko dom Boży i brama do nieba. I

wstawszy wcześniej rano, wziął Jakub ów kamień, który sobie podłożył pod głowę, postawił go jako pomnik i nalał oliwy na jego wierzch" (I Mojż. 28, 16 nn.). Oto fakty:

- podczas swojej wędrówki Jakub dociera do miejsca, gdzie są święte kamienie;
- bierze sobie jeden pod głowę i zasypia, nie mając pojęcia o magicznym działaniu „poduszki”;
- ma obrazowy sen: aniołowie wstępują i zstępują po drabinie sięgającej nieba;
- Pan czyni mu obietnicę. Czy wszystko to było tylko snem, czy jawą?

Jeśli snem, to obietnica Pana nie miałyby sensu. Sny nie są wiążące, są czymś niematerialnym.

A jeśli był to nie tylko sen? Jeśli kamień, na którym Jakub wsparł głowę, sprawił, że w jego umyśle powstał obraz niebiańskiej drabiny? Czy ciepło jego głowy wyzwoliło w kamieniu pulsację?

W świętych miejscach każdy kamień jest bez wątpienia szczególnym kamieniem o szczególnej historii. Czy kamień ten wzmocnił działanie prądów mózgowych? A może Jakub był medium szczególnie podatnym na takie wpływy? Czy jakaś uprzywilejowana istota mogła się porozumiewać z ludzkimi umysłami za pośrednictwem tego kamienia? Czy określone kamienie działają jak „nadajniki”, wrażliwi zaś ludzie jak „anten”, gdy tylko sprzęgnie się je z innymi umysłami ludzkimi?

Wydaje się, że to czyste spekulacje. Trzeba jednak udowodnić, że to nie bujanie w obłokach.

Ludzie nie zawsze sami wpadają na pomysł postawienia pamiątkowych kamieni. Często myśl taką podsuwa im Bóg (albo bogowie). Mówi o tym również Biblia. W Księdze Jozuego Pan poleca ustawić w określonym miejscu dwanaście pamiątkowych kamieni:

„I uczynili synowie Izraelscy tak, jak nakazał Jozue: wydobyli dwanaście kamieni ze środka Jordanu, jak powiedział Pan do Jozuego, według liczby plemion izraelskich, i przynieśli je z sobą na miejsce, gdzie mieli nocować, i tam je złożyli. Postawił też Jozue dwanaście kamieni pośrodku Jordanu w miejscu, gdzie stały nogi kapłanów niosących Skrzynię Przymierza. Są one tam do dnia dzisiejszego" (Joz. 4, 8 n.).

Kamieni tych nie można traktować tylko jako pomniki. Miały opowiadać tę historię po wsze czasy:

„Jozue spisał też te słowa w księdze zakonu Bożego oraz wziął wielki kamień i postawił go tam pod dębem, który był przy świątyni Pana. Wtedy Jozue rzekł do całego ludu: Oto ten kamień będzie świadkiem przeciwko nam, gdyż słyszał wszystkie słowa Pana, którymi On do nas przemówił; będzie też świadkiem przeciwko wam, abyście się nie zaparli Boga waszego" (Joz. 24, 26 n.).

Kamień „słyszał słowa”? Jozue uznaje go za quosi-świadka, który słyszał, co mówiono. Cóż jednak wart niemy świadek? Czy Jozue wiedział o niezwykłej umiejętności zapamiętywania przez kamień rzeczy zasłyszanych? Czy spodziewał się, że kamień przechowa informacje? Może się okaże, że jesteśmy na tropie czegoś o właściwościach taśmy magnetycznej.

O przemożnej mocy świętych kamieni

W Azji Mniejszej bogini Kybele, „Wielka Macierz”, przekazywała swoim greckim ziomkom prorocтва, uzyskiwane za pomocą „świętego kamienia”. W 250 roku prz. Chr. drogocenny ów przedmiot zawieszono do Rzymu. Koleżanka Kybele, Laodikeia, takimi samymi metodami zdobywała swoje *newsy* na wybrzeżach Syrii [21]. W Delfach Pytia działała nad półokrągłym kamieniem, uważanym przez Greków za pępek świata, a zwanym Omfalos, co po grecku znaczy właśnie pępek. Omfalos znajdował się w środku świątyni i był odpowiedzialny za najnowsze informacje ze świata - o przepraszam! - za codzienne rozmowy na temat przeszłości i przyszłości, przekazywane wprost z jego wnętrza.

Mohanimed Ibn al-Chatib z Kufy pisze w swojej *Księdze bóstw* o staroarabskich świętych kamieniach, o kamieniach cudownych, z których najslawniejszy, mający półtora metra wysokości, jest wmurowany w południowo-wschodni narożnik Kaaby w Mekce. Kamień ów stanowi mistyczo-religijny ośrodek świata islamu. Kaaba, w której oddaje mu się cześć, jest pustym pomieszczeniem bez okien. Sam Mahomet uznał Kaabę za centrum swojej religii, Czarny Kamień (arab. *al-hadżar al aswad*) zaś za ośrodek myśli wszystkich muzułmanów. Na całym świecie 650 milionów wyznawców islamu oddaje w codziennej modlitwie pokłony w kierunku tej świętości. Swoje pragnienia i nadzieje ślą nad morzami i górami ku Czarnemu Kamieniowi, od którego oczekują też wzajemności. Co najmniej raz w życiu muzułmanin musi udać się z pielgrzymką do Mekki i dotknąć kamienia, bo inaczej nie dostąpi wiecznej szczęśliwości. Dzieje się tak dlatego, że przy każdym dotknięciu wierny jest „rejestrowany” przez kamień. Nic więc dziwnego, że jak przez 1200 laty, tak i dziś miliony wyznawców islamu dotykają i całują Czarny Kamień osadzony w srebrnej obřęcy.

O co chodzi w przypadku Czarnego Kamienia? Co kryje on w sobie? Co potrafi? Na czym polega wyjątkowość, którą odkrył Prorok?

Ponieważ legenda twierdzi, że Czarny Kamień spadł z nieba, natychmiast uznano, że to meteoryt, skała lub bryła niklu pozaziemskiego pochodzenia, która nie spłonęła do końca w atmosferze.

Przypuszczenie to nie jest poparte żadnymi dowodami, bo nie przeprowadzono analiz chemicznych Czarnego Kamienia. Mahometanie nie dopuszczają niewiernych do Kaaby, co dopiero mówić o pozwoleniu na zbadanie ich świętości. Może istotnie chodzi o zwykły meteoryt, niezrozumiała jest tylko jego wciąż ogromna atrakcyjność od czasów Mahometa (570-632 r. po Chr.).

Meteority najróżniejszej wielkości co dzień spadają wszędzie na naszą staruszkę Ziemię, również w krajach

arabskich, ale jakoś nie słyhać, żeby któryś uznano za święty. Może jest to jakiś kamień bardzo szczególny, który nie *spadł* z nieba, lecz z nieba *przybył*. To nie taka drobna, to wielka różnica.

Robić zagadkę z czegoś, co nie jest zagadką?

Burl Aubrey poświęca mi nieco uwagi w swoim wspaniałym albumie o prehistorycznych kręgach kamiennych w Anglii i Irlandii: „*Von Dniken approach of making mysteries out of non-mysteries*”, to taka metoda von Danikena - robić zagadkę z czegoś, co nie jest zagadką [22], Arthur C. Clarke, autor wielu książek *science fiction*, podkreślił w pewnym magazynie uogólniające zdanie: „Świat pełen jest prawdziwych zagadek. Denerwują mnie tylko głupcy, próbujący robić zagadki z rzeczy, które możemy wyjaśnić do końca” [23].

To jest właśnie ten obrzydliwy sposób szybkiego załatwiania „innowierców”. Skoro my, realistyczni fani, jesteśmy tak mierni, to dlaczego ktoś się nami w ogóle zajmuje? Pewnie dlatego, że niektórych drażnią nasze natrętne pytania, że niektórych obiegowych wyjaśnień nie chcemy uznać za logiczne, że nie uważamy za *tabu* skamieniałych ze starości, choć nader wątpliwych teorii, że poddajemy je w wątpliwość.

Z przyjemnością czytuję rubrykę „Nauka przed stu laty, łapiąc się przy tym często na aroganckiej myśli: Rany Boskie! Tak brzmiało ostatnie słowo ówczesnej nauki? Od razu jednak biorę się w karby i myślę sobie: Taka była *wówczas* najnowsza zdobycz nauki, dokonana w najlepszej wierze. Czas koryguje błędy, rezultaty nowszych badań zastępują wiedzę starszą, którą co parę lat trzeba wietrzyć i trzepać. To normalne i uczciwe.

Godna podziwu jest wyniosłość moich oponentów, którzy zawsze dysponują najświeższymi i najpewniejszymi informacjami na temat istoty świata. Godna pozazdroszczenia jest ich elitarna pycha, do tego ta odwaga. Ja solidaryzuję się z ludźmi ciekawymi, wybiegającymi myślą w przyszłość, nie obawiającymi się możliwości udowodnienia *jutro* tego, co *dziś* jest niewyobrażalne. „Nie można rezygnować z silnika tylko dlatego, że prorok Mahomet jeździł na wielbłądzie”, powiedział Datuk Husein Onn, premier Malezji.

Problemy związane z budową megalitycznych struktur i transportem materiałów uznano w wielu mądrych książkach za rozstrzygnięte. Problemy te można rozwiązać na wiele sposobów. Najbardziej przeszkadza mi jednak w zaproponowanych wyjaśnieniach to, że stale wychodzi się od możliwości *dzisiejszych*, tak jakby dzięki fantazji, oczywiście naukowej, można było się przenieść w czasy prehistorii. Ale to tylko mrzonki. Żadnego z naukowców przy tym nie było. To, co przedkłada się jako rozwiązanie, jest nadal tylko jedną z wielu hipotez. Ci, którym się zdaje, że byli naoczni świadkami tych zdarzeń, proponują wciąż te same rekwizyty: płozy, liny, rolki oraz równie pochyłe usypane z piasku albo zrobione z gliny. Ponieważ nasze wyobrażenia o ówczesnych metodach transportu ograniczają się do takich środków, wszelkie wątpliwości co do tych metod uznaje się za świętokradztwo, za bluźnierstwo. O naszych naukowcach mam wysokie mniemanie, ale im nie wierzę. Są bowiem ludźmi, a więc popełniają błędy, tak samo jak ja, jak my wszyscy. Nie staną się bogami nawet wtedy, kiedy zasiądą na swoich wspaniałych katedrach.

Zadam szokujące pytanie: co by było, gdyby tysiące lat temu doprowadzano kamień do stanu galarety, tężejącej potem na placu budowy? Czyż nie inaczej rzecz się ma z cementem, dostarczonym na miejsce budowy w olbrzymich samochodach-betoniarce? Łaski, o panowie wszystkowiedzący, to tylko pytanie.

Zadałem je prowokacyjnie i już widzę, jak moi zręczni przeciwnicy cytują je, wyrwane z kontekstu! Upprzedzę ten atak: *nie twierdzą*, że budowniczości kultury megalitycznej pracowali w ten sposób!

Równie dobrze mógłbym stwierdzić, że wielotonowe głazy mogły być wleczone centymetr po centymetrze, przez setki kilometrów, linami, zawiązanymi na gołych szyjach ludzi neolitu. Jeśli wiara zapewnia zbawienie, to na tamtym świecie roi się od archeologów. Ale my się tam nie spotkamy, bo ja nie wierzę w ich hipotezy, często utopijne.

Chyba od najdawniejszych czasów święte kamienie łączono z „bogami”, a przynajmniej z niebem, były one bowiem nakierowane -jak kamienne kręgi - na określone gwiazdy. Czy niebo obserwowano stale, ponieważ „bogowie” przyrzekli, że wrócą? Stanowiłoby to sensowny motyw kultu religijnego i wytłumaczenie tak strasznej pracy przy realizacji kamiennych struktur, ale nie wyjaśnia to pochodzenia wiedzy astronomicznej, metod wyboru na budowę miejsc eksponowanych i stosowania szczególnych materiałów. A może?

Kultem religijnym nie można też tłumaczyć mojżeszowej relacji - mimo że Pan odgrywa w niej pewną rolę - dlaczego po obudzeniu się Jakub postawił swoją kamienną poduszkę pionowo i nalał na wierzch oliwy. Dlaczego namaścił kamień? Czy był to rytualny obrządek religijny, należny kapłanom? O co chodziło mu naprawdę, przecież wiedział, że oliwa zacznie parować, a potem się zapali w gorących promieniach słońca? Czy w ten sposób dziękował kamieniowi, który z nim „mówił”? Bez wątpienia Jakub był jakby w transie, gdy podnosił głowę z kamienia. Czy podobnie czuła się Pytia rozmyślająca koło kamienia, zwanego Omfalos? Czy z tego kamiennego „pępka świata” czerpała swoje przepowiednie? Dawne pisma twierdzą, że pani Pytia wprowadzała się w stan ekstazy-jasnowidzenia, wdychając wyziewy, płynące ze szczeliny skalnej. Zarówno wewnątrz, jak i wokół świątyni delfickiej, mimo skrupulatnych poszukiwań, nie znaleziono żadnej skalnej szczeliny, z której mogłyby wydobywać się jakieś wyziewy. Czy Pytia porozumiewała się z Omfalosem? Czy była medium, a na jej pytania kamień udzielał dwuznacznych odpowiedzi?

Szukam wskazówek, które pozwoliłyby mi wysnuć wnioski, że istoty pozaziemskie oddziaływały na ludzi

epoki kamiennej. Dotychczasowe badania megalitycznych budowli nie wykazały nic, co mogłoby być tego dowodem. Kto wierzy w coś takiego, niech przeczyta jedną mądrą książkę na temat Stonehenge, a zrozumie, że założenie obecności istot pozaziemskich na Ziemi jest niezbędne do rozwiązania zagadki. Wszystko będzie wiadomo. Jeśli natomiast choć na chwilę wybiegniemy myślą poza „udokumentowaną teorię”, to okaże się, że w skomplikowanych sytuacjach istoty pozaziemskie mają ogromne znaczenie.

Istnieje mnóstwo legend, mówiących o tym, że „bogowie” przyrzekli powrócić na Ziemię w odległej przyszłości. Ludzie mieli nadzieję, że „bogowie” powrócą. Nie zbadano dotąd, czy w megalitycznych budowlach nie kryje się matematyczny klucz, zawierający dane na temat terminu ich powrotu. Ponad 600 budowli, jakie zbadał prof. Thom, jest zorientowane astronomicznie. Tylko „bogowie” wiedzą, dlaczego. Nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że kamień nadawał się wyśmienicie, aby istoty pozaziemskie powierzyły mu informacje. Występował w wystarczającej ilości, mógł przetrwać tysiąclecia, pozwalał na wznoszenie monumentalnych budowli, będących jednocześnie sygnałami i zwracających na siebie stale uwagę?. Oto moja hipoteza:

Przed tysiącami lat „bogowie” wyjaśnili ziemianom, *jak* budować kręgi kamienne, jaki materiał się do tego nadaje, w jakiej kolejności i gdzie rozmieszczać poszczególne kamienie, aby kiedyś można było odczytać przesłania, zawarte w tych strukturach.

„Bogowie”, którzy stworzyli nas na podobieństwo swoje, zakładali, że u przyszłych pokoleń nowego gatunku, powstałego za sprawą przeprowadzanych przez nich manipulacji genowych, inteligencja osiągnie ich poziom i wszystko zrozumiemy. Mylili się. Nic nie zrozumieliśmy.

Jeżeli rację ma Władimir Awiński, twierdząc, że z układu Stonehenge można odczytać wielkość pięciu planet najbliższych Ziemi, to maczały w tym palce istoty pozaziemskie. Nie ma innej możliwości. Jeżeli ludzie neolitu - jak chcą Louis Charpentier [24] oraz Robert Wernick [25] - wznosili ważne budowle w punktach przecinania się żył energetycznych wnętrza Ziemi, to maczały w tym palce istoty pozaziemskie, bo istnienie tych żył wykazano naukowo dopiero za pomocą nowoczesnej aparatury. Jeżeli to prawda, że wyszkoleni kapłani albo media, mające odpowiednie predyspozycje, potrafiły porozumiewać się z pulsującymi kamieniami, to maczały w tym palce istoty pozaziemskie,

Z jakiegoś powodu.

Z jakiego powodu?

III. Duch - praprzyczyna wszelkiej materii

Pytanie „dlaczego¹?” jest źle zadane Powinniśmy raczej zapytać „dlaczego nie”

George Bernard Shaw

Wszechświat jest nieskończony w czasie i w przestrzeni - Trzeba odmitologizować naukę? - Małe wszy mają, zawsze jeszcze mniejsze wszy - Zmiana sposobu myślenia - Doświadczenie z elektronem - Kto stworzył stwórcę? - Moloch *czarna dziura* - Śmierć gwiazdy - Cała materia była co najmniej raz wewnątrz jakiejś gwiazdy - Einstein żyje¹ - Co jest *tabu* Tajemnice polinezyjskich miejsc kultu - Nauka wykazuje, że prehistoryczne kamienne rzeźby mają pole magnetyczne — Najnowsze badania istoty magnetyzmu ludzkiego - Jaki wpływ na naszą planetę wywarły istoty pozaziemskie

W trakcie dyskusji w Illinois Institute of Technology pewien student zadał mi pytanie.

- Czy wierzy pan w swoją teorię?

- Nie wolno mi i me mogę w nią *wierzyć*, bo jestem przekonany o jej prawdziwości. „Wiara” jest przywilejem religii, jest rodzajem uczuciowego zaufania autorytetowi, jakiejś nauce. W tym sensie słowo „wierzyć” znaczy, że tajemnica natury jest tak prosta, jak jest Punkt po punkcie muszę przekonywać ludzi za pomocą faktów, bo me jestem ani przywódcą sekty, ani założycielem nowej religii.

Jestem niezmordowanym zbieraczem, pomagają mi w tym czas, postęp i badania To, co jeszcze czternaście lat temu, kiedy zaczynałem pisać, było odważną hipotezą, chodzeniem po linie bez asekuracji, dziś można powoli i skrupulatnie przedstawić w przekonujący sposób na podstawie najświeższych danych naukowych. Ale droga ta me zawsze jest usłana różami czasem muszę zaprosić swoich czytelników do udziału w wyczerpującej wspinaczce Wprawdzie po wejściu na szczyt wszystko lepiej widać, ale za to po równinach teorii można podążać wydeptanymi drózkami Nie wolno „wierzyć”, że ta szaleńcza odwaga me będzie nagrodzona Wyruszymy nowymi szlakami. Nic na to nie poradzę, że wyprawa będzie nieco męcząca

Jako „prowiant” na drogę weźmy wypowiedzi sześciu czołowych naukowców.

1 Mówi specjalista w dziedzinie genetyki molekularnej i laureat

Nagrody Nobla prof Werner Arber.

„Zdobycze genetyki molekularnej świadczą o tym, że Wszechświat jest nieskończony w czasie i przestrzeni

- Poza tym Wszechświat oddziałuje tu i teraz, wszędzie i zawsze, a mianowicie w swobodnym wyborze szczegółów w realizacji specyficznych procesów życiowych" [1]
2. Mówi profesor Joachim Tllies z Instytutu Limnologn im. Maxa Plancka"
„Wszyscy jesteśmy rozkocharm w obiektywizmie Postępujemy tak, jakby »dowód obiektywny« był ostatnim słowem, najwyższą możliwą do osiągnięcia wartością i wyobrażamy sobie, że żyjemy w świecie udowodnionym w sposób obiektywny, który określamy z dumą mianem współczesnej nauki Pogląd ten należy zdecydowanie od-mitologizować, inaczej bowiem będziemy tylko udawać, że dążymy do poznania samych siebie i prawdy" [2].
 - 3 Mówi profesor fizyki Max Thurkauf z uniwersytetu w Bazylei „Nauki przyrodnicze próbują zredukować wszystko do procesów fizykochemicznych. Zjawiska paranormalne wiążą się jednak ze sferą określaną mianem życia lub świata duchowego, to zaś wykracza poza sferę procesów fizykochemicznych" [3]
 4. Mówi profesor biochemii Erwin Chargaff.
„Bezustanna lawina informacji przenika przez wszystkie spoiny naszej świadomości; bezdusna paplanina maszynierii, pracującej na biegu jałowym, zagłusza myśli [...] Ale zawsze jest jeszcze coś do zrobienia. Jak wiadomo, małe wszy mają jeszcze mniejsze wszy Ale na jak małe elementy można rozszczepić atomy i ich jądra? Mam nieprzyjemne uczucie, że gdyby zlikwidowano Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki, to nie odkryje się już więcej cząstek elementarnych" [4]
 5. Mówi specjalista w dziedzinie fizyki teoretycznej Jean E. Charon „Naukowcy tylko z rzadka są gotowi zająć się problemami »meta-fizycznymi«, a to z bardzo prostego powodu: bo me pozwalają im na to strażnicy »oficjalnej« nauki. Badanie problemów metafizycznych uważa się nadal za nienaukowe. Uważam to nastawienie za skandaliczne" [5].
 6. Mówi profesor A. E. Wilder-Smith, wykładowca renomowanych uniwersytetów w wielu krajach:
„Nauki przyrodnicze badają wyłącznie przedmioty, dające się zbadać w naszych materialnych wymiarach. Jeżeli ktoś stwierdzi, że za kodem życia kryje się Bóg, uosabiający *logos* i myśl, to przedstawiciele nauk przyrodniczych najczęściej odrzucają zdecydowanie taką możliwość, bo jest ona poza zasięgiem ich możliwości badawczych [...]. Cóż jednak powiedzielibyśmy o astronomie, który nie opisywałby orbit ciał niebieskich, opierając się na zjawisku grawitacji, tylko dlatego, że myśli o istnieniu takiej siły nie akceptowałby z przyczyn światopoglądowych? Grawitacji jako takiej nie da się wywołać ani zbadać w laboratorium. Można badać jej skutki, ale nie *samą* siłę. Dlatego grawitacja byłaby nie do przyjęcia z naukowego punktu widzenia" [6].

Punkt zwrotny? Punkt zwrotny!

Żeby przeprowadzić taki eksperyment, musimy wejść do zaciemnionego gabinetu okulisty i skierować obiektyw mikroskopu elektronowego sobie w oczy.

Wiązka elektronów przenika przez rogówkę i tęczęwkę, przez soczewkę umocowaną na delikatnych wiązadłach, a przeszedłszy przez siatkówkę dojdziemy do nerwu wzrokowego, mającego wiele rozgałęzień, a wyglądającego w parotysięcznym powiększeniu jak drzewo o wielu konarach. Otworzy się przed nami fascynujący świat. Na włóknach nerwowych wiszą niewielkie kryształki, sprawiające wrażenie ogromnych złomów skalnych w dziwnym krajobrazie. Nasz mikroskop pokaże cząsteczki, setki połączonych ze sobą atomów. Atom, na który patrzymy, rozpala się nagle rażącym światłem, jest to świat bezustannego ruchu, widzimy jądro atomowe, wokół którego z wielką prędkością krążą cząstki jeszcze mniejsze: neutrony, elektrony. Między jądrem a obiegającymi je cząsteczkami rozpościera się wszechświat, taki sam jak między Słońcem a planetami Układu Słonecznego.

Popatrzmy na elektron! Gdyby można go było podłączyć do miernika i obejrzeć jego ruch w zwolnionym tempie, to ujrzelibyśmy, że elektron nasz w ciągu jednej sekundy 10^{23} razy powiększa się i pomniejsza: pulsuje. 10^{23} to dziesiątka z dwudziestoma trzema zerami! Świat ciągłego ruchu i promieniowania rozproszonego to tajemniczy wymiar wszelkiej materii.

Eksperyment, przedstawiony na przykładzie narządu wzroku, można również przeprowadzić, dysponując skrawkiem ludzkiej skóry, kawałkiem drewna czy okruczem kamienia. Inny byłby tylko początek podróży, ale u celu też natknęlibyśmy się na atom i cząstki subatomowe.

Wszystko jest w końcu energią, promieniowaniem i ruchem, co już przed 75 laty postulował Albert Einstein.

Ten niezmienny fakt doprowadza niektórych przedstawicieli nauk przyrodniczych do rozpacz. Innych wszakże zmusza do pokory.

W szalonym i pożytecznym opętaniu rozkładamy prawie wszystko na elementy. Cząsteczki rozkładamy na atomy, w gigantycznych akceleratorach, rozszczepiających atomy i uwalniających promieniowanie, studiujemy ich zachowanie oraz zachowanie cząstek subatomowych, na końcu wszakże stajemy zawsze w obliczu tego samego: za najmniejszą cząstką stoi kolejny porządek, nowe prawo, posłuszne, jak się zdaje, nieznanym zasadom, posłuszne rozkazodawcy, którego wszyscy filozofowie nazywają „duchem".

Francuskiemu matematykowi i fizykowi Jeanowi E. Charonowi udało się udowodnić, że materia i duch są nierozdzielnie ze sobą związane. Charon posługuje się precyzyjnym językiem matematyki [7]. Ci, którzy nie uwzględnili jeszcze przełomowego sposobu myślenia zawartego w jego pracach, będą musieli przyjąć do wiadomości, że nie ma innej drogi. A ponieważ rezultat prac Charona dotyczy *też* prehistorii, prowadzącej do „bogów”, przedstawię go z przyjemnością. Dowód Charona stanowi punkt zwrotny.

Sprawa z elektronem

Materia jest substancją, masą, tworzywem wszelkiego życia, wszystkiego, co istnieje. Materię - nieważne, w jakim stanie skupienia - można „pomniejszyć” do atomów i cząstek elementarnych. Twierdzenie to już dawno stało się truizmem. Ale skąd wzięła się materia? Jak powstaje, jak powstała? Jak się wszystko zaczęło? To naprawdę pasjonujące pytania.

Na początku była nicłość, nieskończona pustka, promieniowanie ciała doskonale czarnego, jak mówią fizycy. Promieniowanie to istniało od niepamiętnych czasów, przed wszelkim początkiem, że tak powiem, w stanie oczekiwania. Można zadać pytanie, co poprzedzało ten stan, ale nie otrzymamy na nie odpowiedzi, chyba że w innym wymiarze, po śmierci. Ale jest to rozwiązanie oparte na wierze. Ponieważ jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia w kategoriach czterech wymiarów - długości, szerokości, wysokości i czasu - nie można zakładać nieskończoności czasu. Jeżeli wszelki początek poprzedzimy stwórcą, to nieuchronne będzie kolejne, stare pytanie: kto stworzył tego stwórcę? *Perpetuum mobile* nie jest możliwe z punktu widzenia fizyki, a pytanie o pytanie jest właśnie takim filozoficznym *Perpetuum mobile*.

Kontrapunkt dla filozofii stanowią matematyka i fizyka. Obserwacje i obliczenia fizyczne dowodzą, że z promieniowania ciała doskonale czarnego, z nicości, wyłoniła się pierwsza para cząsteczki materialnej - elektron i pozyton. Naładowane ujemnie i dodatnio, nie potrzebowały prawie energii do stworzenia pary, pierwszej formy materii.

Pierwszy elektron pulsował tak samo jak dziś, w niewyobrażalnym rytmie 10^{23} cykli na sekundę. Proces ten doprowadza do powstania wewnątrz elektronu ekstremalnie wysokich temperatur, dochodzących do setek milionów stopni. Wyzwolone w ten sposób promieniowanie elektromagnetyczne fizyka określa mianem „promieniowania ciała doskonale czarnego”.

Dzięki znanym nam już wzajemnym oddziaływaniom pozyton może się dołączyć do kolejnej cząstki elementarnej, neutronu, i stworzyć proton, jedną z dwóch części składowych jądra atomowego. Elektron wiąże się następnie z protonem i tworzy atom wodoru. Wodór stanowi 75% materii we Wszechświecie. Ponieważ bez elektronu nie byłoby wodoru, to znaczy, że elektron istniał, *zanim* powstał wodór. Cudowny slogan „na początku był wodór” nie ma racji bytu, bo na początku był elektron, był przy powstawaniu pierwszej pary cząstek, co potwierdza fakt, że jest składnikiem wszelkiej materii, a nawet ducha.

Jean E. Charon przeprowadził matematyczny dowód, że elektron ma podobne właściwości jak *czarna dziura*. Musimy przyrzeć się temu bliżej, aby nie stracić z oczu elektronu.

Co to takiego ta czarna dziura?

Musimy sięgnąć w odległą przeszłość. Od chwili powstania świata, od momentu tak zwanego Wielkiego Wybuchu, gaz, wodór i kosmiczny pył wędrowały po Wszechświecie, cząsteczki ocierały się o siebie, wirując w jakby chmurze, aż bezustanne obroty sprawiły, że powstała kula, przyciągająca ku sobie coraz większą ilość materii. Rosnąca gęstość sprawiała z kolei, że cząstki tarły o siebie coraz szybciej, powstawało ciepło, temperatura rosła coraz bardziej i tworzyła się czerwona gwiazda. Młoda gwiazda powiększała swoją gęstość i w końcu świeciła jak Słońce. Jądra lekkich atomów zmieniały się w cięższe. W rozżarzonej tyglu z wodoru powstawał hel, z helu zaś węgiel, tlen i azot, a potem pierwiastki coraz cięższe, aż do żelaza.

W tym procesie wciąż wydzielala się energia, taki sam proces przebiega od miliardów lat wewnątrz Słońca, a jak twierdzi amerykański astrofizyk John Taylor, „nasze Słońce przeobraża w ciągu sekundy takiego procesu cztery miliony ton swojej masy, dziesięć tysięcy razy więcej niż ilość wody przepływającej w tym samym czasie Tamizą pod Mostem Waterloo” [8].

Takiego marnotrawienia energii przez miliardy lat nie wytrzyma bez szkody żadne słońce. Reakcja jądrowa skończy się po wyczerpaniu się pierwiastków lżejszych, bo już nic nie będzie mogło się zmienić w trakcie syntezy jądrowej w pierwiastki cięższe. Gwiazda zacznie się powiększać, potem wybuchnie jako supernowa. Przy wybuchu jasność gwiazdy zwiększy się do stu milionów razy. Materia gwiazdy zostanie wyrzucona w Kosmos, ale w ostatniej fazie wygasania większa część masy supernowej zacznie się zapadać, gwiazda będzie robić się coraz mniejsza i ze względu na niewielką średnicę stanie się *białym karłem*. Ale taki biały karzeł to nie przelewki. Jego masa powoduje przyśpieszenie jego rotacji. Mimo masy, pozostałej po wszystkich turbulencjach, średnica takiej gwiazdy zmniejsza się następnie do kilku kilometrów, aż biały karzeł zmieni się w *pulsara*, nazwanego tak, bo jest źródłem regularnie pulsującego promieniowania radiowego. Nieistotne czy tak jest naprawdę, czy nie, ważne jest, że wiruje, tracąc energię, co z kolei sprawia, że z obrotu na obrót jego rotacja staje się coraz wolniejsza. Bąk kręci się coraz wolniej.

Gwiazda zaczyna zamierać. Następuje kolaps grawitacyjny. Ciśnienie wewnętrzne nie jest już w stanie

powstrzymać zapadania się gwiazdy. Grawitacja takiej gwiazdy osiąga tak olbrzymią wartość, że nie wydostaje się stamtąd nawet światło, które mogłoby świadczyć o jej obecności. Zjawisko to astronomowie nazywają *czarną dziurą*. Astrofizyk Reinhard Breuer definiuje ją w sposób następujący:

„Czarną dziurą nazywa się gwiazdę, która na skutek kurczenia się stała się tak krańcowo ciężka, że nie może się z niej wydostać ani jedna cząsteczka, nawet światło. Kurczenie się gwiazdy, prowadzące do narodzin czarnej dziury, dokonuje się błyskawicznie - w ułamku sekundy - w tak zwanym kolapsie grawitacyjnym" [9]. Umiejętność określenia momentu narodzin czarnej dziury zawdzięczamy astronomowi Karłowi Schwarzschildowi (1817-1916), który jako dyrektor poczdamskiego obserwatorium astrofizycznego dokonał przełomowych odkryć w dziedzinie ruchu gwiazd stałych. Schwarzschild podał również teorię równowagi promienistej atmosfer gwiazdowych. Uczony ten potwierdził to, co obliczył Einstein i co od tamtego czasu astronomowie mieli możliwość wielokrotnie zaobserwować.

Czarną dziurę, będącą przestrzenią w przestrzeni, można porównać z bańką powietrza w wodzie. Nic, co dostaje się w obszar oddziaływania czarnej dziury, nigdy się z niej nie wydostanie. Przerazający moloch nie wypuści ani jednego kwantu światła, jest więc niewidzialny. Jego obecność zdradza tylko zakrzywienie naszej przestrzeni, zbiegające się lejkowato ku przestrzeni czarnej dziury. W tym obcym nam świecie panują zupełnie inne prawa fizyki niż w naszym:

- w porównaniu z upływem czasu w naszym Wszechświecie czas w czarnej dziurze biegnie w kierunku przeciwnym;
- w wymiarach czarnej dziury przestrzeń ma naturę *czasową*, czas natomiast *przestrzenną*;
- w naszym Wszechświecie wszelkie procesy odbywają się przy wzroście *entropii*. W przypadku entropii chodzi o wyliczenie tej części ilości ciepła, która w procesie zamiany energii nie może być przekształcona w energię mechaniczną. Opiera się to na drugiej zasadzie termodynamiki i znaczy, że „porządek” każdego systemu zamkniętego osiąga zawsze stan równowagi całkowitego chaosu, tak zwanej „entropii maksymalnej”. Wyjaśnimy to w sposób banalny: jeśli do wanny z zimną wodą wlejemy dzbanek wody gorącej, to woda zimna zmiesza się z gorącą. Mieszaninę tę określa się mianem „chaosu”;
- w przestrzeni czarnej dziury wszystko odbywa się odwrotnie, procesy przebiegają ze *zmniejszającą* się entropią. „Porządek” jest coraz doskonalszy;
- w czarnej dziurze czas płynie w sposób cykliczny. Znaczy to, że wszystkie stany, które raz zaistniały, powtarzają się wciąż na nowo, każda informacja wraca do punktu wyjścia. Ponieważ z tego skarbcza nic nie znika, nie ginie też żadna informacja, „porządek” jest ponadczasowy. W tym cyklu liczba informacji oraz porządek zwiększają się w sposób porównywalny z doświadczeniem ludzkim, które z każdym dniem wzbogaca się o coraz więcej informacji.

Elektron w głównej roli

Już w latach 1963-1964 Richard Phillips Feynman, laureat Nagrody Nobla i profesor California Technology Institute w Pasadenie, dowiódł, że przestrzeń wewnątrz elektronu nie jest pusta, że oddziałują tam neutrina i promieniowanie ciała doskonale czarnego.

Jean E. Charon przeprowadził dodatkowy dowód, wedle którego elektron zachowuje się jak czarna dziura, deformując otaczającą go przestrzeń: zakrzywia się ona, otaczając maleńki elektron niczym woda bańkę powietrza. Elektron ma wszystkie cechy czarnej dziury..., a do tego potrafi jeszcze jedno: może ze swojej zamkniętej przestrzeni wiązać się z zamkniętymi przestrzeniami innych elektronów.

Czy przeczę więc sam sobie? Przedstawiłem przecież czarną dziurę jako skarbiec zamknięty raz na zawsze.

Dwa pędzące ku sobie elektrony odpychają się. Elektron jest posłuszny sile trzymającej go w pewnej odległości od drugiego, siłę tę określa się mianem sprzężenia spinowo-spinowego, a wygląda to tak:

Czarne fotony, pozbawione masy kwanty światła, o bardzo krótkiej fali, wymieniają prędkość z czarnymi fotonami innych elektronów. Najbardziej fascynujący, a zarazem istotny, jest tu fakt, że procesy w elektronie zachodzą przy *zmniejszającej* się entropii, a więc przyroście porządku. Jeśli elektrony wymieniają między sobą czarne fotony — udowodniono, że tak się dzieje - zwiększa się stale liczba informacji wewnątrz elektronu. Konsekwencje tego procesu są niesłychane! Elektron istniał od chwili stworzenia świata. Niezależnie od tego, jakie przechodził stadia, „nie zapomniał” o niczym, bo liczba w nim informacji stale się powiększała.

Elektron jest cząstką stabilną od niepamiętnych czasów. Jeśli uzna się go za nośnik informacji, to od prapoczątku był świadkiem wszystkiego. Przenikał Kosmos, wnikał we wszelką materię. Jest składnikiem wszystkich istot żywych, roślin, kamieni, wszystkich słońc... i umysłów. Jego wewnętrzny porządek się zwiększał, gromadził informacje i wiedzę, którą może wymieniać z innymi takimi samymi cząstkami.

W nawiązaniu do swojej hipotezy dotyczącej czarnych dziur, Rudolf Kippenhahn (1926), profesor astronomii i astrofizyki z Getyngi, pisze:

„Nawet materia, z której zbudowane są nasze ciała, z pewnością co

najmniej raz wrzała kiedyś we wnętrzu jakiejś gwiazdy" [10].

Trzeba przyjąć i zrozumieć w całym tego słowa znaczeniu, że materia elektronu jest nieśmiertelna. Ponieważ „nie zapomniał” on o niczym, był świadkiem tego, co minęło, jest świadkiem tego, co mija, to wiedza i doświadczenie również są nieśmiertelne. Elektron utrwała wszelkie chwile radości i cierpienia. Przenikał (i przenika) Ziemię, przenika każdy kamień, każdą roślinę..., a wszystko i wszyscy są nośnikami informacji. Ciała umierają i rozpadają się, ale elektron żyje i w tym biegu bez początku i końca przekazuje przyszłości wiedzę i informacje z przeszłości.

Jean E. Charon stwierdza:

„Znaczy to, że wszelka materia, która miała swój udział w budowie struktury żywej czy myślącej i w stosunkowo krótkim czasie życia tej struktury dysponowała cechami jej świadomości, po śmierci tej struktury nie wraca po prostu do pierwotnego stanu rozproszenia minimalnych możliwości psychicznych. Informacja raz zdobyta, raz zdobyta »świadomość« nie giną. Żadna siła na świecie nie sprawi, aby po śmierci tak kompleksowej struktury spowodować regresję świadomości zawierającej się w cząstkach elementarnych” [5].

Opadają zasłony

Dotąd nie wiadomo, co począć z licznymi zjawiskami paranormalnymi, parapsychologicznymi i metafizycznymi, dopóki nie okazało się, że stoi za nimi pewien system kosmiczny. Uczucie, przedstawiane w wydawanym codziennie w gazetach całego świata w milionach egzemplarzy komiksie „Miłość to...”, redukuje się w istocie do kontaktu elektronów dwojga partnerów. Jakie to proste!

Albert Einstein polecił, aby jego zwłoki poddano kremacji, mózg zaś przekazano badaczom. W 1978 roku prasa opublikowała zawstydzającą informację o tym, że to, co darował nauce, spoczywa, zalane formaldehydem, w słoju stojącym w tekturowym pudle w biurze pewnego laboratorium badawczego w Wichita w stanie Kansas. Po przeczytaniu tej przerażającej wiadomości pomyślałem sobie od razu, że ludzkość zaprzepaściła wielką szansę, bo komórki mózgu na pewno już obumarły. Ale dziś wiadomo, że elektrony tego supermózgu trwają, krążą po Kosmosie, zatrzymują się w roślinach, kamieniach, wnikają w inne mózgi, w których odtwarzają nagromadzoną niegdyś wiedzę. Elektrony, których „wiedzę” pomnożył Einstein, rozblyszną znowu i w nowym mózgu będą stymulować myśli, których jego właściciel nie osiągnął dzięki własnemu doświadczeniu.

Nagły rozblysk myśli zdarza się wielu z nas. Niespodziewanie pojawia się jakiś obraz, jakaś sytuacja. Zdaje nam się, że już ją kiedyś przeżyliśmy, mimo że nasza pamięć twierdzi coś zupełnie odwrotnego: nigdy tu nie byłem, nie uczestniczyłem w tym zdarzeniu. Odkrycie nieśmiertelności elektronu pozwala jednak zrozumieć i to zjawisko. Elektrony pochodzące od ludzi dawno zmarłych wnikają w nasz mózg i odtwarzają ich dawne wspomnienia.

To, co niepojęte, stało się rzeczywistością! To, co kiedyś było skomplikowane, tajemnicze i niewyjaśnialne, stało się zrozumiałe. W elektronie czas płynie tak, jak w czarnej dziurze, wstecz, przekazuje więc informacje o zdarzeniach przyszłych. Dzięki temu można zrozumieć takie zjawiska, jak jasnowidzenie, przewidywanie, wieszczenie.

Zapewne wszyscy mieszkańcy Europy Zachodniej znają nazwisko zmarłego niedawno jasnowidza Gerarda Croiseta. Policje różnych krajów wykorzystywały jego zdolności do poszukiwania śladów porwanego dziecka czy zwłok zamordowanego. Liczba „trafień” Croiseta była nieprawdopodobnie wysoka. Był medium czegoś, czego sam nie potrafił wyjaśnić, nie wiedział, co dzieje się wtedy w jego mózgu. Podobnie jak inne wybitne media, pozostał człowiekiem skromnym. Przypuszczał, że za jego umiejętnościami kryje się boska siła. Zjawisko to tłumaczy siła elektronów. Porwane dziecko myśli, przekazując otoczeniu elektrony naładowane wspomnieniami. Te maleńkie wszystkowiedzące cząstki są wszędzie, nie powstrzyma ich żadna bariera, żadna ściana, przez którą nie zdołałyby przeniknąć. Gdy tylko mózgowi predysponowanego medium uda się przechwycić choćby jeden z wysłanych elektronów i wpuścić go do swojej świadomości, to w prawie „sommambuliczny” sposób odnajdzie ślad, którego inni szukają na próżno: będzie wiedział, czy ofiara żyje, czy nie. Tak jak Croisetowi, również innym może się udać odnalezienie ukrytych zwłok.

Być może mózg odnajdujący kontakt z wiedzą zgromadzoną przez elektrony musi mieć określone predyspozycje, przypuszczam jednak, że takie predyspozycje, takie zdolności ma każdy z nas.

To, co wczoraj było jeszcze utopią, *science fiction*, stało się zrozumiałe, kiedy się okazało, że elektron jest nośnikiem informacji. Nasuwa się pytanie: Kim *my* jesteśmy? Można to powiedzieć w sposób dość nieprzyjemny: jesteśmy - jak każda materia - opakowaniami, pojazdami i jakby parkingami dla elektronów, a naszym zadaniem jest zbieranie i przechowywanie informacji i doświadczeń, aby ponadczasowy elektron mógł przekazywać je z wieczności w wieczność.

W połowie lat pięćdziesiątych światem wstrząsnęła równie zaskakująca nowina. Francisowi C. Crickowi razem z J. W. Watsonem udało się odkryć tajemnicę procesu dziedziczenia.

Każda komórka ciała zawiera kod genetyczny, plan budowy całego organizmu. Ten cud natury już dawno wszedł do naszej codzienności jako spirala DNA, choć dla biologów molekularnych nadal jest zagadką, co sprawia, że cząsteczka DNA ma przekazywać informacje o budowie organizmu. Nie ma też nadal odpowiedzi

na pytanie, wedle jakich prawideł komórka jajowa przyjmuje dany plemnik spośród 200 do 300 milionów wnikających do pochwy przy wytrysku. Przyczyną jest duch kryjący się za materią, świadomość zawarta w elektronie. Podczas zbliżania się komórki jajowej i plemnika elektronu za pośrednictwem czarnych protonów wymieniają w ułamku sekundy informacje. Poszukuje się nośnika najodpowiedniejszego z punktu widzenia ewolucji.

Utopia? Już nie. Wernher von Braun powiedział: „Nic nie sprawia wrażenia czegoś bardziej prostego niż urzeczywistniona utopia”.

Bóg nie gra w kości

„Materia świata jest materią ducha”, napisał angielski astronom i fizyk Arthur Eddington (1882-1944), twórca podstaw teorii budowy wewnętrznej gwiazd.

Rozróżnia się materię nieożywioną i ożywioną. Podział ten jednak w istocie nie dotyczy materii: zarówno bowiem ożywiona, jak i nieożywiona składa się z atomów, czyli protonów i elektronów.

Przypomnijmy sobie doświadczenia, przeprowadzone przez dr Robinsa w kamiennym kręgu Rollright: kamienie pulsowały, powstawało pole elektromagnetyczne, był to świat elektronów! Pulsowanie ustawało, kiedy ktoś stanął w środku kręgu. Czy wówczas elektrony porozumiewały się z taką osobą? Czy na podstawie najnowszych badań nie można sobie wyobrazić, że medium, wyczułone na odbiór posłań od elektronów, może „rozmawiać” z kamieniami? Kamienie wibrują, uwalniają elektrony, przekazują informacje, przenikają ludzi, tak samo jak całą przyrodę i Wszechświat. Materia świata przecież jest materią ducha.

Na prawie wszystkich wyspach Melanezji i Polinezji istnieją pradawne kamienne świętości. Te miejsca kultu określa się mianem *marae*. Owe *marae* nie reprezentują jednego stylu architektonicznego: raz-jak na przykład na wyspie Raiatea - jest to wielki prostokąt z potężnych monolitów, innym razem - jak w Arahurahu na Tahiti - jest to tarasowa świątynia albo - jak na wyspie Tubuai w południowym rejonie Oceanu Spokojnego - są to uporządkowane struktury monolityczne. Przed chrystianizacją *marae* były „miejscem oficjalnych spotkań Polinezyjczyków z rzeczywistością innych światów” [11]. Nie wiadomo, jakie były rytuały odprawiane w *marae*, wyspiarze opowiadali w każdym razie pierwszym przybyłym tam Europejczykom, że *marae* są bardzo *tapu*, że są miejscami wielkiej świętości. *Tapu* znaczy „święty, przeklęty”, jest to przeciwieństwo czegoś zwykłego. Słowo *tabu* przejęliśmy od Polinezyjczyków.

Co było *tabu* w *marae*, co było w nich takie święte? Kamienie, wokół których zbierali się wyspiarze? Czy potrafili zrozumieć ducha, kryjącego się za materią i mówiącego z kamieni?

Dla wyspiarzy z mórz południowych jeszcze jedno stanowiło świętość: *mana*. *Mana* znaczy „coś skutecznego”. Encyklopedia Brockhousa wyjaśnia, że pojęcie to oznacza pewną moc nie fizyczną, w pewnym sensie nadnaturalną. *Mana* działa - tyle encyklopedia - w człowieku, w przyrodzie ożywionej i nieożywionej oraz jest z zasady dziedziczona. *Mana* może się koncentrować w człowieku, na przykład w świętej osobie króla, albo w przedmiotach. *Mana* znaczy też siła budząca trwogę i szacunek.

Marae były nie tylko *tabu*, miały również wiele *mana*. Wilhelm Ziehr pisze:

„*Mana* może się również pojawiać w określonych miejscach, w budzących grozę wąwozach skalnych, w mrocznych miejscach na brzegu albo w lesie. Takie bezosobowe *mana* urzeczywistnia się w duchach i demonach, pojawiających się w tych świętych miejscach. Po odprawieniu tajemnych obrządków można się za pośrednictwem *mana* pewnej pieczary w rafie koralowej na Nowych Hebrydach (Port Olry) stać niewidzialnym i nie dającym zranic. Skała wisząca nad pieczarą ma tyle *mana*, że każdy, kto pod nią stanie, może zmienić płeć. W miejscach kultu stawia się osobiście ukształtowane kamienie, bo i one zawierają tajemne moce” [12].

Szanowane osoby - na przykład kapłan, podziwiany wódz plemienia, bohater - zachowywały *mana* nawet po śmierci, ich zwłoki były bardziej *tabu* niż zwłoki zwykłych śmiertelników, ich groby były wśród pozostałych szczególnie *tabu*, bo zawierały więcej *mana*.

Nieznany, upiorny świat, którego kult musiano dotąd klasyfikować jako ezoteryczne misterium, znajduje przekonujące wyjaśnienie. *Mana*, wypełniająca doświadczonego wodza czy mądrego kapłana, składała się z nie przemijających elektronów. Kapłan ma więcej *mana* od innych i dlatego „wypromieniowuje” więcej mądrości i wiedzy. To, co było dotąd zabobnem, okazuje się przeczucową wiedzą o siłach działających spoza materii. Duża ilość *mana* osoby zmarłej nie ginie, bo w materii ciała nadal istnieją elektrony. Czy nie dlatego właśnie człowiek czuje się na cmentarzu zupełnie inaczej niż w teatrze czy gdzie indziej? Czy właśnie dlatego w kostnicach nasuwają się nam wspomnienia z przeszłości, a także nachodzą nas myśli o przyszłości? Czy odbywa się tam zwiększona wymiana elektronów?

Czy ludzie prymitywni, mający nie zakłócony dostęp do natury, odczuwali wibracje rozszalałych elektronów? Umieili „rozmawiać” z roślinami, przedmiotami (fetyszami!) i zwierzętami?

Pewna polinezyjska legenda [13] opowiada, że bóg Maui przybył z Wysp Tuamotu na Raivavae, aby stworzyć tu wielkie *marae*. Gdy wszystko było gotowe, Maui zaniósł jeden z kamieni na Tubuai i stworzył tam kolejne *marae*, w które wbudował przyniesiony ciężar. Boga ogarnęło zapewne szaleństwo budowania *marae*, bo zaraz po zakończeniu *marae* na Tubuai wziął stamtąd kolejny kamień, poleciał na Rurutu, potem na

Rimatara, potem na Rarotonga, jedną z Wysp Cooka, i tak dalej. Z każdego dopiero co stworzonego *marae* brał zawsze jeden kamień. Bezsensowna legenda? Dziś wiadomo, dlaczego bóg Maui robił to wszystko. Za pośrednictwem kamienia jakby wszczepiał *mana* w nową budowlę. Maui wyszukiwał na pewno szczególne kamienie.

Bo przecież nie wszystkie kamienie są sobie równe. Bazalt ma inną budowę atomową niż andezyt, granit inną niż skały koralowe. Ostatecznie wszystko kończy się w świecie atomów, w świecie rozproszonego promieniowania i elektronu, ale sieci atomowe - mówiliśmy o tym z okazji wizyty w Stonehenge - różnią się między sobą. Istnieją rodzaje skał, które przy mniejszym dopływie energii wymieniają elektrony szybciej od innych, uwalniających je z trudem.

Czy ludzie prymitywni o tym wiedzieli? Czy właśnie dlatego nasi dawni przodkowie przynosili na określone miejsca kultu określone rodzaje kamieni? Czy dlatego w Stonehenge znalazły się niebieskie kamienie, które przywleczono z odległości 400 km? Przypuszczenie to potwierdza wypowiedź dr Hansa Biedermanna:

„Archeolodzy, zajmujący się na terenie Gwatemali pozostałościami prehistorycznych epok, znają wiele dużych kamiennych rzeźb, wyobrażających głowy albo siedzące postacie ludzi nadzwyczaj otyłych. Posągi te, określane w żargonie archeologów mianem »fat boys« wyróżniają się nie spotykaną dotąd cechą, odkrytą przez geografa Yincenta H. Malmstroma z Darthmouth College w Hannover w stanie New Hampshire w USA: niektóre ich fragmenty są magnetyczne. Około 2000 roku prz. Chr. kamieniarze czy rzeźbiarze znali zapewne zjawisko magnetyzmu, bo na materiał do swoich dzieł wybierali bloki bazaltu, których fragmenty emitowały silne pole magnetyczne.

Kamienne głowy, przypominające trochę młodsze rzeźby olmeckie znad Zatoki Meksykańskiej, mają strefy zwiększonego naturalnego pola magnetycznego w okolicach skroni, otyłe zaś postacie, jedzące lub siedzące, w okolicy pępka" [14].

That's it, powiedział lord i wypił whisky.

To jest to, powiadam. W magnetyzmie oddziałują na siebie pola elektrostatyczne, wymieniane są elektrony. Fakt istnienia takiego zjawiska w pradawnych kamieniach dzisiejsi badacze potwierdzili za pomocą najnowszych mierników. Niech mi tylko, proszę, moi wszystkowiedzący oponenci odpowiedzą na pytanie, za pomocą jakich przyrządów uczeni sprzed 4000 lat potrafili wykryć promieniowanie magnetyczne w określonym miejscu skały?

Badania zjawisk magnetycznych, występujących w organizmie żywego człowieka, dopiero się zaczęły [15].

W czerwcu 1979 roku w Barnard Castle w angielskim hrabstwie Durham wsadzono do autobusu 31 chłopców i dziewcząt z zawiązanymi oczami. Tego dnia zachmurzenie było całkowite, nie było więc mowy o zorientowaniu się w stronach świata według Słońca. Dzieci zawieziono w miejsce im nie znane. Do głów chłopców i dziewcząt przymocowano podłużne przedmioty, z których połowa była magnesami prętowymi, połowa zaś tylko ich atrapami o takim samym ciężarze i wyglądzie. Dzieci, nadal z zawiązanymi oczami, musiały wskazać kierunek, skąd przybyły. Eksperyment miał wyjaśnić, czy pole magnetyczne wpływa na ludzki zmysł orientacji. Rezultat doświadczenia był zdumiewający i wywołał w Anglii - o czym doniósł „New Scientist” - wielkie poruszenie. Testowane dzieci, mające na głowie tylko atrapy, wskazały właściwy kierunek, dzieci z magnesami miały natomiast zaburzoną orientację.

Po przeprowadzeniu dalszych eksperymentów Robert R. Baker z Uniwersytetu Manchester utwierdził się w przekonaniu, że ludzie „dysponują magnetyzmem, który można zakłócić za pomocą magnesu”.

Choć nie ma prawie wątpliwości co do istnienia magnetyzmu u różnych istot żywych - pszczoł, gołębi, ptaków wędrownych, delfinów i innych - to biofizyczne mechanizmy tego zjawiska stanowią nadal zagadkę dla nauki. Badacze z Princeton University w New Jersey w USA stwierdzili ostatnio podczas sekcji głowy i szyi gołębia występowanie pola magnetycznego.

Nie jest jasne - jak twierdzą badacze w „Science” - czy struktury magnetyczne istot żywych są istotnie detektorami pola magnetycznego Ziemi i czy ich reakcje są przekazywane zmysłom. Według najnowszych danych „badaniami magnetyzmu ludzkiego zajmuje się już co najmniej sześć laboratoriów na świecie”.

Koło się zamyka

Gdy tylko badania te uwzględnią epokowe odkrycie Jeana E. Charona, koło się zamknie: w polu magnetycznym operują elektrony. Wiedział o tym praduch, duch boski. Uczynił wszystkie swoje twory i wszelką materię gotową do przyjmowania wiecznej siły elektronów. Duch ukryty w materii nie pozostawił przypadkowi niczego, co działo się przez miliardy lat stawania się Wszechświata: akt stworzenia nie był „grą”.

„Nie mogę uwierzyć, że Bóg gra w kości z Wszechświatem!”, mawiał Albert Einstein.

Krytycy bardzo lubią rozprawiać się z moją teorią o bogach-astronautach miażdżącym argumentem, że już odległości od Ziemi do innych planet, noszących na sobie życie, czynią niemożliwy współdziałanie istot pozaziemskich w powstawaniu życia na naszej planecie. Statki kosmiczne bowiem nigdy nie osiągną prędkości zbliżonej do prędkości światła, a tylko ona pozwoliłaby na transportowanie „życia”.

Nie będę powtarzał, co napisałem na ten temat w swojej książce *Dowody (Beweise)*, chciałbym jednak zwrócić

uwagę, że wedle najnowszych badań taka podróż kosmiczna przewyższająca nas technicznie inteligencji -już możliwa! - nie jest wcale konieczna do przekazania na naszą planetę wiedzy i doświadczeń istot pozaziemskich i do sprawienia, aby oddziaływały w trakcie ziemskiego „aktu stworzenia”. Atom jako „przewoźnik” elektronów wypełnionych wszelką wiedzą istniał *przed* stworzeniem życia na Ziemi. Mózgi naszych przodków mogły otrzymać informacje o powstaniu Wszechświata za pośrednictwem elektronów. Może to elektrony były posłańcami, przekazującymi wiedzę między odległymi układami słonecznymi i obcymi sobie istotami żywymi.

„Pytanie »dlaczego?« jest źle zadane. Powinniśmy raczej zapytać »dlaczego nie?«, pisał George Bernard Shaw.

Niezależny pogląd na ten temat wygłosił Max Pianek (1858-1947), który sformułował prawo promieniowania ciała doskonale czarnego. W 1918 roku uczony ten otrzymał Nagrodę Nobla za teorię kwantów. U schyłku życia Pianek powiedział:

„Jestem fizykiem, a więc człowiekiem, służącym całe życie nauce ścisłej, zajmującym się badaniem materii, nie można mnie więc uznać za marzyciela. A po zakończeniu moich badań atomu powiem państwu tylko tyle: Materia jako taka nie istnieje! Wszelka materia powstaje i trwa tylko za pośrednictwem siły, wprawiającej w drgania cząstki atomowe i sprawiającej, że tworzą one najmniejszy układ słoneczny atomu. Ponieważ jednak we Wszechświecie nie ma siły ani inteligentnej, ani wiecznej jako takiej, to musimy przyjąć, że za siłą tą stoi świadomy, inteligentny duch. Duch ten jest przyczyną wszelkiej materii”. To elektron.

IV. Polowanie na kaczki dziennikarskie i zielone ludziki

Człowiek nigdy nie powinien się wstydzić przyznać do błędu. Pokazuje przecież w ten sposób, że się rozwija, że dziś jest mądrzejszy niż wczoraj.

Jonathan Swift (1667-1745)

Czy 18 grudnia 1955 roku nastąpił wybuch pozaziemskiego statku komicznego? - Co ustalili Rosjanie, o czym mówili Amerykanie - Wybitni naukowcy odpowiadają mi na listy - Nic nie jest jasne! - Wątpliwości? Dozwolone i konieczne - Czy „bomby” przyniosły życie z Wszechświata? - Pożegnanie z „zielonymi ludzikami”? - Widziałem „szkielet istoty pozaziemskiej” - „Tajemnica inkaskich diamentów” kaczką dziennikarską - Nikt o niczym nie wie - Po przyjeździe na miejsce wszystkie źródła wyschły - Mądrzejszy wracam z wyprawy na manowce

Amerykański dziennikarz Henry Gris, mówiący biegle po rosyjsku, przeprowadził wywiad z radzieckim matematykiem i astrofizykiem, profesorem Siergiejem Piotrowiczem Bożychem. Na początku sierpnia 1979 roku agencja UPI rozesłała dalekopisem treść sensacyjnej rozmowy na cały świat. 20 sierpnia tegoż roku, gdy byłem w Afryce Południowej, wpadła mi w ręce gazeta „Rand Daily Mail”. Czytałem z zapartym tchem:

„Moim zdaniem nie ma żadnych wątpliwości, że wokół Ziemi krąży zniszczony pozaziemski statek kosmiczny, grobowiec z odległego świata, kryjący nieżywą załogę” [1].

Czy profesor Bożych jest niespełna rozumu? Kiedy biuro wycinków dostarczyło mi do domu ten sam wywiad, opublikowany w „National Enquirer” [2], napisałem do przyjaciół w redakcji w Latanie na Florydzie i poprosiłem ich o odpis nagrania wywiadu. Przesłano mi go wkrótce w tłumaczeniu na angielski [3], Oto fragmenty:

„Gris: Profesorze, rezultatami badań zdumiał pan swoich kolegów. Czy tu, na Zachodzie, powie nam pan coś na ten temat?”

Bożych; Mam jednoznaczne dane astronomiczne, dotyczące różnych ważnych odkryć.

Gris: Jest pan przekonany o ich prawdziwości?

Bożych: Tak, jesteśmy przekonani, że zniszczony pozaziemski statek kosmiczny z nieznanego układu słonecznego krąży wokół Ziemi. Tu zaczął mieć problemy, a później eksplodował. Na orbicie wokółziemskiej są jego dwie większe części i osiem mniejszych. Nasi naukowcy przez wiele lat obserwowali dwie większe części przez teleskop. Przyjmujemy, że i wasi ludzie na Zachodzie robili to samo. Uważam, że należy zorganizować rosyjsko-amerykańską wyprawę w celu sprowadzenia na Ziemię resztek nieznanego statku i jego załogi. Można i trzeba to zrobić, zanim spłoną w atmosferze ziemskiej.

Gris: Powiedział pan »załoga?«

Bożych: Tak! Wierzę, że obcy przybysze z innego układu słonecznego nadal znajdują się w obu większych fragmentach zniszczonego statku kosmicznego. Kto wie, jak wyglądają? Prawdopodobnie próbowali prowadzić obserwację naszej planety, a potem na pokładzie nastąpiła zapewne jakaś poważna awaria, zakończona eksplozją. Tak jak wielu naszych badaczy, również oni zmarli dla nauki. Proszę tylko pomyśleć, ile moglibyśmy się od nich nauczyć. Nasza technika skoczyłaby do przodu o wiele dziesięcioleci.

Gris: Czy jest pan przekonany o tym, co mówi?

Bożych: Od samego początku byliśmy przekonani, że obiekty te nie są fragmentami ziemskiego statku kosmicznego, bo przed październikiem 1957 roku wokół naszej planety nie krążyły sztuczne satelity. A te

elementy są na orbicie dłużej! Byliśmy też przekonani, że nie są to odłamki meteorytu, który uległ eksplozji, bo ich prędkość jest na tyle duża, że albo weszłyby i spłonęły w atmosferze ziemskiej, albo poleciałyby dalej w Kosmos. A poza tym meteoryty zwykle nie wybuchają, chyba że w trakcie przechodzenia przez atmosferę.

Gris: Czy nie ma innego przekonującego wyjaśnienia?

Bożych: W każdym razie ja takiego nie znam. Sprawdzaliśmy wszystko wielokrotnie. Dlatego trwało to tak długo.

Gris: Kiedy zobaczył pan pierwszy raz dwa większe elementy statku?

Bożych: Najpierw przez teleskop naszego obserwatorium zobaczyłem jeden kawałek. Wtedy wpisałem tylko uwagę do księgi obserwacji, a potem o wszystkim zapomniałem, bo przecież przez Układ Słoneczny wciąż przelatują jakieś obce ciała. Proszę choćby pomyśleć o tak zwanych spadających gwiazdach. Kilka miesięcy później odkryłem drugi odłamek i nie potrafiłem wyjaśnić jego obecności. Co to było? Dlaczego obiekt krążył po orbicie wokół-ziemskiej nie odlatując dalej? Proszę nie zapominać, że wtedy nie było jeszcze w Kosmosie tych wszystkich śmieci wyprodukowanych na Ziemi. Później, pod wpływem nieznanymi obiektów, orbity naszych satelitów uległy niewielkiej zmianie i wtedy zaczęliśmy wszystko przeliczać za pomocą komputerów. Odkryliśmy osiem następnych elementów, których nie można było zarejestrować metodami optycznymi. Komputer obliczył, jakie były orbity wszystkich dziesięciu kawałków w przeszłości i ku naszemu zdumieniu stwierdził, że jeszcze 18 grudnia 1955 roku wszystkie stanowiły jedną całość! Tego dnia zatem na orbicie wokółziemskiej coś wybuchło, bo odkryte elementy były częściami większego obiektu. Przedyskutowałem ten fenomen z kolegami. Milczeliśmy przez całe lata, chcieliśmy się upewnić co do prawdziwości naszego odkrycia, jesteśmy przecież naukowcami. Liczyliśmy i liczyliśmy, i w końcu nie było już żadnych wątpliwości, że mamy do czynienia z elementami pozaziemskiego statku kosmicznego.

Henry Gris poprosił innych rosyjskich ekspertów o ustosunkowanie się do wypowiedzi profesora Bożycha. Dr Władimir Georgiewicz Aszasza, dowódca pierwszej rosyjskiej łodzi podwodnej, która przepłynęła pod lodami Bieguna Północnego, autor wielu książek naukowych, powiedział:

„Całkiem możliwe, że martwe istoty znajdują się nadal na pokładzie obcego statku kosmicznego. Istnieją już możliwości techniczne, gdyby więc Rosjanie i Amerykanie połączyli swoje siły, można by elementy statku sprowadzić na Ziemię. Powinniśmy to zrobić. Im szybciej, tym lepiej, bo potem może być już za późno. Szczątki mogą wejść przecież w atmosferę ziemską i spłonąć. Moim zdaniem nie ma żadnych wątpliwości, że są to fragmenty obcego statku kosmicznego. Nie da się ich pomylić z meteorytami, meteoryty nie krążą po orbicie wokółziemskiej!”

Geofizyk, profesor Aleksiej Wasiliewicz Zołotow - znany dzięki badaniom meteorytu tunguskiego, który 30 czerwca 1908 roku o godzinie 7¹⁷ uległ eksplozji nad syberyjską tajgą - potwierdza tę hipotezę: „Nie ma żadnych wątpliwości, że są to szczątki pozaziemskiego statku kosmicznego. Wiele lat badaliśmy ten przypadek, teraz nie można już tracić czasu!”

Nie wolno nam przez zaniechanie utracić pierwszego prawdziwego dowodu na istnienie technologii pozaziemskiej.

Czy angażując się w tę sprawę, Rosjanie są na właściwej drodze, czy mają rację?

Czy elementy obserwowane przez nich od tak dawna są istotnie częściami pozaziemskiego statku kosmicznego?

Dlaczego Amerykanie nie robią nic dla wyjaśnienia tej sprawy?

Jeśli w tej najfantastyczniejszej historii naszego stulecia istotnie coś jest, to dlaczego prasa nie pisze o tym na pierwszych stronach?

Czy nie warto byłoby zorganizować w związku z tymi badaniami naukowego „spotkania na szczycie”, usprawiedliwiając to nadużywanym pojęciem?

Chciałbym się dowiedzieć, co tkwi w tej „sensacji”.

Oto cała ta historia.

Jak pozaziemski statek kosmiczny rozpląnął się w powietrzu

W październiku 1969 roku amerykańskie astronomiczne czasopismo fachowe „Icarus” opublikowało dziewięciostronicowy raport „Satelity Ziemi. Dowody bezpośrednie i pośrednie” [4]. Autorem był astronom John P. Bagby, pracownik ośrodka badawczego Hughes Aircraft Company w Culver City w Kalifornii.

Przez wiele lat Bagby prowadził obserwacje przestrzeni wokółziemskiej. Była to praca ważna, bo od początku lat sześćdziesiątych Rosjanie i Amerykanie umieszczali na orbitach wokółziemskich coraz więcej sztucznych satelitów. Rzeczywiste orbity tych sztucznych ciał niebieskich nie różnią się od wyliczonych - należy wykluczyć zderzenie „zataczających się” satelitów. Dotyczy to też geostacjonarnych satelitów telekomunikacyjnych i telewizyjnych, które, patrząc z Ziemi, stoją z pozoru w jednym miejscu, w istocie jednak się poruszają. Ale niezależnie od tego, jak dokładne byłoby wyliczenie orbit satelitów, zawsze może zdarzyć się coś, co zaburzy tor ich lotu, zmieni kurs, niemało ich płonie, wchodząc w atmosferę ziemską. Rosjanie i Amerykanie obserwują każdy skrawek nieba, starając się odpowiedzieć na pytanie, co było przyczyną zejścia z orbity.

Jeszcze nim 4 października 1957 roku wystrzelono pierwszy Sputnik, było wiadomo, że Ziemię okrążają

naturalne „mikroksiężyce”. Zarejestrowano dziesięć takich *naturalnych* satelitów, osiem mniejszych i dwa większe. John P. Bagby zainteresował się tymi mikro-księżycami, opublikował tabele, efekt wieloletnich prac, zawierające dane dotyczące ich orbit i wprowadził je do komputera, żeby stwierdzić, czy *naturalne* satelity są przyczyną zmian orbit satelitów *sztucznych*. Bagby - czy też jego komputer - ustalił rzecz zdumiewającą: jeśli orbita danego ciała niebieskiego jest znana, jeśli znane są inne wpływy fizyczne - wiatr słoneczny, siła przyciągania ziemskiego, siła odśrodkowa - to można z góry obliczyć, jakie korekty orbity trzeba będzie przedsięwziąć w przyszłości. (Podobne obliczenia pozwoliły przewidzieć w 1979 roku, gdzie i kiedy spadną szczątki stacji kosmicznej Skylab.)

Bagby przetestował wszystkie możliwości. Dla uniknięcia kolizji sztucznych satelitów komputer przeliczał nie tylko wszystkie dane dotyczące przyszłości, lecz również sięgał w przeszłość. Bagby chciał się dowiedzieć, skąd wzięły się naturalne mikro księżyce. I jak długo będą jeszcze krążyć wokół Ziemi,

Wyliczenie hipotetycznych orbit w przeszłości wykazało, że wszystkie dziesięć elementów stanowiło 18 grudnia 1955 roku jedną całość. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. 18 grudnia 1955 roku na orbicie wokółziemskiej nastąpiła eksplozja. W swoim raporcie Bagby reprezentuje jednak pogląd, że są to elementy *naturalne*, nie wspominał ani słowem o pozaziemskim statku kosmicznym. Na taki pomysł wpadli dopiero Rosjanie. Dlaczego?

Rosjanie nie przeoczą żadnej interesującej publikacji naukowej wydanej na Zachodzie, lekkomyślnie ujawniającej najnowszą wiedzę. Profesor Bożych powiedział wprawdzie, że za pomocą teleskopu spostrzegł i śledził dwie większe części, ale faktem jest, że jako pierwszy napisał o tym zjawisku John P. Bagby. Ani na Wschodzie, ani na Zachodzie nie kwestionuje się faktu, że odłamki istnieją, sprawą sporną pozostaje tylko, co to jest.

Wielkie mocarstwa wiodą się chętnie za nos, ale istnieją fakty, których nie da się utrzymać w tajemnicy. W tajemnicy nie można nawet utrzymać podziemnych eksplozji atomowych. W tym mniejszym stopniu da się utrzymać w tajemnicy wystrzelenie na orbitę pojazdu kosmicznego. Należy zatem wykluczyć prawdopodobieństwo, że dziesięć dziwnych odłamków to elementy sztuczne. Start pierwszego ziemskiego sztucznego satelity nastąpił 4.10.1957 roku, dwa lata po eksplozji zagadkowego obiektu.

Po opublikowaniu raportu Bagby'ego Rosjanie też zaczęli liczyć i wyszła im taka sama data eksplozji: 18 grudnia 1955 roku.

Co skłoniło ich do wysunięcia hipotezy, że kosmiczni intruzi to części pozaziemskiego statku kosmicznego?

Rosjanie byli bardzo sprytni, wybiegli myślą w przyszłość dalej niż Amerykanie. Chcieli się dowiedzieć, po jakiej orbicie poruszał się obiekt *przed* 18 grudnia 1955 roku, kiedy stanowił jeszcze całość. Dla uzyskania takiej informacji trzeba było znać wielkość poszczególnych części obiektu. Pomiary dokonane za pomocą lasera i radaru wykazały, że obie większe części miały po około 27 m średnicy, wymiary mniejszych można było tylko ocenić z grubszą. Niezawodny „towarzysz komputer” zorientował się błyskawicznie, że przed 18 grudnia 1955 roku obiekt miał zapewne 70-80 m średnicy.

Rosjanie próbowali dalej. Jeśli obiekt był bryłą kosmicznego lodu, to byłoby logiczne, że miałby inną masę, niż gdyby był kulą pustą w środku. Zgodnie z tym ważkim spostrzeżeniem ciało, które uległo eksplozji, było najprawdopodobniej puste.

Tylko kto miał rację, Rosjanie czy Amerykanie? Czy obiekt był sztuczny czy naturalny?

Pytałem, naukowcy odpowiadali

W szczegółowych listach zacząłem wypytywać o to zachodnich naukowców.

Profesor dr Harry O. Ruppe, który przez wiele lat był prawą ręką Wernhera von Brauna, a dziś kieruje Katedrą Techniki Lotów Kosmicznych Politechniki Monachijskiej, odpowiedział:

Lehrstuhl für Raumfahrttechnik Richard-Wagnerstr. 18/111
Technische Universität München 8000 München 2
Prof. Dr.-Ing. Harry O. Ruppe Telefon (0 89) 2105-2578
Teleks 5 22854 tumue

„Czytałem w »Icarusie« artykuł, o którym Pan wspomina. Wyliczenia, jak przebiegały jakieś orbity w przeszłości, zawsze są nieco problematyczne, do tego »jedność obiektu« należy traktować *cum grano salis*. Wymiary oryginału po prostu zgadywano. Oczywiście, teoretycznie taki obiekt może być pozaziemskiego pochodzenia; przeciwko takiej hipotezie przemawia to, że jeśli tylko możliwe, należy stosować mniej »egzotyczne« wyjaśnienia” [5].

Podobnej, lecz bardziej wyczerpującej odpowiedzi **udał mi się** mgr inż. Jesco von Puttkamer z NASA w Waszyngtonie:

NASA
National Aeronautics and
Space Administration

Washington D.C.
20546

„Do dziś nie ma żadnego dowodu na istnienie naturalnych satelitów Ziemi poza Księżycem. Dane

przedstawione przez Bagby'ego we wzmiankowanym przez Pana artykule w »Icarusie« zostały tymczasem wielokrotnie podawane w wątpliwość, a dr John O'Keefe z NASA-Goddard Space Flight Center, jeden z czołowych ekspertów w tej dziedzinie, oświadczył, że dane przedstawione przez Bagby'ego są *wrong*, błędne. O'Keefe wielokrotnie rozmawiał o tym z Bagbym przekonując go, że podane przezeń zaburzenia orbit sztucznych satelitów, powodowane rzekomo przez hipotetyczne satelity, nie odpowiadają rzeczywistości. Od tamtego czasu podejmowano wielokrotnie intensywne poszukiwania innych satelitów: bez rezultatu. Oczywiście mamy dokładny wykaz wszystkich sztucznych satelitów Ziemi - dotychczas wystrzelono ich ponad 4500 - z których wiele jest »nieznanego« ale na pewno nie pozaziemskiego pochodzenia (odłamki, satelity radzieckie itp.).

Wracając do Pańskiego pytania, czy są to obiekty pochodzenia naturalnego. Bo jest to z logicznego punktu widzenia najbliższe. Wiadomo, że w Układzie Słonecznym pełno jest takich obiektów, nie jest więc nieprawdopodobne, że krążą one również wokół Ziemi. Jak dotąd, pozaziemskie statki kosmiczne istnieją wyłącznie w naszej wyobraźni i są całkowicie pozbawione podstaw, a dla nauki bez sensu byłoby uznawanie za prawdę różnych wytworów wyobraźni, jak długo istnieją wyjaśnienia prostsze, poparte dowodami, bardziej zwyczajne i logiczne. W sumie cała ta afera z »pozaziemskim statkiem kosmicznym« okazała się bańką mydlaną i nic po niej nie zostało. Ale jeszcze długo różni ludzie, działający w dobrej wierze albo zawodowi łgarze, będą przedstawiać opinii publicznej rzeczy, których w rzeczywistości nie ma" [6].

Profesor Frank Drake jest czołowym radioastronomem świata. Pracuje w Ithaca w stanie Nowy Jork, gdzie jest dyrektorem National Astronomy and Ionosphere Center Cornell University. Placówka ta użytkuje największy radioteleskop świata, znajdujący się w Arecibo w Puerto Rico. Profesor Drake tak mi odpowiedział:

NATIONAL ASTRONOMY AND IONOSPHERE CENTER

Office of the Director
Arecibo Observatory
Cornell University Post Office Box 995
Space Sciences Building Arecibo, P.R. 00612
Ithaca, N.Y. 14853 Telephone: 809-878-2612
Telephone: 607-256-3734 Telex: 385-638
Telex: 932454

„Jeżeli obiekty te istotnie stanowiły kiedyś całość, to w obecnej chwili nie możemy powiedzieć, skąd pochodził obiekt pierwotny. Musielibyśmy to dopiero zbadać. Jakkolwiek jest, naturalne pochodzenie obiektu byłoby oczywiście wyjaśnieniem najrozsądniejszym i zgadza się z obecnym stanem wiedzy o takich obiektach. Szczególnie ważne jest, że obliczona w przybliżeniu oś orbity tego obiektu przebiega akurat przez obszar ziemskiej granicy Roche'a. Prawdopodobne jest zatem, że przechodząc przez ten obszar, obiekt naturalny rozpadł się pod wpływem dwóch sił ciężenia. Jeżeli założymy, że rozpad ten nie nastąpił na skutek eksplozji, wtedy założenie to będzie się zgadzało z faktem, że obiekty mają bardzo zbliżone orbity. To zaś pasuje do założenia, że rozpad obiektu spowodowały te same siły, które wywołują pływy.

Nie dysponuję informacjami o wymiarach poszczególnych obiektów ani gdzie obiekty te znajdują się obecnie. Nic nie wiem również, czy planuje się podjęcie szczegółowych badań obiektów. Mam nadzieję, że moje informacje będą Panu pomocne" [7].

Wszystko jasne? Nic nie jest jasne!

Wydaje się, że te trzy związłe, fachowe odpowiedzi wyjaśniają sprawę. Ale czy naprawdę?

Wypróbowaną zasadą, stosowaną przez naukowców przy rozwiązywaniu kwestii otwartych lub niespodziewanych, jest korzystanie z informacji najbliższych, najprostszych, trzymanyh, że tak powiem, w zamrażarce. Dopiero potem sprawdza się wyjaśnienia „egzotyczne" (Ruppe). Przytoczone listy trzymają się tej zasady. Gdyby nie stosowano tej podstawowej reguły naukowej logiki, mogłoby się pojawić niebezpieczeństwo rozproszenia sił i środków stojących do dyspozycji badaczy. Może zdarzyć się tak, że problemy te koniec końców zabiorą tylko czas i pieniądze. Same koszty, same straty.

Ale mimo wszystko wydaje mi się, że w tej metodzie postępowania szaleje nieznaną wirus. To, co „z logicznego punktu widzenia najprostsze" (Puttkamer) zgadza się zawsze z „obecnym stanem wiedzy" (Drake). Jeżeli „do dziś nie istnieje żaden dowód" (Puttkamer), to jest to podstawa do odrzucenia konstruktywnej fantazji - inspirującej przecież z początku nawet NASA do jej śmiałych planów - także pod względem prawdopodobnych spekulacji. W rozmowie z Wernherem von Braunem, jaką przeprowadziłem, zauważyłem, że konstruktor ten jest otwarty na takie sprawy. „Najprostsza" odpowiedź jest zawsze udzielana z *dzisiejszego punktu widzenia*. Dla zakwestionowania tej nader konserwatywnej zasady pozwolę sobie zacytować słowa amerykańskiego naukowca i dyplomaty Jamesa Brianta Conanta, który w swojej pracy *Modern Science and Modern Man* (1952) napisał:

„Historia nauki dowodzi, nie dopuszczając przy tym żadnych wątpliwości, że naprawdę rewolucyjny i istotny

postęp nie jest wynikiem empirii, lecz że wywodzi się z nowych teorii".

Poniższe przykłady pozwolą nam uzmysłwić sobie, jakie błędy można popełnić, biorąc pod uwagę tylko „najprostsze” możliwości:

Pewien specjalista, trudniący się poszukiwaniem złóż bogactw naturalnych - żelaza, miedzi i innych metali - przed czterdziestu laty zachorował. Skarżył się na napady zawrotów głowy, na bóle oczu, na wysychanie skóry, na coraz częstsza ociężałość i zmęczenie. Na podorędziu były „najprostsze” wyjaśnienia. Najpierw więc lekarze postawili diagnozę, że to przeziębienie, potem że ciężka grypa, potem że niedokrwistość, a wreszcie że jakiś nieznaną wirus. Chorego leczono na podstawie kolejnych diagnoz, aż umarł po długich cierpieniach.

Co takiego pominięto, wynajdując tylko „najprostsze” wyjaśnienia?

Nic o tym nie wiedząc, fachowiec ten pracował przez dłuższy czas w okolicy bogatej w złoża rudy uranowej. Uran w postaci naturalnej jest promieniotwórczy. Przyroda nie chroni przed jego promieniowaniem ani płaszczami wodnymi, ani murami z betonu. Ponieważ nikt nie wpadł na „najprostszą” - w przypadku takiego zawodu! - możliwość, to leczono tego człowieka niewłaściwie. Zamiast zaordynować mu środki pozwalające zniwelować skutki promieniowania, przepisywano mu pigułki na grypę i preparaty hemoglobinowe na anemię. Zrobiono, co było „najprostsze”.

Kolejny przykład:

Od ponad 25 lat tysiące ludzi twierdzi, że widziało UFO. Wedle obecnego stanu wiedzy zjawisko to nie pasuje do „rozsądnej” nauki, a więc nie istnieje. „Najprostszym” argument, pozwalający załatwić się z problemem, zaczerpnięto z psychologii: ludzie ci mają bujną wyobraźnię albo halucynacje, albo wreszcie myśli natrętne. Jak wiadomo, nie jestem fanem UFO, wierzę jednak, że „najprostszą” metoda odstawia tylko problem na bocznicę, wcale go nie wyjaśniając.

Inny przykład:

Istnieją legendy opowiadające *en gros* i *en detali* o „bogach”, którzy na naszą planetę przybyli z nieba. Dawni kronikarze wymieniają ich imiona i opisują funkcje, opowiadają o ich dokonaniach oraz zdają dokładne relacje o ich przybyciu, a potem o starcie w drogę powrotną. Ale ponieważ w „obecnym stanie wiedzy” nie można wykazać „żadnego dowodu” na ich *istnienie*, to „najprostszą” odpowiedź jest przesuwana w sferę wiary i religii albo interpretacji pseudo psychologicznych. Ale nas nie uda się *w ten sposób* splawić: miską soczewicy z tradycyjnej kuchni nauki.

Kiedy ustawiczne napomnienia nie skutkują, trzeba przynajmniej zastanowić się nad tym, że przecież nowatorskich i rewolucyjnych odkryć dokonują ludzie, stojący z boku, którzy nie przejmując się „dzisiejszym stanem wiedzy” -wkraczają niepostrzeżenie w „egzotyczne” dziedziny i osiągają sukces. Tym outsiderom nie wystarcza „najprostszą” odpowiedź - bez uprzedzeń zadają pytania, dotyczące „najprostszej” odpowiedzi - pytania utopijne z punktu widzenia „dzisiejszej nauki”.

O tych problemach po całych nocach dyskutuję z zaprzyjaźnionymi naukowcami, którzy mówią: Co mamy robić? Badać każdą fantasmagorię? Czy finansujące nas szkoły wyższe i państwo nie obetną nam wtedy forsy? Podczas tych rozważań wydało mi się, że naukę męczy dylemat: z jednej strony jest „najprostszą” odpowiedź, z drugiej przypadkowe odkrycie na bazie empirii. To straszne!

Mam bujną wyobraźnię, ale nie jestem fantastą. Rozumiem ten dylemat, nie twierdzą, że należy badać każdą bzdurę, ale między odpowiedzią „najprostszą” a prawdopodobnie *możliwą* rozciąga się - że zacytuję za Theodorem Fontane - „rozległe pole”. Zanim ruszy się śladem *możliwej* odpowiedzi, należy wykazać, dokładnie sprawdzić jej prawdopodobieństwo. Do tego nie trzeba funduszy, wystarczy ruszyć głową. Skrupulatnie należy zbadać, czy odpowiedź *możliwa* ma jakieś szansę w stosunku do „najprostszej”.

Wątpić nie tylko wolno, wątpić trzeba

W opisanym przypadku mamy do czynienia z rozbieżnymi oświadczeniami. „Najprostszym wyjaśnieniem”

Zachodu brzmi: dziesięć niezidentyfikowanych odłamków to *naturalne* satelity. Rosjanie twierdzą natomiast:

„Badaliśmy i badaliśmy, liczyliśmy i liczyliśmy..., wyszło nam, że to części pozaziemskiego statku kosmicznego”.

Nie mogę oceniać słuszności stanowiska jednej czy drugiej strony, ale zdrowy rozsądek podpowiada mi, że wielcy i potężni naukowcy obu stron powinni usiąść przy jednym stole! Jestem przeciwny zmarnowaniu niewyobrażalnej szansy. Podoba mi się propozycja Rosjan, żeby przyjrzeć się bliżej przynajmniej jednemu z tych obiektów, nim przepadnie raz na zawsze, płonąc w atmosferze ziemskiej. Miliardy dolarów wydano na przywiezienie z Księżyca paru próbek skał, o których nikt już dziś nie pamięta. Tymczasem w pobliżu Ziemi, pośród 4500 zewidencjonowanych sztucznych satelitów, krąży dziesięć niezidentyfikowanych obiektów, którymi się nikt - na Zachodzie - nie przejmuje: załatwiono je „wyjaśnieniem najprostszym”.

Też skłaniam się ku mniemaniu, że owe dziesięć odłamków to twory naturalne, ale skąd pochodzą? Z Ziemi na pewno nie. Obiekt, który wedle cudownie zgodnego poglądu Wschodu i Zachodu uległ eksplozji 18 grudnia 1955 roku, przebył na pewno bardzo długą drogę. Czy sama jego obecność nie stymuluje pytania o istnienie życia pozaziemskiego w ogóle? Czy miniobiekty nie są nośnikami nieznanego dalekiego życia?

W listopadzie 1980 roku na Uniwersytecie Stanowym Maryland odbyło się spotkanie wielu znaczących uczonych ze szkół wyższych, którzy zajęli się problemem, czy życie na Ziemi powstało za sprawą „panspermii” [8]. Kiedy w 1973 roku poddałem nieśmiało tę możliwość pod dyskusję, wylano na mnie kubeł szyderstw. Teraz rozprawiają o tym naukowcy. Cieszę się.

Brak jeszcze jednoznacznego dowodu na istnienie pozaziemskiego życia. To, czy obecność kosmicznych form życia stanie się „poważnym tematem badań” - tyle profesor Hans Elsasser - wiąże się „zwłaszcza z poglądem wielu przedstawicieli nauk przyrodniczych, którzy uważają, że manią wielkości jest zakładanie, iż jesteśmy jedynymi inteligentnymi istotami w Kosmosie”.

Spekulacja, dotycząca pozaziemskiego życia, nie jest wcale nowa, już Hermann Ludwig Ferdinand von Helmholtz (1821-1894), fizyk i fizjolog, pisał:

„Kto wie, czy meteoryty i komety, przemierzające Wszechświat, niosą zarodki wszędzie tam, gdzie światy rozwijają się w takim kierunku, aby dać przyszłość żywym istotom”.

Na marylandzkim sympozjum w 1980 roku Sherwood Chang z Instytutu Badawczego NASA w Ames w Kalifornii opisał przebieg takiego procesu: warunki na Ziemi nie sprzyjały życiu, tak samo jak warunki panujące na innych ciałach niebieskich, „analizowanych” tymczasem przez sondy kosmiczne: Ziemia była wówczas naga jak Księżyc, zmarznięta na kość jak Jowisz, nie miała atmosfery, jej powierzchnia była pokryta pyłem i pełna kraterów jak na Marsie. Ale jak „bomby” trafiały w nią komety i planetoidy, dostarczając jej substancji bogatych w węgiel i tworząc tym samym podstawy wszystkich form życia. Sherwood Chang jest przekonany, że z tych pierwszych biologicznych cegiełek rozwinęło się życie. Na zarzut, że promieniowanie kosmiczne i wysokie temperatury zniszczyłyby na pewno te zarodki, można odpowiedzieć, cytując pogląd Dona E. Brownlee'a z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, wedle którego cząsteczki bogate w węgiel mogły przetrwać długą podróż. Dzięki wydzielanemu przez nie promieniowaniu Brownlee zdołał za pomocą radioteleskopu wykryć w meteorytach i ogonach komet co najmniej 50 związków chemicznych, podstawowych substancji umożliwiających powstanie życia.

Tego samego zdania jest prof. Yeheshel Wolman z Hebrajskiego Uniwersytetu w Jerozolimie [9]. W 1980 roku ponad stu naukowców brało udział w dyskusji na kongresie, poświęconym problemowi „Czy Adam przybył z Kosmosu?” Zgadzać się co do tego, że rozwój następował od prymitywnych do wyższych form życia, spierano się co do problemu przejścia od świata nieożywionego, świata minerałów, do pierwszych, najniższych form życia. Profesor Wolman:

„Dzięki analizom chemicznym wiemy, że chemicznymi podstawami życia są związki wielkocząsteczkowe. Każda z tych cząsteczek składa się z wieluset tysięcy, a nawet milionów atomów. Takie związki chemiczne nazywamy polimerami. Jeśli się dowiemy, jak i kiedy powstały pierwsze polimery, to zbliżymy się do odkrycia początków życia... Przypuszczamy, że przyroda stworzyła pierwsze polimery z elementów kosmicznych, nie pochodzących z Ziemi”. W trakcie dyskusji prof. Emanuel Gilav z Instytutu Nauk im. Weizmanna w Rehovot stwierdził w nawiązaniu do powyższej wypowiedzi:

„Impulsem do rozpoczęcia naszych badań była, jak zawsze, ciekawość. Kiedy się dowiemy, jak powstały pierwsze żywe komórki, będzie nam łatwiej zwalczać raka. Rak przecież nie jest niczym innym jak chorobliwym namnażaniem się komórek”. Dobrze. Odkryto istnienie cegiełek życia w Kosmosie, ale nie zobowiązuje to nas do twierdzenia, że życie pozaziemskie istnieje. W sąsiedztwie Ziemi kręcą się jakieś odłamki, ale nikt nie chce się podjąć zbadania, czy te odłamy pozaziemskich skał - zapomnijmy o hipotezie, że są to części wraku pozaziemskiego statku kosmicznego! - zawierają jakieś mikroorganizmy, stanowiące nieodwołalny dowód na istnienie życia w Kosmosie!

Czy nasi kochani zapracowani naukowcy nie wiedzą, jak bliska jest szansa zmiany hipotez w fakty? Istnieje technika umożliwiająca zbadanie dziesięciu podejrzanych obiektów. Czemu się tego nie robi? Czy są to obiekty sztuczne, czy naturalne, nie jest istotne wobec problemu nieporównanie większego kalibru. Zacznijmy poszukiwać śladów pierwszych form życia. Trzeba dołożyć wszelkich starań. W tym sensie wielkie znaczenie mają też dotychczasowe badania w tej dziedzinie prowadzone na Wschodzie i na Zachodzie. Trzeba je tylko skierować na inny cel. Nie powinno to być takie trudne. Gdyby ONZ (wraz z podlegającymi jej organizacjami) nie była towarzystwem zajmującym się głosowaniami nie prowadzącymi do niczego, mogłaby wezwać do powstania wielkiego ruchu: szukajcie śladów pierwszych form życia w Kosmosie!

Pożegnanie z zielonymi ludzikami?

Wiemy, że nauka zajmuje się intensywnie kwestią, w jaki sposób życie z Kosmosu dotarło na naszą planetę.

Kiedy pojawiła się myśl, że nie jesteśmy jedynymi inteligentnymi istotami w Kosmosie, zaczęto się bawić wyobrażaniem sobie, jak też mogą wyglądać ci faceci z odległych gwiazd? Miano nadzieję, że hipotezę mówiącą o istnieniu pozaziemskiego życia uda się ukatrupić przez wyszydzenie: „małe zielone ludziki” zawitały więc na pierwsze strony gazet. Ale „humor” nie podziałał, bo coraz więcej badaczy akceptowało hipotezę, że nasza cywilizacja jest jedną z milionów czy miliardów innych.

Tymczasem najbardziej kraczą moim zdaniem ci, którzy jeszcze niedawno dosłownie sięgali do gwiazd..., jak na przykład radziecki astrofizyk Josif Szklowski. Szklowski mówił mi w swoim moskiewskim instytucie przy Uniwersyteckim Prospekcie 13, że przypuszcza, iż w promieniu 100 lat świetlnych można się spodziewać odkrycia planet, na których istnieje inteligentne życie, mówił mi też o cybernetycznie sterowanej stacji kosmicznej, mogącej przetrwać bez szwanku tysiącletnią podróż. Dziś Szklowski uznaje Ziemię za „rzadki wyjątek w Kosmosie”, zakładając zarazem, że najbliższa cywilizacja jest odległa od Ziemi o 10 000 lat świetlnych.

Rosyjskie oświadczenie, że Ziemia i istniejące na niej życie należy do „rzadkich wyjątków w Kosmosie”, nie jest wcale nowe. Jest równie przestarzałe jak postulat przedstawiony w 1974 roku przez Jacquesa Monoda w jego książce *Przypadek i konieczność (Zufall und Notwendigkeit)*. Monod twierdzi, że my, mieszkańcy Ziemi, jesteśmy jedynymi - za sprawą przypadku! - inteligentnymi istotami we Wszechświecie. Poniżej proponuję rozważyć następujące sprawy, nie poruszane, jak mi się zdaje, w publicznej dyskusji na ten temat:

- Naukowcy nie muszą wcale udowadniać faktu, że gdzieś, kiedyś i jakoś powstało życie. Sami jesteśmy tego dowodem, istniejemy!
- Podstawową zasadą każdego życia jest to, że się rozprzestrzenia i mnoży. Dzieje się tak codziennie wokół nas - tylko od kiedy i dlaczego? - my też przyczyniamy się do tego, zresztą nie bez przyjemności. Że życie mija, a potem rodzi się na nowo, to też truizm.
- Życie *nieinteligentne*, jego najniższa forma, może się rozprzestrzeniać tylko na macierzystej planecie, chyba że jakaś siła (trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu, zniszczenie planety przez upadek wielkiego meteorytu) wyrzuci zarodki życia, przetrwalniki niskiej, nieinteligentnej formy życia, w Kosmos.
- Życie *inteligentne* ma tendencję do rozprzestrzeniania się. Gdy tylko stworzy techniczne podstawy po temu, będzie dążyć do opuszczenia macierzystej planety i podąży ku nowym, odległym celom. Początkiem takiej działalności są nasze wyprawy badawcze na Księżyc, na Marsa i Jowisza, na Wenus.
- Życie inteligentne nie musi się rozprzestrzeniać koniecznie i wyłącznie w załogowych statkach kosmicznych. Inteligentne istoty pozaziemskie mogą wysyłać również „bomby życia”, lekkie kapsuły wystrzelwane za pomocą rakiet z ich układów słonecznych. W takich kapsułach mogą się znajdować mikroorganizmy, komórki zawierające kod genetyczny ich gatunku. Jak przyjęto na marylandzkim sympozjum w 1980 roku, inteligentni mieszkańcy innych planet mogą w ten sposób „zapłodnić” nieskończenie wiele układów słonecznych. Na planetach, gdzie panują warunki sprzyjające życiu, mikroorganizmy będą się szybko rozmnażać.
- Wiele kapsuł nie dotrze do celu, przez wieczność będzie błądzić po Wszechświecie albo spłonie w pobliżu jakiegoś słońca. Ta możliwość rozprzestrzeniania życia może być już *dla nas* sprawdzoną praktyką. Kiedy Czytelnik weźmie tę książkę do ręki, sonda kosmiczna, wystrzelona w marcu 1972 roku w kierunku Jowisza, minie już Saturna i znajdzie się poza Układem Słonecznym. Gdyby sondę tę wyposażono w niewielki pojemnik wypełniony mikroskopijnymi kuleczkami, które rozsypałyby się na sygnał radiowy, to nasze „posłania życia”, geny i mikroorganizmy, „pożegłowały-by” na wszystkie strony Wszechświata i może trafiłyby na planetę, gdzie panują warunki sprzyjające życiu. Tam w procesie ewolucji, trwającym wiele tysięcy lat, powstałyby istoty „na nasz obraz i podobieństwo”.
- Zgodnie z tym schematem życie może się rozwijać według określonego wzoru w różnych układach słonecznych. Ten rozwój na innych planetach wymyka się naszym metodom statystyczno-naukowego pojmowania zjawisk.
- Nie da się więc odpowiedzieć na pytanie „jak duże jest prawdopodobieństwo rozwinięcia się życia na innej planecie?”. Życie rozrzucone raz we Wszechświecie przez nas (albo przez inne inteligentne istoty) rozwija się dalej według swoich pradawnych prawideł. Życie rozmnaża się tak, jak powiększa się tocząca się kula śnieżna. Nieskończenie. Niepowstrzymanie.
- Uwzględniwszy wszelkie kryteria, będziemy mogli wybrać, moim zdaniem, jedną z trzech możliwości.

Pierwsza: życie jest nieskończenie skomplikowane. Szczęśliwy traf - przypadek! - sprawił, że się pojawiło (Monod).

Druga: Życie mogło powstać w różnych okresach w różnych miejscach i w różnych formach. Prawdopodobieństwo to jest tak niewielkie, że zdarzenie takie może nastąpić najwyżej co 10 000 lat świetlnych (Szklowski).

Trzecia: Życie rozwinęło się raz, gdzieś, kiedyś i rozprzestrzeniało przez dodawanie i pomnażanie. Założenie to zapewnia zasada ewolucji, według której wszystkie rozwinięte inteligentne formy życia są do siebie podobne (Daniken).

Pierwszej i drugiej możliwości nie da się dziś udowodnić. Wprawdzie my istniejemy, nie wiemy jednak na pewno, czy istnieją inne inteligentne formy życia. Możliwość trzecia daje się udowodnić: my istniejemy, a każda inteligentna forma życia ma tendencję do rozprzestrzeniania się i rozmnażania. My -jak cała przyroda - stosujemy to w praktyce.

Bez małych, zielonych ludzików!

Pozaziemski szkielet?

Wszystko, co leży w ziemi od tysięcy lat, czeka na sądny dzień, aż to znajdę. Nic nie będzie zapomniane, bo moje archiwum jest pełne znaków w najróżnorodniejszych kolorach, które mi o wszystkim przypominają. W przegródce z napisem *Nieprawdopodobne* tkwiła poniższa sensacyjna relacja z 1975 roku.

W prehistorycznych grobach spoczywają zmarli z innych gwiazd

„Belgijski duchowny Gustavo Le Paige jest przekonany, że przed tysiącami lat pogrzebano na Ziemi człekopodobne istoty z innych planet. *Padre* Le Paige pracuje w Chile jako misjonarz. Od dwudziestu lat zajmuje się badaniami archeologicznymi. Siedemdziesięcioletni ojciec odsłonił 5424 miejsca pochówku ludzi, z których niektórzy zmarli, jego zdaniem, przed ponad stu tysiącami lat. *Padre* Le Paige zwierzył się chilijskiemu reporterowi: »Sądzę, że w grobach pochowano też istoty pozaziemskie. Kilka znalezionych przeze mnie mumii miało rysy twarzy nie znane na Ziemi« [11]. Na północnych krańcach Chile duchowny znalazł w prehistorycznym grobie drewnianą rzeźbę, której nakrycie głowy przypominało hełm astronauty na cylindrycznym kadłubie. Zdaniem tego pobożnego człowieka, przedmiot włożony do grobu pochodził od istoty pozaziemskiej: „Nikt mi nie uwierzy, jeśli opowiem, co jeszcze znalazłem w grobach!” Istotnie. Ja też nie uwierzyłem, ale rutynowo zadzwoniłem do redakcji do Hamburga. O misjonarzu nie wiedziano nic ponad to, co było w artykule, poza tym napisano go na podstawie tylko jednego teleksu z Chile. Koniec pieśni! Nic nie dało również wypytywanie dwóch znanych mi chilijskich dziennikarzy, którzy nie słyszeli o duchownym. Relacja wpadła do przegródki *Nieprawdopodobne*.

Leżałaby tam do dziś, gdyby meksykańskie czasopismo „Yistazo” [12] nie opublikowało zdjęć szkieletu, twierdząc, że w jego posiadaniu jest profesor Ramon de Aguilar w Panamie. Bądź co bądź jakiś trop! A już na Wielkanoc 1979 roku poważny brazylijski magazyn „Gente” [13] przyniósł dalsze informacje o pozaziemskim szkielecie, przypisując wszystko znowu profesorowi de Aguilarowi. Sympatyczna, zadbana twarz mężczyzny w kwiecie wieku, o roztroprym wyglądzie, pozwalała przypuszczać, że to nie szarlatan. Tak też się okazało, gdy go poznałem. Z pewnym opóźnieniem dotarł do mnie reportaż opublikowany w hiszpańskim czasopiśmie „Mundo Desconocido” [14], po raz kolejny opisujący ojca Le Paige i znaleziony przez niego szkielet.

Kolorowy znaczek na przegródce *Nieprawdopodobne* migał do mnie zachęcająco.

Od lat przyjaźnię się z redaktorem naczelnym „Mundo Desconocido”, Andreasem Faberem-Kaiserem.

Poprosiłem go o pomoc. Nie wiedział nic na temat ojca La Paige, ale mógł się dla mnie postarać o adres profesora de Aguilara. O ile na ponowne pytania skierowane do Meksyku i Brazylii nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, o tyle profesor odpisał bez zwłoki. Chętnie pokaże mi szkielet, który będę mógł też sfotografować ze wszystkich stron.

Kim jednak jest i gdzie przebywa *padre* Le Paige, odkrywca tego pradawnego przedmiotu?

Ambasada Szwajcarii w Chile odpowiedziała mi 4 marca 1980 roku; autorem listu był radca ambasady, V. Yuffray:

„Szanowny Panie von Daniken,

potwierdzam otrzymanie Pańskiego listu z 23 lutego i donoszę, że Belg, *padre* Gustavo Le Paige, który niżej podpisanemu jest znany osobiście, przybywa obecnie w Colegio San Ignacio, Calle Alonso Ovalle 1480 w Santiago. Po ciężkiej chorobie, jaką przebył w ostatnich miesiącach i długotrwałym leczeniu, jakiemu się poddał, nie wróci już zapewne do San Pedro de Alacama.

W tej właśnie osadzie na północy Chile, u podnóża Andów i w pobliżu saletrzanych pustaci, ojciec stworzył muzeum, gromadzące ogromną ilość znalezionych przezeń w okolicy i wykopanych szczątków i innych przedmiotów.

Mam nadzieję, że umożliwi to Panu nawiązanie kontaktu z ojcem i byłbym rad, mogąc gościć Pana podczas Pańskiego pobytu w Chile” [15].

Ach, gdybyż wszystkie nowiny były tak radosne!

Tego samego dnia wysłałem wszystkie moje książki w tłumaczeniu na hiszpański do radcy ambasady z prośbą o przekazanie ich choremu ojcu z najlepszymi życzeniami powrotu do zdrowia i o zapowiedzenie mojego przyjazdu. Na list ten 7 maja 1980 roku odpowiedział nasz ambasador, pan Casanová:

„Hiszpańskie wydania Pańskich książek chciałem przekazać ojcu Le Paige, zawiadomiono mnie jednak, że chory jest, niestety, umierający i od wielu tygodni nie odzyskał przytomności” [16].

W planie południowoamerykańskiej podróży na spotkanie z *padre* La Paige przeznaczyłem drugi tydzień sierpnia. Ale wiadomość, która nadeszła - *Air Mail/Express* - 6 czerwca, spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

„Szanowny Panie von Daniken,

serdecznie dziękuję za Pański list z 27 maja, w którym potwierdza Pan swój przyjazd do Santiago 8 sierpnia.

Muszę Panu, niestety, donieść, że *padre* Le Paige zmarł 19 maja. Założone przez niego Muzeum Archeologiczne w Atacama podlega Universidad el Norte, Casilla 1280, Antofagasta.

W załączeniu przesyłam dwa artykuły o *padre* Le Paige.

Serdeczne pozdrowienia
Ambasador Szwajcarii
M. Casanova" [17].

Tym razem relacje za długo leżały w przegródce *Nieprawdopodobne*. Nekrologi świadczyły o tym, że *padre* cieszył się głębokim szacunkiem Indian. Podkreślały, że na słowach tego pobożnego człowieka zawsze można było polegać. Ale, niestety, tajemnicę znalezisk oraz cudownego pozaziemskiego szkieletu *padre* zabrał do Krainy Wiecznych Łowów.

Z całego serca życzyłem profesorowi de Aguilarowi, aby wszyscy sprzyjający mi bogowie wzięli jego zdrowie pod swoją ochronę.

Oko w oko z profesorem de Aguilarem

Z końcem sierpnia profesor de Aguilar przyjął mnie w rodzinnym gronie w swojej bogatej bibliotece. Okazało się wkrótce, że wprawdzie nie wiedziałem o nim nic, on wszakże dzięki lekturze moich książek wiedział o mnie wszystko. Był to uroczy mężczyzna z wielką brodą. Jego serdeczność sprawiła, że już po chwili zniknęły wszelkie objawy skrepowania. Profesor wręczył mi z uśmiechem swój pięciostronicowy życiorys, wyciągnięty z szuflady biurka. W 1953 roku de Aguilar zrobił w Sewilli doktorat z medycyny, a w 1960 roku w Madrycie z psychiatrii. Jako naczelnemu lekarzowi Panamy kilka uczelni przyznało mu tytuł doktora *honoris causa*. Znalazłem się w dobrych rękach i z niecierpliwością czekałem na chwilę, w której ujrzę pierwszy pozaziemski szkielet.

Profesor skazał mnie na tortury oczekiwania, kazał podać szampana, piliśmy nasze zdrowie, zdrowie jego żony, obu córek, rozmawialiśmy o tropikalnym klimacie Panamy, o dzieciach zestresowanych szkołą, nieciekawej sytuacji międzynarodowej. W pewnej chwili nie wytrzymałem, przerwałem pogawędkę, wyjąłem z aktówki czasopisma i gazety oraz dość niegrzecznie zapytałem: - A szkielet?

Profesor de Aguilar uśmiechnął się i pohamował moją niecierpliwość, mówiąc, że najpierw opowie mi historię znaleziska, a jest to historia, która kaze mi na chwilę zwątpić w zdrowy rozum opowiadającego.

Trzej ludzie w czerni i szkielecik

Oto opowieść profesora. Jest rok 1972. W pobliżu Erendiry w Zatoce Kalifornijskiej, po meksykańskiej stronie granicy, znaleziono szkielet, wykazujący duże podobieństwo do szkieletu, który ma profesor. Szkielet znaleziony w 1972 roku został wystawiony w Mexico City w słynnym Muzeum Antropologicznym, zbadany przez wybitnych antropologów i zaklasyfikowany jako „nie ziemskiego pochodzenia”.

Potem stała się rzecz zdumiewająca. Szkielet przepadł bez śladu, a ci sami naukowcy, którzy zaklasyfikowali obiekt jako „nie ziemskiego pochodzenia”, zmienili z dnia na dzień zdanie, a żaden nie podtrzymał swojego poprzedniego stanowiska. Profesor uśmiechnął się, może taka „wytrwałość” kolegów nie jest mu obca?

Wkrótce u Ramona de Aguilara zjawiał się jakiś robotnik rolny ze „szkieletem”, znalezionym niedaleko plaży w miejscowości San Carlos, leżącej w Panamie nad Oceanem Spokojnym. Profesor natychmiast skojarzył znalezisko z odkryciem z Meksyku, które znał z fotografii. Od razu pojawiła się chmara reporterów - Aguilar westchnął na samo wspomnienie - nierzadko przekraczających jego słowa, co stwierdzał nazajutrz, czytając gazety. Dobrze go rozumiałem, bo sam nazbyt często wpadam w takie sidła. Jak na razie opowieść była raczej nudna, nie zadawałem więc pytań, żeby jak najszybciej ujrzeć szkielet. Ale potem historia zrobiła się fascynująca.

Pewnego popołudnia przed trzema laty do drzwi jego domu zadzwoniło trzech ludzi, ubranych od stóp do głów na czarno. Sekretarkę, która im otworzyła, odsunęli na bok bez słowa i weszli do pracowni. Współpracownicy profesora zdrętwieli ze strachu. On sam zresztą przyznał, że i jego ogarnęło dość niemiłe uczucie. Od razu przypomnieli mi się trzej ludzie w czerni (tzw. *Men in Black*) [18], tajemnicze postacie, straszące na międzynarodowej scenie literatury spekulatywnej. Wiązano ich z tajemniczymi morderstwami, uważano za „podróżników w czasie”, którzy pojawiają się niespodzianie, wykonują swoje straszne zlecenia i znikają bez śladu.

Jeśli ci trzej czarni panowie pasują tak dokładnie do relacji profesora, jeśli ten poważny naukowiec na pewno nie słyszał przedtem o tych ponurych postaciach, to znaczy, że te kreatury pojawiły się istotnie tak ubrane w jego biurze, że były rzeczywiste, wiele osób widziało ich dziwne zachowanie. Po mniej więcej pół godzinie postacie zniknęły; ludzie w czerni wycofali się bez słowa, tak jak przyszli: jakby się pod ziemię zapadli.

- Czego chcieli, czego szukali ci ludzie? - spytałem.

- Nie wiem - odparł Aguilar. - Niczego nie chcieli, nic nie mówili, po prostu było to dziwne i niesamowite.

- Zabrali szkielet? Szukali go?

- Nie - uśmiechnął się profesor. - Oczywiście od razu pomyślałem, że chodzi im właśnie o to, od razu przypomniała mi się ta nie wyjaśniona historia z Meksyku. Ale nie, szkieletu nie ruszyli.

- Jeszcze go pan ma?

- Zaraz panu pokażę!

Wielki kamień spadł mi z serca. W końcu tylko raz w życiu trafia się szansa zobaczenia pozaziemskiego szkieletu!

Profesor de Aguilar postawił na stole pojemnik z pleksi, mający 15 cm długości i 10 cm szerokości. Zdjął pokrywę.

Jak to się mówi, oczy wyszły mi z orbit. Patrzyłem na kawałek czegoś, co przypominało kawałek zbielełej skóry o wielkich porach, który miał z osiem centymetrów długości! Pomyślałem, że to szczątki szczura pokryte skórą, z lekkim obrzydzeniem wziąłem je do ręki i obejrzałem ze wszystkich stron. Ważyły zaledwie kilka gramów. W liście można by je wysłać bez dopłaty.

Z przodu, „na piersi”, zobaczyłem dwie dziurki na jednej linii, zapewne ślady przekłucia. Małe, zniekształcone ząbki ramion przypominały płód, widać było, że dosztukowano je do skóry. Interesujące wydały mi się tylko widoczne z drugiej strony na wysokości „łopatek” jakby dwie wypustki, zęby wampira albo zniekształcone brodawki piersiowe na niewłaściwym miejscu.

Co chwila spoglądałem pytająco i z pewnym rozczarowaniem na profesora, który z widocznym zadowoleniem obserwował, jak z nie skrywaną odrazą oglądałem nędzne resztki jakiegoś niewielkiego ssaka.

- Czy to opisywano na pierwszych stronach gazet? - Mój głos brzmiał ochryple, wiedziałem, że jestem w ślepym zaułku.

- Właśnie to! - przytaknął profesor.

- Dlaczego sądzi pan, że te szczątki są pozaziemskiego pochodzenia?

- Pozaziemskiego? - Ramon de Aguilar zdecydowanie potrząsnął wielką brodą. - Pozaziemskiego? Nie sądzę, żeby były pozaziemskiego pochodzenia, nigdy tak nie twierdziłem.

Kto więc wypuścił tę kaczkę dziennikarską? Profesor zaczął się śmiać, śmiała się jego żona i córki. Wesołość sprawiła, że moje rozczarowanie zniknęło. Nigdy nie twierdziłem, zapewniał profesor, że „szkielet” jest pozaziemskiego pochodzenia, co najwyżej uznawałem go za kuriozum, ale nie ubarwiałem tego żadnym fantastycznym komentarzem. Dziennikarze węszący za każdą sensacją dodali tyle przypraw, że z ośmiocentymetrowego kawałka białej skóry wyszła kaczka dziennikarska, którą udało się nieźle sprzedać w redakcjach całego świata.

Jeśli się zabrnęło w ślepy zaułek, to trzeba to przyjąć z humorem.

Post scriptum:

1. „Pozaziemski szkielet”, będący w posiadaniu profesora de Aguilara, zdemaskowałem jako kiepską, acz ogólnowiadomą kaczkę dziennikarską.
2. Fotografując różne rzeczy - na przykład ślady olbrzymich stóp - kładę często obok nich miarkę centymetrową: żeby było wiadomo, jakiej są wielkości. Gdyby zaznaczono, że „pozaziemski szkielet” ma osiem centymetrów długości, to czegoś takiego nie dałoby się sprzedać żadnej gazecie.
3. Wątpię, czy pozaziemskie relikty ojca Le Paige kiedykolwiek jeszcze pojawią się w prasie.

Inkaskie diamenty pośledniej jakości

5 lipca 1980 roku natknąłem się w prasie na trzyszpaltowy tytuł: „Czy Inkowie znali tajemnicę diamentów?”

Inkowie to wprawdzie dobrzy znajomi, ale zawsze mogą nas zaskoczyć. Dlaczegoż więc - obok innych niezrozumiałych umiejętności - nie mieliby znać tajemnicy diamentów? Czytałem i ogarniało mnie coraz większe zdumienie:

„W liczącej co najmniej 500 lat inkaskiej świątyni Cucą, którą wzniesiono w niedostępnych górach na północ od Huanuco w Peru, grupa wspinaczy, pod kierunkiem południowoafrykańskiego etnografa, dr. Maatha, poczyniła zdumiewające odkrycia na miejscu ofiarnym, poświęconym bogu Słońca tego owianego legendami, pradawnego południowoamerykańskiego ludu. Po Hiszpanie Lepi-co, który w 1935 roku dotarł do ruin świątyni Cucą, dr Maath z Kapsztadu jako drugi inkaista osiągnął ten »święty prostopadłościowy jak określił to miejsce korespondent gazety »La Cronica« z Limy. Pomijając fakt, że po dziś dzień nie udało się odkryć, w jaki sposób Inkowie transportowali w tej dzikiej górzystej okolicy ogromne bloki skalne z dolin na wysokość prawie 5000 m dla wzniesienia świątyni boga Słońca - czcili bowiem Słońce - to już zupełnie niezrozumiałe jest, że na miejscu ofiarnym znaleziono diamenty, uznane przez kilku fachowców za »kamienie syntetyczne«” [19]. Według tej relacji Inkowie zdobili czary ofiarne drogocennymi oszlifowanymi diamentami, dziś bezcennymi. Nowością jest, że te zbytkowne czary ofiarne były wpuszczone w zdobione diamentami cokoły. Dr Maath odkrył dwa takie cokoły, wyłamał z nich siedem kamieni, żeby w Limie przeprowadzić ich ekspertyzę. Nie zdziwiło mnie podczas dalszej lektury, że specjalizujący się diamentach chemik po wyższych studiach, Collins, na wieść o tym natychmiast przyleciał z USA do Limy i pojechał aż do Huanuco na spotkanie wyprawy wracającej z gór. Collins opowiadał potem, że czuł się jak alchemik, którego czeka największe w życiu odkrycie. „Nigdy - powiedział - nie widziałem takich diamentów. Zajmuję się nimi od wielu lat, ale jeszcze nigdy nie wahałem się tak długo z wydaniem opinii. Uważam, że są to półdiamenty, nie diamenty syntetyczne, chociaż mogłyby nimi być. Niewiarygodne byłoby jednak twierdzenie, że Inkowie znali tajemnicę syntetycznego wytwarzania

prawdziwych diamentów. W każdym razie są to diamenty czyste. Mają jednak cechy, świadczące przeciw ich naturalnemu pochodzeniu".

Mister Collins nie powiedział nic więcej, ale w Limie oczekiwano już specjalistów, którzy mieli wziąć pod lupę cenne znalezisko. Opinia kończy się stwierdzeniem nastrajającym optymistycznie co do możliwości rozwiązania zagadki:

„Może odczytanie hieroglifów odkrytych w tym samym czasie w świątyni Cuca nad grobem »Wodza Kamienia Słońca« pozwoli rozwiązać zagadkę i rozświetli nieco mroki tajemnicy. Cuzeca, 11. władca Inków, był uważany za czciciela diamentów, w których widział święty dar boga Słońca".

Relacja zawierająca nazwiska, miejsca i fakty!

Sprzeczność co do *syntetycznie wytwarzanych prawdziwych diamentów* znalazła się zapewne między wierszami za sprawą reportera. Diamenty bowiem są albo *syntetyczne* albo *prawdziwe*. Twierdzę, że dość dobrze znam Peru, zdenerwowały mnie więc moje braki w wykształceniu, bo jak dotąd nic nie słyszałem o inkaskiej świątyni Cuca. Wymienienie Cuzeci jako 11. władcy było zapewne błędem wynikającym z pośpiechu, bo 11. władca panował w latach 1493-1525, nazywał się zaś Guayna Capac.

Były to jednak drobiazgi wobec emocjonującej treści: diamenty, być może sztuczne? Do diabła!

Zadzwoiłem do swojego przyjaciela Rica Mercuria, który sprawdził się już w podróży na Kiribati, i oderwałem go od jego diamentów. Akurat je sortował albo obrabiał.

- Jak to jest z syntetycznymi diamentami? Czy jest coś takiego? Jak się je produkuje, ile kosztują? - spytałem, a po chwili usłyszałem:

Antoine Laurent Lavoisier (1743-1794), członek Akademii Nauk, współtwórca współczesnej chemii, wykazał w 1776 roku, że diamenty są w istocie alotropową odmianą węgla i że mają taki sam skład chemiczny jak choćby częsty w przyrodzie grafit.

Wiedza ta zainspirowała badaczy końca XIX i pierwszej połowy XX wieku do podejmowania uporczywych prób stworzenia syntetycznych diamentów. Bez rezultatu. Dopiero tak zwana aparatura Belta, dzięki wysokiemu ciśnieniu i wysokiej temperaturze, umożliwiła w 1954 roku wytwarzanie syntetycznych diamentów. A wyglądało to tak: w wysokociśnieniowej prasie jest miejsce na naczynie na odczynniki, gdzie w temperaturze około 1600°C panuje ciśnienie 35 000 atmosfer. W tak ekstremalnych warunkach grafit zmienia się w diament w obecności katalizatora, niklu albo tantalu, metali bardzo drogich. Jest to, jak wyjaśnił mi Rico, proces skomplikowany i kosztowny, a uzyskane w ten sposób diamenty nie mogą konkurować z prawdziwymi.

Właśnie to chciałem usłyszeć. Do produkcji sztucznych diamentów niezbędne było techniczne *know-how*, jakim nie dysponowali Inkowie. Gdyby w świątyni Cuca istotnie znaleziono takie klejnoty, należałoby przypisać Inkom pośmiertnie posiadanie doskonałej, najnowocześniejszej technologii... albo założyć, że były to dary za gościnę, otrzymane od przedstawicieli wysoko rozwiniętej cywilizacji, dysponującej wspaniałą techniką.

W artykule, który tak mnie poruszył, wymieniono gazetę „La Cronica". Już po chwili w drodze do redakcji był list lotniczy z prośbą o przesłanie mi oryginalnej relacji i z zapewnieniem o wynagrodzeniu wszelkich trudów. Mimo koperty zwrotnej, opatrzonej adresem, i mimo opłacenia odpowiedzi z Limy, żadna odpowiedź nie nadeszła. Wysłałem też listy z pytaniami do Geological Tnsitute z Santa Monica koło Los Angeles, pracującego nad metodami odróżniania kamieni naturalnych od syntetycznych i imitacji, pytałem też o specjalistę o nazwisku Collins. Wszystko bez echa.

Może mi pan powiedzieć, gdzie jest Cuca?

Podczas długiego pobytu w Peru latem 1980 roku miałem parę dni wolnych, chciałem oddać się wtedy beczynności, zrobić sobie wakacje.

Pewnego ranka jęczącą ze starości taksówką jechałem do redakcji kolorowego tygodnika „Cronica", wysokonakładowego, jak się dowiedziałem, poszukującego sensacji. Nieco sceptyczna uprzejmość redaktora naczelnego zmieniła się, jak twierdzą dworskie komunikaty, w wyszukaną grzeczność, gdy zamiast kwiatów wręczyłem mu swoją przetłumaczoną na hiszpański książkę *Dowody* z dedykacją. Relację o diamentowym znalezisku w Cuca przeczytałem w jednej z niemieckich gazet, wyszła ona wszakże - jak napisano - spod pióra reportera magazynu „Cronica". Naczelny nie miał o tym zielonego pojęcia, wezwał więc redaktorów. Wrzawa wybuchła, gdy okazało się, że nikt nie wie nic o Cuca ani o syntetycznych diamentach.

- Być może! - rzuciłem. - Takie kaczki dziennikarskie wypuszcza się u nas na prima aprilis, nie w środku lata!

Przez otaczającą go chmurę dymu z grubego cygara naczelny rzucił:

- W ostatnich latach, od kiedy jestem szefem, nie drukowaliśmy nic takiego. Może pan szukać w archiwum, jak długo pan chce!

Wszedłem do mieszczącego się w sąsiednim budynku długiego, wąskiego pomieszczenia, zastawionego regałami pełnymi akt, segregatorów, roczników i pudeł. Porzuciłem już wszelką nadzieję, że w tym typowo

południowoamerykańskim bałaganie uda mi się cokolwiek znaleźć, gdy dwie ładne archivistki wyprowadziły mnie z błędu. Prawie tak samo jak w moim archiwum i tu istniał podwójny system wyszukiwania informacji: chronologiczny i hasłowy. Gromadzono tu wycinki z wszystkich gazet Limy, nie tylko z magazynu „Cronica”. Jak należy.

Ujrzałem góry wycinków, opatrzone hasłem *Archeologia*. Dzięki asyście obu pań i sprytnego wolontariusza, który do nas dołączył, nie przeoczyłem ani jednej informacji. Na temat Cuca nie było nic. Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle istnieje? Peruwiańska encyklopedia nie zawierała takiego hasła, ale to nic nie znaczy, bo jest tu około tysiąca miejsc związanych z Inkami.

Z hotelu zacząłem wydzwaniać do wszystkich znanych mi peruwiańskich archeologów i etnografów. A byli wśród nich ludzie, którzy poświęcili Inkom całe życie. Nikt nie znał inkaskiej świątyni Cuca w górach Huanuco, ale prawie wszyscy mówili z nadzieją, że w Peru jest wiele inkaskich ruin. Jeśli nie są szczególną osobliwością, nie wymienia ich literatura.

W dzieciństwie byłem dobrym harcerzem, zabrałem się więc do studiowania map. Według relacji przedstawionej w niemieckiej gazecie świątynia Cuca leży podobno na wysokości 5000 m n.p.m., a więc już w strefie wiecznego śniegu i lodu. Dobrze. Huanuco jest 3000 m niżej, na północny zachód wznosi się Kordyliera Zachodnia ze szczytem Huascaran, mającym 6768 m n.p.m. W promieniu 100 km od Huanuco jest kilka pięciotysięczników, na których mogłaby się wznosić świątynia Cuca. Ale prawdopodobieństwo jest bardzo małe. Samoloty Aero Peru latają do tego pięćdziesięciotysięcznego miasta dwa razy w tygodniu. W tym jednak przypadku przewodnik turystyczny [20], zachęcający zwykle do zwiedzenia każdej kupy gruzów, przestrzega: „Stolica prowincji, leżąca w górnym biegu Huallago, jest ceniona ze względu na łagodny klimat, ale nie ma tam zabytków, które zainteresowałyby turystów zagranicznych”. Tak to wyglądało. Huanuco jest beznadziejne, ale przesiedziałem tam trzy dni w hotelu Turistas. Tym znakiem firmowym opatrzone są hotele państwowe we wszystkich większych miastach Peru: w Ica, w Nazca czy Cuzco.

Niedaleko hotelu, w starym domu, jest muzeum, własność chudego i nerwowego człowieczka z kozią bródką. Cztery pomieszczenia muzeum były pełne najróżniejszych osobliwości: były tu wypchane zwierzęta, wśród nich owca z sześcioma nogami, jakieś banalne figurki z wykopalisk archeologicznych, czaszki itp. Gość z kozią bródką, który skupywał te rupiecie, jeżdżąc po całym kraju, nigdy nie słyszał o Cuca.

Gazeta wydawana w Huanuco ukazywała się w zależności od potrzeb, a jeśli było to konieczne, raz na tydzień. Redaktor i jego żona mieli więc dość czasu na gruntowne rozpatrzenie mojej sprawy. Nie, nic nie obilo im się o uszy ani o Cuca, ani o świątyni i diamentach. Nie, nie ma tam archeologów, od dawna nie prowadzi się wykopalisk.

Do diabła, czyżbym znów polował na kaczki dziennikarskie?

Pod wieczór siadłem sobie w rynku na zielonej ławeczce i patrzyłem tępo na żywą krzątanicę. Uczennice i uczniowie od pierwszej do ostatniej klasy, z teczkami i zeszytami pod pachą, biegli wesoło do domów. Byli jednakowo ubrani: dziewczęta miały na sobie białe bluzki i ciemnoszare kostiumy, chłopcy ciemnoszare spodnie i białe koszule. Trzy, chyba dwunastolatki, stanęły nagle przede mną. Ciekawskie małe kobietki zapytały: - Skąd jesteś?

Nawiązała się rozmowa. Podeszli inni uczniowie, wszyscy mieli smagłe twarze, a włosy czarne jak pasta do butów. Pytali, ja odpowiadałem. Poprosili, żebym zaśpiewał hymn szwajcarski. Zgodziłem się pod warunkiem, że najpierw zaśpiewają peruwiańską melodię ludową. Pieśń, jaką zaintonowali spontanicznie - u nas znane jest wykonanie przy akompaniamencie fletni Pana - to „El Condor Pasa”. Ich śpiew, nie mówiąc już o moim solowym odśpiewaniu szwajcarskiego hymnu, zwabił kolejnych gapiów. Pomyślałem sobie, że byłbym dobrym misjonarzem. Po chwili zapytałem:

- Czy ktoś z was słyszało o inkaskiej świątyni Cuca? Jest zapewne tu gdzieś w górach...

Dzieci popatrzyły na mnie zdziwionym wzrokiem, poszeptaly coś ze sobą, ale nie, żadne nie słyszało o Cuca.

Poprosiłem, żeby po powrocie do domu spytały rodziców, a jutro rano nauczycieli. Będę na nich czekał na rynku nazajutrz o tej samej porze, a ten, kto mi powie, gdzie jest Cuca, dostanie dziesięć dolarów. Tego wieczora słowo Cuca było na ustach wielu rodzin w Huanuco.

Aby następnego dnia leniuchowania poudawać przynajmniej, że coś robię, pojechałem do ruin Kotosh na krańcach Huanuco. Z literatury fachowej wiedziałem, że Kotosh było preinkaską osadą, o której budowniczych nic nie wiadomo. Niewielkie ruiny na wzgórku nie są miejscem, o którym warto opowiadać. Preinkascy budowniczowie nie potrafili jeszcze stosować kamiennych ciosów, obrabiać skał, nie dotarła jeszcze do nich technika. Tego dnia byłem jedynym zwiedzającym. Pomni na przestrogi przewodnika, turyści nie przyjeżdżają do Huanuco, a co dopiero do Kotosh. I dobrze robią.

Popołudniowe spotkanie z dziećmi nie przyniosło nic nowego. Ani rodzice, ani nauczyciele nie słyszeli o Cuca.

Proponowano mi zwiedzenie innych inkaskich świątyń, ale ja szukałem Cuca. *Ultima ratio*:

Sensacyjna relacja poważnej niemieckiej gazety nie była oparta na żadnych podstawach. Gdyby artykuł opublikowano pierwszego kwietnia, uśmiechnąłbym się przy lekturze, jak po przeczytaniu informacji, opublikowanej w kwietniowym numerze czasopisma „Sterne und Welt-raum” [21] •- była to godna zaufania

publikacja naukowa, nosząca tytuł „Wykopaliska koło La Silla”, napisana podobno na podstawie źródeł węgierskich. Ubarwiona trzema akademickimi, sterylnymi fotografiami opisywała czytelnikowi mający 2400 m szczyt jednego z łańcuchów górskich Puna de Atacama na północ od Santiago de Chile. Jest tam podobno osada indiańska z czasów prekolumbijskich. Rysunki naskalne, wykonane za pomocą tak zwanych pięściaków, przedstawiały kulę i pierścień, przypominające układ Saturna. W publikacji napisano: „Jeżeli się okaże, że oba rysunki mają powstały wcześniej niż tylko kilkadziesiąt lat temu, że są być może starsze od zachodniej cywilizacji technicznej, to trzeba będzie poddać pod ponowną dyskusję prace Ericha von Danikena, który badania prowadził również w Ameryce Południowej”.

Źródło cytatu: „D. Niken i in., varia Arch. Węg. 11, 222 (1979). Moim zdaniem należało napisać: „Daniken i inne ogólne wariactwa”. Jeśli się pojawią na La Silla, to tylko po to, żeby przez znajdujące się tam teleskopy odkryć bzdury jeszcze bardziej piramidalne od baniek mydlanych w Kosmosie.

Na prima aprilis można sobie pożartować. W inne dni roku czytelników nie wolno wystawiać do wiatru publikując sensacyjne relacje, prawdziwe tylko z pozoru. Przedstawiłem trzy takie przypadki, wszystkie bezwartościowe. Byłem w ślepych zaułku, ale wyszedłem zeń mądrzejszy.

V. Ziemia Obiecana?

Wiara nie jest początkiem, lecz końcem wszelkiej wiedzy.
Johann Wolfgang Goethe

Wiele kuszących celów: Mohendźo-Daro w Pakistanie, jaskinie koło Kermanszah w Iranie, miasto Sasanidów Ardaszir Khurreh, grób Jezusa w Śrinagarze - Odyseja z moim samochodem - Do czego potrzebne są święte krowy - Śrinagar-Wenecja Azji - Salomon, król latający między Jerozolimą a Kaszmiem - Czy Jezus umarł na krzyżu na Golgocie? Czy w podeszłym wieku zmarł w Kaszmirze? - W kościele, w którym spoczywają podobno zwłoki Jezusa - Czy 4000 lat temu w Parhaspurze nastąpiła eksplozja atomowa? - Co sanskryckie źródła mówią o aparatach latających - Strach w Kalkucie - Bajeczny prezent od pewnego indyjskiego studenta - Przemoc w naturze: woda - Przemoc w polityce: rewolucja

Indie i Pakistan znałem z krótkich, za krótkich wizyt. Z literatury wiedziałem o istnieniu w Pakistanie prehistorycznego miasta Mohendźo-Daro, o zniszczonych świątyniach i piramidach na wyżynie indyjskiej. Ale nigdy pobyt mój nie trwał na tyle długo, żebym mógł pojechać „w teren”. Moje dotychczasowe wizyty ograniczały się do miast, do których docierało się łatwo i wygodnie samolotem. Być może nigdy nie wyruszylibym w teren, gdyby nie skłoniło mnie do tego wiele powodów naraz; dowiedziałem się o hipotezach lokalizujących grób Jezusa w Indiach. Informacja alarmująca! Potem mój kalkucki wydawca, Ajitt Dutt oznajmił, że planowany od dawna przyjazd powinien wreszcie nastąpić, a jak będę jechał, żebym mu przywiózł przenośną maszynę do pisania, której u siebie nijak nie może dostać.

Często przypadek i szczęście były mi w życiu pomocą w zdarzeniach, na które człowiek nie ma albo nie powinien mieć żadnego wpływu. Nie zdążyłem jeszcze odpowiedzieć na list indyjskiego wydawcy, kiedy poczta przyniosła wiadomość z Teheranu. Dr Kamil Botosha, z którym korespondowałem od wielu lat, pisał, że właśnie wrócił z wyprawy na pustynię. Dotarł 80 km na zachód Iranu, do miasta Kermanszah. Tam, jak pisał, widział na skałach i w jaskiniach setki rysunków, które przywiodły mu na myśl wizerunki, interpretowane przeze mnie jako latające istoty, oraz postacie, wyglądające jak astronauty, jakie prezentowałem w moich książkach.

Powiniennem, radził, wyruszyć tam samochodem terenowym, chyba że będę miał ochotę na powolną podróż na wielbłądzie.

Zacząłem się zastanawiać. Ruiny Mohendźo-Daro są w Pakistanie, jaskinie, polecane mi przez dr. Botoshę w zachodniej części Iranu, 150 km w linii prostej od granicy z Irakiem. Na globusie to śmiesznie blisko, choć odległość, dzieląca te miejsca wynosi przecież 2500 km w linii prostej. Głowiąc się nad mapami, odkryłem łańcuch bardzo interesujących mnie wykopalisk, leżących akurat między Pakistanem a granicą iracką.

Zapisałem sobie:

- w dolinie Soghum w południowym Iranie jest Tępe Yahya. Przed 6000 lat to miasto było ośrodkiem królestwa Elamitów, odgrywało ono ważną rolę od trzeciego tysiąclecia prz. Chr. W Tępe Yahya odkryto najstarsze tabliczki z pismem, starsze od sumerskich. Amerykańsko--irański zespół archeologów ustalił w 1971 roku, że miejsce to było centrum handlowym już około 4000 r. prz. Chr. Podstawa była przekonująca - tabliczki okazały się pokwitowaniami przyjęcia i wydania towarów. Ze wzgórz ruin odkopano kilkadziesiąt pieczęci oraz gliniane skorupy z zagadkowymi motywami. Nie ulega wątpliwości, że warto pojechać do Tępe Yahya;

- zaledwie 100 km na południe od dzisiejszego miasta Shiraz w okolicach Firuz-Abad jest stare miasto Sasanidów Ardaszir Khurreh. Miasto zbudowane na planie koła, jakby wytyczone cyrklem, mające 2,16 km średnicy, znałem z opisów. Jego założyciel Ardaszir Papakan, pochodzący z dynastii Sasanidów, podzielił

miasto krzyżem ulic na cztery wielkie sektory. Uważał je za odzwierciedlenie Kosmosu. W centrum miasta stała trzydziestometrowa wieża bez drzwi i bez schodów. Archeolodzy głowią się nad przeznaczeniem tej szczególnej budowli. Zawsze mnie fascynowało okrągłe miasto, tym bardziej teraz, kiedy się dowiedziałem, że Partowie, poprzednicy Sasanidów, znali i stosowali elektryczność. O baterii elektrycznej Partów już pisałem; - grób Jezusa w Kaszmirze, ruiny Mohendzo-Daro, starożytne miasto Tepe Yahya, sasanidzkie Ardaszir Khurreh, jaskinie koło Kermanszah - punkty te tworzą trasę, którą można przebyć podczas jednej podróży. Zapisałem sobie w pamięci ten pomysł. Muszę tam pojechać - tylko kiedy?

Skomplikowane przygotowania do podróży

Na czas długich wojaży, wiążących się z wieloma niespodziankami, trzeba wziąć nieporównanie więcej bagażu niż w zwykłą podróż. W Indiach i w Pakistanie drogi - z nielicznymi wyjątkami w wielkich miastach - są co najmniej równie podłe, jak w rozwijających się krajach Ameryki Południowej i Środkowej. Nie ma co wyruszać wyboistą drogą krężownikami szos, oczywiście poza wielkimi miastami, kolosami z kamienia, w których kłębią się miliony ludzi. Konieczny jest samochód terenowy i to taki, jakiego tam nijak nie da się wypożyczyć.

Gdybym miał jechać własnym samochodem ze Szwajcarii, to cztery miesiące byłoby za mało na podróż. A doliczając postoje i ewentualne niepokoje natury politycznej, trzeba by przeznaczyć na wyprawę pół roku. Na to nie pozwala mój kalendarz. Jak skrócić ten czas do rozsądnych granic? Po rozważeniu i przeliczeniu wszystkiego znalazło się rozwiązanie: powinienem kupić rangę rovera angielskiej firmy Leyland, wysłać go na miejsce statkiem albo samolotem, za kierownicą sięść dopiero na miejscu i takim solidnym wozem wrócić do Szwajcarii...

Wystarczyło zadzwonić, żeby kupić rangę rovera. Po dwóch tygodniach wielki, potężny wóz stał przed moim domem. Jesli to samochód szybszy od jeeпа, ma napęd na cztery koła, blokadę mechanizmu różnicowego, a w środku jest bardzo obszerny i zapewnia duży komfort. Z instrukcją użytkowania zamknąłem się w swojej pustelni. Wkrótce odkryłem kilka „pięt achillesowych”, istotnych w przypadku jazdy po górach czy pustyni. Co zrobić, jeśli wysiadzie pompa paliwa? Czy w kraju o powierzchni 3 0466000 km², liczącym znacznie ponad 500 mln mieszkańców, kupię nową? Czy zwykły akumulator wystarczy? Czy łożyska da się ochronić przed drobnymi piaskiem? Jak będzie się sprawować cewka zapłonowa, filtr oleju, paski klinowe i przewody? Dobry duch kazał mi zrobić dokładnie to, z czego wyśmiewali się moi przyjaciele: wziąłem wszystkie niezbędne części zapasowe, a do tego kazałem zamontować wyciągarkę bębnową, pozwalającą wyholować w razie czego kosztowny wehikuł z błota. Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili. Może moi oponenci ucieszyliby się, gdybym zniknął bez śladu.

W stuleciu turystyki truizmem jest stwierdzenie, że do podróży zagranicznych trzeba mieć paszport. Ale nie wszyscy wiedzą, że i samochód musi mieć paszport: *Carnet de Passages*. Dostaje się go po wpłaceniu znacznej kaucji, zapobiegającej sprzedaniu wozu gdzieś po drodze. Zgodnie z międzynarodową umową z 8.6.1961 roku izba handlowa danego kraju wystawia taki „karnet pozwalający na tymczasowy wwóz przedmiotów koniecznych do wykonywania zawodu”. Ale miałem się okazję dowiedzieć, że międzynarodowe umowy nie są warte nawet tyle, ile papier, na którym je wydrukowano.

Przed przeladowaniem naszego rovera na podparyskim lotnisku Orły do samolotu Air France, lecącego do Karaczi, musieliśmy opróżnić zbiornik paliwa, zmniejszyć do połowy ciśnienie w oponach i odłączyć akumulator. Poprosiłem szefa transportu o polecenie przedstawicielom Air France w Karaczi, aby do czasu naszego przyjazdu rangę rovera stał w cieniu, bo inaczej w parnym i gorącym klimacie mogłyby się zepsuć lekarstwa w podręcznej apteczce.

Po chwili ujrzelśmy, jak kontener z naszym wozem, zapakowanym po dach, uniósł się na zawrotną wysokość i zniknął w ładowni samolotu.

Do zobaczenia w Azji!

Oddajcie mi mój samochód!

16 stycznia. Krótko przed północą na pokładzie DC-10 Lufthansy wylądowaliśmy w Karaczi... w dusznej, wilgotnej cieplarni.

Stoimy w kolejce do pięćdziesięciu celników w białych mundurach. Dopiero po długim czasie w naszych paszportach pojawia się pieczęć. Koło trzeciej jesteśmy w hotelu. Rano odbierzemy rangę rovera.

17 stycznia. Air France przysłała nam do hotelu Mr Lakmiehra, chudego Pakistańczyka, który ma nam towarzyszyć przy cle. Po co? Mamy przecież *Carnet de Passages*. Mr Lakmiehr od razu pyta o blankiet „A”. Nie mam, nic wiem nawet, o co chodzi. Pokazuję mu karnet.

Patrząc zmęczonym wzrokiem, pan Lakmiehr stwierdza, że to nic nie warte, a poza tym już w nocy, od razu po przyjeździe, powinniśmy zadeklarować samochód na cle. Tłumaczę, że auto nie przyleciało razem z nami - jestem z moim sekretarzem Willim Dunnenbergerem - ale dzień wcześniej frachtem, Pakistańczyk uznał, że nasze przeoczenie to nieprzyjemna sprawa. Pojechał z nami do urzędu celnego na lotnisku, gdzie w moim imieniu sformułował mniej więcej takie pismo:

„Ja, Erich von Daniken, Szwajcar, legitymujący się paszportem nr XY, przybyłem tu minionej nocy i zapomniałem zadeklarować swój samochód od razu po przybyciu. Szczerze tego żałuję i proszę Państwa o wspaniałomyślność, co pozwoliłoby mi naprawić ten błąd po otrzymaniu blankietu »A«”.

Po trzech godzinach otrzymałem blankiet „A”, który wypełniłem w ciągu trzydziestu sekund. Mr Lakmiehr towarzyszył nam do biura urzędu, gdzie po długim oczekiwaniu w kolejce na blankiecie „A” przystawiono pieczęć. Mój Pakistańczyk kiwnął, żeby iść za nim do następnego biura. Tam pieczęć pierwszą potwierdzono drugą. „Biura” to budy bez ścian. Pod sufitami obracają się tam leniwie wentylatory, zawsze jest tylko jedno krzesło, na którym siedzi urzędnik. Koty polują na myszy, czasem pojawiają się szczury.

Machając blankietem „A” jak świadectwem zwycięstwa, Mr Lakmiehr ruszył nie kończąca się ulicą do budynku na drugim końcu lotniska. Czemu nie weźmiemy taksówki? Nasz pomocnik w milczeniu wskazuje odległy budynek, rozpalony żarem słońca. Jestem wściekły. I nie kryję złego humoru. Człowiek przy pulpicie uśmiecha się! Usprawiedliwia się wylewnie, każe przynieść nam krzesło, ogląda mój paszport, prosi o podpis i wręcza mi kluczyki do samochodu. Nareszcie. Myślałem, że to już koniec.

Mr Lakmiehr wyrusza w dalszą drogę. - Po co? Dokąd? - dociekam, na co otrzymuję niezwykle łagodną odpowiedź, że samochód stoi nadal w strefie cła, potrzebny jest więc agent celny, który go stamtąd zwolni. Celnika znaleźliśmy na końcu przekątnej lotniska. Na jego smagłym obliczu pojawił się uśmiech. Agent zapewnił, że weźmie sprawę w swoje ręce, ale nie dziś, dziś jest już za późno. Klnąc, pojechaliśmy z powrotem do hotelu, odległego od lotniska o 25 km.

18 stycznia. Punkt dziewiąta jesteśmy na lotnisku. Mr Lakmiehr macha plikiem blankietów, nad którymi, jak mówi, pracował pół nocy.

- Gdzie mój samochód? - ucinam jego samochwalstwo.

Mister prosi, żebyśmy z nim poszli do olbrzymiej szopy. Już z daleka widzę obowiązkową kolejkę bez końca. Zdecydowanie mijam wszystkich, podchodzę do pierwszego interesanta przy pulpicie i rzucam:

- Bardzo przepraszam, przyjechałem z daleka i muszę kontynuować podróż. Wypełniłem wszystkie formalności, tu jest blankiet „A”, tu jest karnet...

Człowiek w białym uniformie wyszczerza do mnie zęby w uśmiechu.

- Karnetów nie odprawia się na lotnisku, tylko na drogowych przejściach granicznych albo w porcie. Normalnie samochodów nie wozi się samolotami!

Gdybym nie był zlany potem, dopiero bym się spocił!

Mr Lakmiehr, w fatalnym humorze i raczej milczący, Willi i ja jedziemy półtorej godziny przez całe Karaczi do portu, gdzie wchodzimy do urzędu celnego, mieszczącego się w wielkiej hali ogromnego biura z setką urzędników przy stu pulpitych. Pod sufitem brzęczy - miałem czas je policzyć - czterdzieści jeden, nic nie dających, marnych wentylatorów. Jeszcze nigdy nie słyszano tu o czymś takim, jak ważny na całym świecie *Carnet de Passages*! W rozpacz, zdobywam się na desperacki krok i z całych sił wołam, przekrzykując gwar:

- Czy jest tu ktoś, kto może załatwić *Carnet de Passages*!

Efekt przechodzi wszelkie oczekiwania. W jednej chwili zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Panowie patrzyli na mnie, przerwawszy pracę. Z tyłu, gdzieś całkiem z tyłu, wstał łysy urzędnik w okularach.

- Może pan to załatwić? - zawołałem do niego.

Wyraźnie było widać, że okropnie się boi. Przeszedłem od wściekłości do nastroju przyjacielskiego, zacząłem go przekonywać, poprosiłem, żeby usiadł, i powiedziałem łagodnie, że od dwóch dni ganiam, próbując dostać swój samochód, i nie mam już ochoty brać udziału w tej komedii. Łysy powiedział:

- Za dwie godziny samochód będzie przed pańskim hotelem!

Trzeba tylko dotrzeć do właściwego człowieka! Człowiek ten wręcza panu Lakmiehrowi trzy nowe blankiety, daje mu wskazówki, jak dokonać przeglądu samochodu w hangarze, a potem wraca z innymi blankietami, na których podstawie wyda się nam samochód.

Mr Lakmiehr zapewnia, że musimy znaleźć jeszcze tylko jednego urzędnika, który ma prawo dokonać przeglądu samochodu, a potem będziemy mogli wrócić do portu. I znów na przełaj przez całe miasto, znów stoimy przed tą samą szopą. Radośnie podchodzę do łysiego:

- Yoilal Oto blankiet „A”, a tu trzy pozostałe blankiety. Proszę o pieczęć!

Wtedy widzę coś zdumiewającego: jego łysina zaczyna się fałdować. Nie, mówi nasz bojaźliwy specjalista, przystawić pieczęć mu nie wolno, to może zrobić tylko inspektor. Rzucam Lakmiehrowi jedno z moich najstraszniejszych spojrzeń.

- Gdzie stoi pański samochód? - pyta inspektor w budynku IV.

- W hangarze - odpowiadam.

Niestety, on nie jest do tego uprawniony, mówi z ubolewaniem inspektor, hangar podlega policji hangarowej. Ale policja hangarowa nas splewiała: ich kolega źle nas poinformował, sprawę mojego samochodu mogą załatwić tylko urzędnicy z hali VII, zajmujący się odprawami towarów przewożonych przez przewoźnika. Tam dostanę od

razu kwit wydania i wtedy - wtedy! - będę mógł usiąść za kierownicą mojego samochodu.

Hala VII. Rozgadani inspektorzy. Podchodzę do jednej z grup.

- Panowie! Cenię panów gościnność, ale to, co się tu dzieje, jest nie na moje nerwy. Czy któryś z panów słyszał coś o *Carnet de Passages*!

Wzruszenie ramion. Wskazuję na stertę dokumentów, jakie mam, i proszę o ostatnią, decydującą pieczęć. Któryś z panów w białym mundurze idzie ze mną do hangaru.

Znów widzę mojego rangę rovera! Stoi na palecie, dwa metry nade mną, nadal unieruchomiony niebieskimi pasami. Inspektor kiwa służbiście głową:

- Samochód trzeba opuścić! Jak mam dokonać przeglądu?

- Wszystkie potrzebne informacje są w karnecie?

- Może mi pan udowodnić, że dane w karnecie są takie same jak w wozie?

Wspinam się na górę, trzymając w lewym ręku karnet. Niewidoczny dla inspektora, krzyczę, podając mu wszystkie dane z karnetu z pewnym opóźnieniem, jakbym je odczytywał z części samochodu. Inspektor rzuca przelotne spojrzenie na samochód i gryzmoli coś na blankietach. Mamy sprawę z głowy.

Pytam strażników o pracowników hangaru. Odsyłają mnie do domku, w którym śpi jakiś gość. Budzę go delikatnie i mówię, że teraz pojedę do portu po kwit wydania, a on niech w tym czasie zdejmie wóz na ziemię, za co hojnie go wynagrodzę.

I znów przez całe Karaczi. W urzędzie celnym podchodzę do tysego.

- Proszę! Oto wszystkie dokumenty! Na wszystkich są pieczętki, nic nie brakuje!

On uśmiecha się i podsuwa mi krzesło. Tylko trzy minutki... Ale wcale nie były to trzy minutki. Czekałem dwie bite godziny. Koło siódmej na moim *Carnet de Passages* przybito pieczęć.

Mr Lakmiehr mówi cicho, że już nie warto jechać na lotnisko. Były to jedyne słowa, wypowiedziane przez niego w dniu polowania na pieczęcie.

19 stycznia. O ósmej rano pan Lakmiehr macha do nas radośnie: wszystko załatwione, potrzebna jest nam tylko „przepustka na bramę”. Co to takiego? - pytam, węsząc kolejne przeszkody. Wyjazd z hangaru odgradzają od ulicy zapory, wzdycha mr Lakmiehr, przy których stoją żołnierze. Żeby wyjechać, trzeba mieć przepustkę.

Ponieważ do południa nie znalazł się nikt, kto mógłby mi tę cholerną przepustkę wystawić, powiedziałem, że pójdę do hangaru, siądę za kierownicą swojego samochodu i wyjadę, rozwalając zapory. Mr Lakmiehr, który mnie już trochę poznał, błagał, żebym tego nie robił. *Zaczną* do mnie strzelać, a on będzie miał problemy z miejscowym oddziałem Air France, który przydzielili mi go do pomocy. Ruszyłem do hangaru.

Rangę rover stał nadal, wysoko na palecie. Poprosiłem, żeby mi przysłano jakiegoś robotnika, któremu dobrze zapłacę za zestawienie wozu. Po długiej dyskusji trzech ludzi zaczęło powoli luzować błękitne pasy. O piątej samochód był na dole. W tym momencie ze *zgrozą* uświadomiłem sobie, że zbiornik paliwa jest pusty, akumulator odłączony, opony mają do połowy zmniejszone ciśnienie - efekt naszej nieszczęsnej działalności na Orły! Poprosiłem jakiegoś taksówkarza, żeby mi kupił kanister benzyny, potem wyjąłem narzędzia. Montowałem akumulator, a Willi pompował opony. O siódmej taksówkarz był z powrotem. Dzień pracy na lotnisku dobiegł końca. Nie było co myśleć o wyjechaniu.

20 stycznia. O ósmej jesteśmy na lotnisku. Pytam pana Lakmiehra:

- Ma pan przepustkę na bramę?

Nie, wychrypiał, taką przepustkę może wystawić tylko dyrektor portu lotniczego, którego pod koniec tygodnia nie można było znaleźć. Koniec tygodnia! Czy dziś już jest sobota?

- Gdzie mieszka dyrektor?

Pytanie trafiło Pakistańczyka w czułe miejsce. To wielki pan, muszę czekać do poniedziałku. Za zwitek banknotów zdobyłem adres wszechmocnego. Po trzydziestokilometrowej jeździe taksówka zatrzymała się przed willą we wspaniałym parku. Zakwefiona istota rodzaju żeńskiego powiedziała, że pana dyrektora nie ma.

- Dobrze - odparłem. - Zaczekam w parku, aż wróci.

Po chwili jakiś młodzian przerwał rozpoczęte przeze mnie obłężenie. Dałem mu trzy swoje książki w tłumaczeniu na angielski i poprosiłem o dwuminutową rozmowę z szefem. Zostałem dopuszczony przed jego oblicze, opisałem swoją czterodniową walkę o samochód i poprosiłem o podpis na przepustce, abym mógł wreszcie rozporządzać swoją własnością, wolnością i drogocennym czasem. Dyrektor wziął ode mnie świstek i nagryzmoliwszy na nim coś nieodgadnionego zielonym flamastrem bez słowa wręczył mi go z powrotem. Może nie odzywa się w weekendy.

Mr Lakmiehr popatrzył na dyrektorski podpis jak na cud.

Uff! Do wozu i jak najszybciej z tego urzędniczego piekła! Dojechałem do zapory. Żołnierz chciał się dowiedzieć, co mam w samochodzie. Tonem, sprawiającym wrażenie, że troszczę się o jego los, poradziłem mu, żeby nie robił mi żadnych trudności, bo zwolnienie samochodu podpisały najwyższe instancje. Żołnierz wśliznął się do wartowni, zapory się podniosły. Automatycznie.

Byliśmy wolni! Przez cztery i pół dnia przeszliśmy przez 23 biura i zdobyliśmy 23 podpisy, przejeżdżając przy tym taksówką ponad 300 km.

Podróż do Śrinagaru

Na pierwszy cel wyznaczaliśmy sobie Lahore w zachodnim Pakistanie. Lahore liczy 1,3 mln mieszkańców i jest ważnym ośrodkiem przemysłu i kultury. Tu ma swoją siedzibę słynny Uniwersytet Pen-dżabski.

Według mapy do Haidarabadu nad dolnym Indusem prowadzi stu pięćdziesięciokilometrowa droga. Pakistańczykom roi się, że to superautostrada. W Karaczi taksówkarz pilotował nas przez labirynt ulic wypełnionych tłumami ludzi i kipiącymi bazarami, przez dzielnice nędzy aż do wspaniałej drogi. Jest to zwykła asfaltowa szosa. Mimo otwartych okien termometr w samochodzie wskazywał 41°C!

Pod Haidarabadem Indus ma kilometr szerokości. Z północy na południe Pakistanu płynie nim spieniona, brunatna ciecz. Ona ożywia ten kraj.

Mimo że pora obiadowa dawno minęła, upał robił się coraz większy. Mniej więcej co 40 km mijaliśmy niewielkie osiedla, gdzie w budach sprzedawano napoje w butelkach - jak w każdym zakątku świata była tu coca-cola. W to popołudnie wypiliśmy po 14 butelek, a mimo to język przyklejał się nam do podniebienia.

W Pakistanie jest tyle samo autobusów, ile fiatów we Włoszech. Są pomalowane na jaskrawe kolory, obwieszane ozdobami jak choinki, zatłoczone do ostatnich granic, jak gdyby wszyscy mieszkańcy doliny Indusu nagle wyruszyli w podróż. W ruchu ulicznym biorą również udział stada kóz i karawany wielbłądów oraz wózki, ciągnięte przez bawoły i woły. Na skraju drogi ludzie gotują posiłki, odmawiają modlitwy i śpią. Wielu podróżnych ma przenośne łóżka: siatka ze sznurka na drewnianym stelażu. Rzecz bardzo praktyczna, zapewnia wentylację.

Autobusy mają źle wyregulowane silniki wysokoprężne, z rur wydechowych buchają więc kłęby czarnego dymu, które zachodnich bojowników o ochronę środowiska od razu sprowokowałyby do rozpoczęcia marszu protestacyjnego, ale tu klimat nie sprzyja podejmowaniu takich wysiłków. Burdy robi się tylko wtedy, jeśli nie jest to męczące, tam gdzie da się dojechać własnym samochodem, aby po stoczeniu wielkiej bitwy móc wygodnie wrócić do domu. Protestowanie wymaga komfortu. Już Lenin radził rozdawać uczestnikom demonstracji ciepłe posiłki, bo z pustym żołądkiem źle się protestuje przeciwko głodowi.

Prywatnych samochodów prawie nie ma. Na liczącym 1300 km odcinku do Lahore naliczyliśmy w sumie cztery. Dlatego też w dystrybutorach jest tylko olej silnikowy, nawet wówczas, jeśli jest na nich napisane *etylina*. Trzeba cholernie uważać, żeby pracownicy stacji nie wlałi do baku mieszanki niestrawnej dla danego typu pojazdu.

Jazda w dzień wymagała ode mnie skoncentrowania całej uwagi. Później wszakże okazało się, że nadchodząca noc, jaką spędziłem za kierownicą, była najstraszniejsza w moim życiu. Autobusy jechały środkiem drogi na światłach drogowych. Wielbłądy, woły, bawoły i kozy nie miały na bokach pasków odbaskowych, szły w ciemności, nie przestrzegając żadnych przepisów ruchu. Tabuny ludzi spały prawie na jezdni. Gdyby zmienić światła na mijania, to należałoby się zatrzymać albo jechać polami.

Koło trzeciej w nocy dotarliśmy do Multanu, liczącego 350 tysięcy mieszkańców miasta w dolinie Czenab, jednej z pięciu największych rzek tego regionu, mających swoje źródła w Himalajach. Dziwne, że z nazwą tej rzeki nigdy się nie zetknąłem w krzyżówkach.

Było tak duszno i wilgotno, że nie udało nam się zasnąć. Podobnie jak my osłabł też wentylator.

Do czego potrzebne są święte krowy

Musieliśmy jechać według kompasu, na nosa, bo drogowe tablice informacyjne zawierały najczęściej perską odmianę arabskiego - *nastaliq*. Nie można też było nikogo zapytać, bo Pakistańczycy mówią albo jednym ze swoich 32 dialektów, albo - w najlepszym razie - urzędowym językiem *urdu*. Nie rozumieliśmy niczego. Pewnym pocieszeniem był fakt, że od Lahore, miasta leżącego nad granicą z Indiami, mogliśmy się jakoś porozumieć po angielsku.

Koło dziewiątej przejechaliśmy przez kutą bramę, *Frontier of Kasch-mir*, i po 500 metrach minęliśmy żelazną bramę w barwach Indii: *Welcome to India*.

250 kilometrów indyjskiej drogi z Wagah do Dżammu w stanie Dżammu i Kaszmir różniło się od wspaniałych szos pakistańskich tylko tym, że do przedstawicieli fauny uczestniczących w ruchu drogowym dołączyły wielkie ilości świętych krow. Tu krowy mają zawsze pierwszeństwo i pełną swobodę. Całe ich stada kładą się na jezdni, gdy mają ochotę. Człowiek powoli zaczyna nienawidzić tych miłych bydłałek.

Na miejscu można zdobyć na temat świętych krow bardzo wiele informacji, które prowadzą do zrewidowania uprzedzeń. Kiedy stwierdziłem, że święte krowy trzeba pozarzynać, powiedziano mi, że te biedne wychudzone zwierzęta są dla życia Indii niezwykle ważne i niezastąpione. Jak to?, pomyślałem sobie i od razu stanęły mi przed oczami okrągłutkie krowy ze wspaniałymi wymionami, pasące się na szwajcarskich łąkach. Cherlawa indyjska krowa daje co najwyżej pół litra mleka dziennie, a jest to dużo, wzięwszy pod uwagę, że w tym kraju ludzie głodują. Zdążyłem też zobaczyć, że miejscowi ludzie zbierają skrętnie wyschłe na słońcu krowie łajno na opał, byłem jednak zdumiony usłyszawszy, że krowie łajno daje więcej ciepła niż węgiel, wydobywany w zachodnioniemieckich kopalniach. Najbardziej trafił mi jednak do przekonania trzeci argument na obecność świętych krow na ulicach: zjadają one śmieci, wszystko, co tylko da się strawić, spełniają więc funkcję

przedsiębiorstwa oczyszczania miasta i służb sanitarnych zarazem! A dlaczego są święte? Ponieważ hinduizm zabrania zabijania krów, a nad przestrzeganiem tego religijnego prawa czuwa 300 mln ludzi, wyznających w Indiach tę religię.

Śrinagar!

Z Dżammu widać ogrom Himalajów. Dżammu ma ponad 3,5 mln mieszkańców i jest zimową stolicą stanu Dżammu i Kaszmir; letnią jest Śrinagar. Te coroczne przeprowadzki urzędów są zrozumiałe, jeśli przyjedzie się do Dżammu w styczniu. Do cna wymęczeni straszliwym upałem, już z góry cieszyliśmy się na myśl o pobycie w Śrinagarze w Kaszmirze, okolicy nazywanej przez przewodniki „azjatycką Szwajcarią”.

Z Dżammu do Śrinagaru jest ponoć 300 km, wieczorem znajdziemy się już na wysokości 1768 m n.p.m. i będziemy oddychać świeżym górskim powietrzem.

Ale nadzieja ta topniała z każdym kilometrem. Jeszcze nigdy nie widzieliśmy takich ilości wojska maszerującego drogą. Kolumny wojska nie mogły też oczywiście ani straszyć, ani spędzać z drogi świętych krów. Może krowy te są dlatego „święte”, że zapobiegają wojnie?

Mijając górskie wioski, przypominające wioski w Tybecie, wjechaliśmy serpentynami prawie 2000 m n.p.m. Ciepłarniany zaduch doliny Indusu został w tyle. Aromatyczne górskie powietrze poprawiło w samochodzie nastroje. Byliśmy na przedgórzu Himalajów.

Śrinagar!

To miasto można bez zadnej przesady nazwać „Wenecją Azji”. Przecina je mnóstwo kanałów, na których pełno łodzi, gondoli i zakotwiczonych barek mieszkalnych, szczególnie na jeziorze Bal, zamykającym miasto od wschodu. Śrinagar znajduje się na 34° szerokości północnej, tak samo jak Gibraltar i Damaszek. Średnia temperatura lata wynosi tu około 30°, zimy jedynie 3-4°C.

Śrinagar leży w Kotlinie Kaszmirskiej nad rzeką Jhelum, dopływem jeziora Wular. Nie bez powodu o kotlinie tej mówi się też, że jest „niebem na ziemi”. Dawni władcy założyli tu parki nadzwyczajnej piękności, ogromne i pełne wspaniałych egzotycznych kwiatów - przede wszystkim opiewane przez poetów Ogrody Szalimara, w których nad cichymi strumykami dumają drewniane mostki.

Ale urok tego wszystkiego jest pozorny. W tym wypoczynkowym raju coś nie gra. Azjatycka tradycja Kaszmiru nie potrafi dostosować się do współczesności. Ulice dławią się - Śrinagar ma pół miliona mieszkańców - takimi samymi górami śmieci i brudem, jak miasta na nizinach. Ani śladu najprymitywniejszej higieny. Wodę do picia wprawdzie się filtruje, ale jest ona nieco żółtawa. Obrzydliwe.

Człowiek nawet sobie nie wyobraża, że tu - tak samo jak gdzieś indziej - marnotrawi się bezsensownie wiele kosztownych dotacji przeznaczonych dla krajów rozwijających się. Lekarstwa się psują, bo nie ma lodówek. A jeśli są, to z nielicznymi wyjątkami nie działają. Od chwili narodzin otoczeni brudem, miejscowi ludzie są uodpornieni na występujące tu bakterie i wirusy, które jednak bywają groźne dla przyjezdnych. I to groźne dla życia. Trzeba jeszcze wiele zrobić, zanim tę wspaniałą okolicę otworzy się dla turystów z całego świata.

Miejscowa ludność jest pracowita. Na żyznych polach i w wielu maleńkich warsztatach nadal dzieci pracują już od szóstego roku życia. Średniowiecze! Na jednej ze stacji benzynowych obsługiwał mnie dwunastoletni Machmud, miły chłopak. Szczegółowo wypytał o konieczne naprawy serwisowe. Kiedy okazało się, że chcę tylko benzynę, rzucił, że może się postarać o dziewczynki. Spytałem:

- Czemu nie chodzisz do szkoły?

- Nie mam rodziców - odparł - a żyć trzeba. Naprawdę nie chce pan dziewczyny?

Mały sutener był zawiedziony, że bogaty cudzoziemiec - wszyscy cudzoziemcy są uważani za bogaczy! - odrzucił jego propozycję.

Porównania

Zdumiewające jest podobieństwo ludzi typu kaszmirskiego do izraelskiego. Są tego samego wzrostu, mają takie same migdałowe oczy, podobne nosy. Także tu chłopcy są obrzezani. Jak w dawnym Izraelu, także tu grzebie się zmarłych w kierunku wschód-zachód. Tak jak Izraelici, mężczyźni w Kaszmirze noszą na tyle głowy *kipa*, niewielką czapkę.

Podczas podróży przez zimowe, bezśnieżne doliny Kaszmiru wciąż się nam zdawało, że jedziemy przez okolice opisane w Biblii, że znaleźliśmy się wśród bohaterów Starego Testamentu. Nawet dialekt kaszmirski ma wiele wspólnego ze staroaramejskim, najstarszą odmianą zachodniosemickiego, języka, jakim mówił Jezus i jego uczniowie.

Oto kilka przykładów:

aramejski	kaszmirski	znaczenie
akh	akh	sam
ajal	ajal	śmierć
awa	awan	ślepy
ahad	ahad	jedno
hamah	humaham	hałas
loal	lol	miłość
qatal	qatal	morderca
qabar	qabar	grób

O czym opowiadają kaszmirskie legendy

Zbyt wiele jest wspólnych cech izraelsko-kaszmirskich, aby można to było wyjaśnić działaniem przypadku.

Popularna wśród kaszmirskiego ludu legenda twierdzi, że to, Kotlina Kaszmirka jest *Ziemią Obiecaną*, do której Mojżesz przyrzekł doprowadzić dzieci Izraela, a poza tym Kaszmirczycy są bezpośrednimi potomkami jednego z plemion Izraela. Człowieka zdumiewają informacje zawarte w miejscowych przekazach ludowych. Kaszmirczycy twierdzą mianowicie, że *exodus* ~ inaczej niż w Biblii - nie zaczął się w Egipcie i nie skończył w Palestynie po czterdziestoletniej wędrówce przez pustynny półwysep Synaj! *Exodus* zaczął się wprawdzie w Egipcie, ale Żydzi przez dzisiejszą Jordanię, Syrię, Tran, Afganistan i Pakistan doszli aż do Kaszmiru.

Wersję tę trzeba poważnie przemyśleć, bo gdy spojrzeć na mapę, wydaje się, że jest to sensowniejsze od bezładnych i pozbawionych celu ruchów wielkich mas ludzkich w pustynnych regionach Bliskiego Wschodu. Kiedy uwzględnimy kaszmirską legendę, to nawet niektóre walki i bitwy toczone przez Izraelitów w ciągu tych czterdziestu lat wędrówki nabiorą sensu. Jakie bitwy musieli stoczyć, wędrując w kółko po pustynnym Synaju? Nie mieszkali tam przecież wrogie ludy. Podczas długiej wędrówki do Kaszmiru natomiast Izraelici natykaliby się istotnie na wrogów. W krajach, do których docierali, panowali królowie, którzy bronili się przed wędrownym ludem nadchodzącym z całym swoim dobytkiem, z wozami i stadami bydła.

Kaszmirską legendę mówi też o tym, że Mojżesz zmarł na swojej wyżynie. Tu, jak chcą przekazy, działali prorocy, tu swój tron miał również król Salomon. Wedle tej legendy pobliska góra nazywa się do dziś *Takht-i-Suleiman*, czyli Tron Salomona, a 30 km na południowy zachód od Śrinagaru, na górze Booth, jest grób Mojżesza! W Palestynie nie ma jego grobu. Na fakt ów zwraca uwagę również Biblia:

„I rzekł Pan do niego [Mojżesza - przyp. tłum.]: To jest ziemia, którą poprzysiągłem Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi, mówiąc: Twojemu potomstwu dam ją; pokazałem ci ją naocznie, lecz do niej nie wejdiesz.

I umarł tam Mojżesz, sługa Pana, w ziemi moabskiej [...] naprzeciw Bet-Peor; a nikt nie zna po dziś dzień jego grobu" (Mojż. 5, 4nn.). Co by było, gdyby...

Zalóżmy, że Mojżesz zaprowadził Żydów nie do Palestyny, lecz na wyżynę Kaszmiru. Przekaz biblijny zapewnia, że Mojżesz działał na polecenie „Pana”, tego samego, który wygubił Egipcjan atakujących Żydów, który szedł przed nimi w białym obłoku, nocą świecącym czerwienią. W trakcie długiej wędrówki Pan dał Żydom mannę, aby kobiety, mężczyźni i dzieci nie sześli na pustyni, W drodze z Egiptu do Kaszmiru trzeba było przejść przez wiele pustyń. Czy Pan był zainteresowany skierowaniem Izraelitów do Kaszmiru?

Bunt opisany przez Henocha

Przypomniał mi się bunt, opisany przez przedpotopowego proroka Henocha: było to powstanie 200 „aniołów” przeciw „Panu”. W 6. rozdziale swojej apokryficznej (gr. *apókryphos* - ukryty, podrobiony) księgi prorok Henoch pisze:

„Rodzaj ludzki się rozmnożył i narodziły się w dniach owych piękne i powabne córki. Gdy zaś ujrzeli je aniołowie, synowie nieba, zaczęli ich pożądać i tak mówili do siebie: A więc wybierzmy sobie kobiety spośród cór rodzaju ludzkiego i spłodźmy z nimi potomstwo. Semjasa wszakże, najwyższy wśród nich, tako rzekł im: Lękam się, że nie uczynicie tego, albowiem grzech wielki sam odpokutować bym musiał. Na co mu oni wszyscy odparli, powiadając: Wszyscy złożymy przysięgę i zakłęciami zobowiązemy się wzajemnie zrezygnować z tego planu, lecz dzieło zamierzone wykonać. Przysięgli więc wszyscy razem, zobowiązując się zakłęciami. A było ich razem dwustu, którzy w dniach Jereda wstąpili na szczyt góry Hermon. Nazwali wszakże górę ową Hermon, bo tam składali przysięgę. Oto imiona ich przywódców; Semjasa, co był najwyższy, Urakim, Arameel, Akibeel, Tamiel, Ramuel, Danel, Ezequeel, Saraquel, Asael, Armers, Batraal, Anani, Zaquebe, Samsaveel, Sartael, Turel, Jomjael, Arasjal [...]. Ci i pozostali wzięli sobie kobiety, każdy wybrał sobie jedną, i poczęli w nie wchodzić i kalać się nimi. Nauczyl je czarodziejstw, zakłec i podcinania korzeni i wyjawili im swoje lecznicze rośliny” [1].

W dalszym ciągu swojej relacji Henoch określa nawet funkcje wypełniane przez poszczególnych „aniołów”.

Jednoznacznie opisuje rebelię. Nie trzeba nawet mojej fantazji, żeby zrozumieć, że tych dwustu „aniołów” jest wszystkim, tylko nie aniołami. Żadna z ich cech, przytaczanych przez Henocha, nie pasuje do dobroczynnych i pomocnych ludziom istot, określanych w Biblii jako anioły. Anioły biblijne nie płodziły dzieci, nie uwodziły cór rodzaju ludzkiego, nie zawiązywały spisków, stosując formuły czarnoksiężskie. Anioły Henocha burzyły się przeciw Panu. Ich oddziałek, pokaźny, bo liczący 200 członków, zbuntował się przeciw swemu dowódcy, który - o czym Henoch wiedział - zniknął w końcu w swoim statku kosmicznym w Kosmosie, zostawiając buntowników na Ziemi.

Co mieli ze sobą spiskowcy, jak mogli przetrwać? Mieli narzędzia, kilka urządzeń technicznych, może jakiś pojazd gąsienicowy, może coś w rodzaju śmigłowca, nie dysponowali jednak niczym, co pozwoliłoby im pokonywać przestrzenie międzygwiazdne. Zostało im wszakże to, co najistotniejsze: wiedza. Mieli też zapewne jakiś ważki powód do buntu. Może przejadł im się długi lot międzygwiazdny? Może dowódca był dla nich za surowy? Może znudziła im się codzienna, pedantyczna praca na pokładzie statku? To tylko przypuszczenia! Ale teraz byli na planecie, na której żyli ludzie bardzo do nich podobni., Buntownicy postanowili zawładnąć ludźmi, uczynić z nich swoje sługi i chłopów pańszczyźnianych, co pozwoliłoby im na wystawne życie.

Buntownicy niedługo byli razem. Podzielili się na grupy, rozdzielili między siebie urządzenia i postanowili drogą radiową informować się o swoich poczynaniach. Potem rozjechali się na wszystkie strony świata. Jedna grupa udała się przez ocean do Ameryki Południowej, druga do Ameryki Północnej, trzecia w rejon Oceanu Spokojnego, czwarta do Azji. Z podziałem Ziemi nie mieli problemów. Zachowywali się tak samo, jak tysiące lat później buntownicy z „Bounty”, angielskiego statku opanowanego w 1787 roku przez zbuntowaną załogę. W południowym rejonie Oceanu Spokojnego członkowie załogi zaczęli się usamodzielniać, każdy chciał być królem. Kilku udało się osiągnąć wymarzony cel, innych zabili wyspiarze.

Jedna z grup opisywanych przez Henocha, lecąc nad wyżyną Kaszmiru, dostrzegła nieopisane piękno tej okolicy i wyczuła, że klimat jest tam idealny. Tu da się żyć! Ale, o zgrozo, przed 3000 lat czy kiedykolwiek to się działo - nie wierzę datowaniem biblijnym - w Kaszmirze nie było ludzi, nie było więc i służby. Panowie z innej gwiazdy, przyzwyczajeni do wystawnego życia, nie wyobrażali sobie, nawet w najbardziej ponurych snach, jednego dnia bez służby. Wychodowanie służebnej gromady z jednej parki ludzi wydawało im się za odległe, postanowili więc przegonić całe jedno plemię z Egiptu do Kaszmiru. Miała to być kraina mlekiem i miodem płynąca. Buntownicy poprowadzili Żydów na wyżynę w dzisiejszych Indiach! Dlatego stosowali drogowskazy w postaci słupów dymu i ognia. Bez tych wskazówek Żydzi nie dotarliby do celu. Marsz przez pustynię jest gorszy od błędzenia po labiryncie. „Bogowie” musieli ludziom pomóc. A jeśli było trzeba, ingerowali w przebieg bitew, aby ich przyszła służba dotarła do celu bez szwanku.

Takie właśnie myśli przychodziły mi do głowy podczas długiej podróży. Ale myślałem i o tym, że aby dotrzeć do Kaszmiru, trzeba przekroczyć góry Pir-Panjal-Range. Najniższy punkt tego szlaku leży na wysokości 2510 m. Dziś drogę tę można przebyć tunelem Banihal, biegnącym na wysokości 2180 m. Zapewne te góry stanowiły barierę, która sprawiła, że Kotlina Kaszmirska była przed tysiącami lat nie zamieszкана.

Gdyby pofantazjować jeszcze trochę, mogłoby się okazać, że Izraelici znaleźli tu krainę, którą uprawiali dla siebie i dla swojego „Pana”. Podobnie jak dziś Izraelczycy, tak ówczesni Izraelici byli narodem pracowitym, zdyscyplinowanym i inteligentnym; zapewne to było powodem, że buntownicy wybrali sobie plemię o wysokiej kulturze. Przy ich pomocy Żydzi wzniesli wkrótce świątynie, pałace, założyli ogrody. Kotlina Kaszmirska zmieniła się w ziemię obiecaną, w raj.

Te dość odważne spekulacje mają jednak pewien haczyk. Według egzegetów biblijnych król Salomon (ok. 965-926 prz. Chr.) kazał wnieść w Jerozolimie świątynię. Czy więc, podobnie jak jego poprzednik Dawid, nie znalazł się w grupie, którą doprowadzono do Kotliny Kaszmirskiej? A może przebywał to w Kotlinie Kaszmirskiej, to w Palestynie? Nikt nie może się znajdować w dwóch miejscach naraz! Chyba że jest się Salomonem!

Salomon - latający król

Najstarszą etiopską legendą jest *Kebra nagast*. W rozdziałach 12., 35., 40., 42. i 52. opisuje ona w całej rozciągłości „pojazd powietrzny”, który król Salomon odziedziczył po przodkach i którego skwapliwie używał. W *Kebra nagast* czytamy, że król i wszyscy przebyli, lecąc pojazdem, jednego dnia drogę, na którą trzeba trzech miesięcy [2].

Między Jerozolimą a Śrinagarem jest w linii prostej prawie 4000 km. Tej odległości nie da się przejść na piechotę w trzy miesiące. Gdyby maszerować dziennie 20 km, to droga przebyta w ciągu miesiąca wyniesie 600 km, a w ciągu trzech miesięcy 1800 km. A właśnie taką drogę - według *Kebra nagast* - pokonywał król Salomon swoim wozem latającym jednego dnia.

Gdyby latający król przebywał w powietrzu tylko 12 z 24 godzin, to jego pojazd musiałby rozwijać prędkość 150 km/h. Zakładając wszakże, że leciał dziennie tylko przez osiem godzin, to musimy przyjąć, że jego pojazd rozwijał średnią prędkość 225 km/h. Nie jest to tyle, ile odrzutowiec, ale dość szybko, żeby wielekroć w ciągu

miesiąca odbywać podróż między Śrinagarem a Jerozolimą.

Przy założeniu, że król Salomon miał międzylądowanie gdzieś w połowie drogi Kaszmir-Izrael, to - być może - świadectwa takich lądowań znajdują się jeszcze w dzisiejszym Iranie. Pojazdy niebiańskie - a nie były one wtedy czymś zwyczajnym - nie lądowały i nie startowały nie zauważone przez okolicznych mieszkańców. Istotnie, w północno-zachodnim Iranie na wysokości 2200 m wznosi się kopulasty szczyt zwany *Takht-i-Suleiman*, Tron Salomona, tak samo jak koło Śrinagaru. Na irańskim Tronie Salomona istniała niegdyś sasanidzka świątynia ognia, w której czczono ogień i wodę. Ogień i wodę? To jak ogień i woda! Przy zetknięciu jednego z drugim powstaje para. Czy samolot Salomona miał napęd parowy? Czy znano wówczas maszynę parową, taką jaką wynalazł francuski badacz przyrody Denis Papin (1647-1714)? Czy ogień i wodę czczono ze względu na to cudowne dzieło? Zabawne, ale sąsiedni szczyt nazywa się *Zendan-i-Suleiman*, co znaczy Więzienie Salomona. Może pilot zmylił trasę i miał tam awaryjne lądowanie?

Abstrahując od śmiałej fantazji, trzeba stwierdzić, że i w Iranie, i koło Śrinagaru są dwie góry Salomona. Na obu stały świątynie poświęcone temu królowi. Budowla irańska już nie istnieje, świątynia koło Śrinagaru - wielokrotnie przebudowywana - funkcjonuje do dziś. A tak, nawiasem mówiąc, moja hipoteza wyjaśnia, dlaczego do wzniesienia świątyni w Jerozolimie Salomon musiał ściągać architektów i budowniczych z Libanu: jego ludzie pracowali wtedy w Kotlinie Kaszmirskiej.

Hipotezy i kilka faktów

To oczywiste, że hipotezy te, zapierające niektórym czytelnikom dech w piersi, mają związek z moimi istotami pozaziemskimi. Nie jest oczywiste, jaki związek mają z Jezusem, żyjącym 1000 lat później. Zanim będę miał namacalne fakty, przedstawię wątek hipotetyczny.

Esseńczycy - wspólnota znad Morza Martwego, zaprzysięgła prawu Mojżeszowemu - wiedzieli, że przynajmniej jedno plemię Izraela mieszkało w odległym Kaszmirze [3]. Wspólnota ta знаła dawne pisma z okresu regencji Mojżesza i jego azjatyckie związki, być może w czasach Jezusa esseńczycy nawiązali kontakt z plemieniem, które było w Kaszmirze. A oto moje przypuszczenia, jak i dlaczego Jezus przybył do Kaszmiru:

- W pewne piątkowe południe Jezusa przybito do krzyża. W piątek o północy zaczyna się szabas, siódmy dzień tygodnia. Dzień wypoczynku od pracy, dzień święta i duchowej odnowy. Rzymscy okupanci byli na tyle mądrzy, że szanowali to religijne prawo. Dlatego w szabas żaden skazaniec nie mógł pozostać na krzyżu. Wbrew powszechnemu mniemaniu, jak twierdzą historycy, rzymska kara ukrzyżowania nie zawsze była równoznaczna z karą śmierci, były to raczej barbarzyńskie katusze. Ludzie silni i zdrowi, o silnej woli przetrwania, potrafili ją przeżyć.
- Biblia mówi, że legionista rzymski przebił bok Jezusa włócznią i że z rany płynęła krew i woda. Jezus nie był więc martwy. Józefowi i Nikodemowi, będącym w towarzystwie kilku kobiet, wśród których była matka Jezusa, pozwolono na zdjęcie mistrza z krzyża. Mężczyźni pozostawili żołdactwo w przekonaniu, że Pan nie żyje, przykryli Jego umęczone ciało chustami, opatryli rany maściami i ziołami, ukrywając je gdzieś, może w klasztorze esseńczyków, wśród których byli wyśmienici medycy. Tylko w tym kontekście zrozumiały stały się tekst Biblii. Dwaj mężowie w lśniących szatach pytają kobiety u grobu: „Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych?” (Łuk. 24, 5).
- Ewangelista Jan nic nie wie o wniebowzięciu, a wypowiedzi Mateusza, Marka i Łukasza są sprzeczne. W tekście Biblii przekazano, że po zdjęciu z krzyża Jezus ukazał się uczniom, a niewiernemu Tomaszowi pozwolił nawet dotykać swoich ran na rękach i nogach.
- Rzymianie zostali poinformowani, że Jezus żyje. Zaczęli go poszukiwać. Jezus, który był człowiekiem powszechnie znanym, nie mógł się pokazywać publicznie. Było to trudne, bo wszystkie terytoria wokół dzisiejszego Izraela znajdowały się pod okupacją Rzymu. Na południu był to Egipt, na północy Liban, Turcja, na zachodzie Europa. Istniała właściwie tylko jedna droga ucieczki: na wschód! Czyżby znów wkroczyła do akcji piąta kolumna esseńczyków? Czy esseńczycy doradzili Jezusowi ucieczkę w kierunku Kaszmiru i zapewnili go, że spotka tam swoich ziomków?
- Na siepacza Rzymianie wyznaczyli Saula (Szawła), o którym wiedzieli, że był oficerem i prześladował chrześcijan. Saul, chytry lis, zorientował się od razu, że Jezus na pewno ruszył przez Damaszek na wschód. Przed Damaszkiem Saul zastawił na Jezusa pułapkę: „Saulu, Saulu, czemu mnie prześladujesz?” (Dz. 9, 4). Jezusowi udało się przekonać obywatela rzymskiego, że jego osoba nie stanowi już dla cesarstwa niebezpieczeństwa i że można mu pozwolić pójść dalej swoją drogą.
- Po tym spotkaniu Saul (Szawel) przybrał imię Pawła, nawrócił się i został misjonarzem wśród pogan. Był więc pierwszym innowiercą, którego udało się Jezusowi zdobyć dla chrześcijaństwa. Paweł był odtąd reprezentantem nauk Jezusa, wedle których wszyscy są równi przed Bogiem, był to więc - żeby tego źle nie zrozumieć - najbardziej przebojowy program polityczny. W podróżach misjonarskich Pawłowi towarzyszyli niewolnicy, co było dla pierwszych imperatorów rzymskich naszej ery powodem do krwiożerczego prześladowania młodej

gminy chrześcijańskiej. Obywatela rzymskiego Szawła-Pawła ukrzyżowano wkrótce głową w dół. W oczach Rzymian miało to być dla niego karą za zdradę.

- Czy Matka Boska, Maria, nie wytrzymała trudów podróży? Czy zmarła kilka kilometrów na zachód od dzisiejszego Rawalpindi w Pakistanie? Do dziś wznosi się tam kaplica *Mai Mañ-* „ostatni spoczynek Matki Marii”.
- Jeśli uwierzemy przekazom indyjskim, to Jezus powędrował dalej do Kaszmiru, uciekł rzymskim siepaczom! Na pewno został przyjaźnie przyjęty przez esseńczyków, żyjących bezpiecznie na wygnaniu i postępujących wedle surowych reguł. Tam się ożenił i zmarł dopiero w podeszłym wieku, szanowany zarówno przez prosty lud jak i przez potężnych władców. **Te** kilka myśli wysnutych na podstawie lektur i poszlak, opatrzone wieloma znakami zapytania, skłoniło mnie do wyruszenia istniejącymi śladami.

Teoria...

Na tarasie hotelu Oberoi, dawnego pałacu maharadży, czekał na mnie prof. dr F. M. Hassnain. Z profesorem prowadziłem korespondencję, w której zapowiedziałem swój przyjazd. Hassnain jest urzędnikiem państwowym i jako *szeft archiwów* dba nie tylko o porządek dzisiejszych akt państwowych, lecz również zajmuje się dokumentami epok minionych. Miałem nadzieję, że profesor pomoże mi potwierdzić moje zuchwałe spekulacje. Siedział teraz obok pod parasolem przeciwsłonecznym. Wokół panowała cisza. Przed nami rozciągał się rajski ogród, a wody Śrinagaru, lśniące w słońcu, stanowiły dekorację do spokojnej rozmowy. Dopiero z biegiem dni miałem zrozumieć, jakim szacunkiem w mieście cieszył się ten miły uczonego średniego wzrostu, z wysokim czołem. Przypadek sprawił, że na mojej drodze stanął człowiek dobrze poinformowany.

Zacząłem mówić o prawdopodobnym pobycie Jezusa w Kaszmirze i napomknąłem, że informacja o istnieniu grobu Jezusa w Kaszmirze nie wystarczy, abym był o tym naprawdę przekonany. Profesor Hassnain najwyraźniej uznał mój sceptycyzm za żądanie.

- Łańcuch dowodów nie ma żadnych luk. Uzna go każdy sąd!
- Proszę bardzo, panie profesorze, z ciekawością posłucham...
- Zakładam - rozpoczął swój wykład Hassnain - że podczas podróży samochodem po naszym kraju zauważył pan, jak bardzo ludność Kaszmiru przypomina mieszkańców dawnej Palestyny, Podobieństwa nie ograniczają się tylko do wyglądu zewnętrznego i języka, nie tylko do obrządków religijnych. Także oglądając dawne budowle świątynne odniesie pan wrażenie, że są to miniatury świątyń Jerozolimy. Widział pan górę zwaną Tron Salomona i odległy odcinek o niespełna 15 km Ogród Salomona. Właśnie u nas, w Kaszmirze, są szczyty wymienione w Piątej Księdze Mojżeszowej, szczyty, których na próżno by szukać w Palestynie, a poza tym, szanowny panie, u nas jest też grób Mojżesza. Nie, proszę mi wierzyć, przybywając tutaj, Jezus nie dążył do jakiegoś nieokreślonego celu, chciał dotrzeć do *kraju swoich ojców!*

- Skąd Jezus wiedział o tym kraju?

Profesor Hassnain spojrzał na mnie, ze szklanki pociągnął łyk mrożonej herbaty z cytryną, i ciągnął:

- Możliwości jest wiele. Może dowiedział się o tym z dawnych pism przechowywanych w klasztorze esseńczyków. Gdyby istniały wskazówki pisane, gdyby istniały przekazy ustne, to wiedziano by dość dobrze o *exodusie*. Jest jeszcze jedna, nie doceniana, możliwość. Wie pan, że zachodni badacze życia Jezusa nie umieją wypełnić luki między jego dwunastym a trzydziestym rokiem życia. Jest to nie kwestionowana wyrwa w jego życiorysie. Należy zadać pytanie, czy może Jezus już jako chłopiec i młodzieniec był w naszym kraju?

A ponieważ profesor zawsze mawiał, że najważniejsza jest precyzja, spytałem:

- Jerozolimę i Śrinagar dzieli ogromna odległość 4000 kilometrów w linii prostej. W jaki sposób Jezus pokonał ten dystans? Profesor uśmiechnął się, zapalił ogromne cygare i odparł:

- Mój drogi, niech pan pomyśli choćby o kanadyjskich osadnikach w naszym stuleciu! Bez kolei, bez samolotów i samochodów przebyli odległość dzielącą wschodnie wybrzeże od zachodniego: 7000 kilometrów! Na piechotę, z rodzinami i dobytkiem, w najprymitywniejszych wozach z plandekami! Przebywając dziennie tylko po 15 kilometrów, odległość Palestyna-Kaszmir można pokonać w ciągu roku, a w czasach biblijnych ludzie poruszali się na piechotę na pewno szybciej niż my dziś...

Zręczna jest ta profesorska argumentacja, pomyślałem sobie, ale atakowałem dalej:

- Czy jest jakiś przedmiot z tamtych czasów, który można wziąć do ręki, zmierzyć, sfotografować?

Pytanie to wyraźnie przyhamowało Hassnaina, który wyprostował się w fotelu.

- Mamy tu grób Jezusa, w dokumentach wymieniany od ponad 1900 lat! Można przeczytać inskrypcję nagrobną: „Tu spoczywa słynny prorok *Yuz-Azaf*, zwany *Yusu*, prorok dzieci Izraela”. Musi pan wiedzieć, że imiona *Yuz-Azafi Yusu* są tożsame z imieniem Jezus, które w tamtych czasach miało taką formę graficzną.

... i praktyka

Dzień później profesor Hassnain prowadził mnie wąskim, zawsze nieco mrocznym zaułkiem. Zaulek ów zwie się *Prorok nadzieje*. Naszym celem był *Rauzabal Khanyar*, budynek łączący architektoniczne elementy kościoła i meczetu. Nas, obcych, nie wpuszczono by do środka, gdybyśmy nie byli w towarzystwie profesora. Jest on tu znany, szanowany, ktoś, kto mu towarzyszy korzysta niejako z jego autorytetu.

Jak wszyscy zdjęliśmy buty i wraz ze strażnikiem grobu i jego rodziną odmówiliśmy modlitwę. Przyznaję, że czułem się niepewnie. Niesamowita była myśl, że człowiek znalazł się w pobliżu kości Jezusa.

W pomieszczeniu było dość ciemno. Na belce spoczywał krzyż z palącymi się świecami. W środku było miejsce święte, do którego dostępu broniła zdobiona drewniana krata. W miejscu świętym, w stojącej na ziemi misie, paliły się stożkowe kadzidła.

Do tego miejsca pielgrzymują nie tylko chrześcijanie, grób ten czczą również hindusi i mahometanie. O ile Mahomet jest dla nich najwyższym prorokiem, o tyle Jezus znaczy dla nich też bardzo wiele jako prorok o ogromnym darze przekonywania i wzór dobroci.

W kamieniach podłogi, w miejscu, gdzie nie wolno wchodzić, ujrzałem odciski stóp.

- Co to jest? - szepnąłem.

- To ślady stóp Jezusa - odparł strażnik grobu, a następnie wymamrotał modlitwę, spuścił głowę i złożył ręce na piersi tak, jak robią to pielgrzymi w świętych miejscach wiary chrześcijańskiej.

- Mogę dotknąć tego kamienia? - spytałem. Nie przerywając modlitwy, strażnik grobu skinął głową z mniśnią dobrocią. Rozcapierzonymi palcami oceniłem, że odciski mają numer 45, w śladach poczułem zagłębienia, miejsca szorstkie, nierówne. Czy to odbicia ran? Tak tu twierdzą.

Po cichu zapytałem profesora, czy mógłbym wejść do grobowca. Jego odpowiedź na moją prośbę byłaby zapewne przecząca, gdyby do naszej grupki nie podszedł właśnie umówiony z nami dr Aziz Kasch-miri, autor książki *Jezus w Kaszmirze*. On zgodził się na moją prośbę.

Święte miejsce otwarto, ku zadowoleniu wszystkich obecnych odmówiłem krótką modlitwę. Potem z gotowym aparatem fotograficznym wszedłem przez furtę do środka. Myśląc o tym z perspektywy czasu, nie zaprzeczę, że byłem dziwnie zdenerwowany. Jak sobie przypominam, ciasnota tego miejsca zmusiła mnie do skoncentrowania

się nad sposobem zrobienia zdjęć. Zajaśniała lampa błyskowa. Czy popełniłem bluźnierstwo? Przypomniał mi się Jezus z moich szkolnych czasów, który, jak nas uczono, miał zrozumienie dla wszystkich ludzkich postępów. Pomyślałem więc, że okazałby zrozumienie dla mojej ciekawości. Z kieszonki koszuli, wypuszczonej na spodnie, wyciągnąłem kompas. Płyty grobu były ułożone w kierunku wschód-zachód.

Robiłem zdjęcia, zakładając różne obiektywy, musiałem coś robić, aby ukryć rozczarowanie. Czy ten grobowiec, to przykryte kamieniami miejsce pochówku wyjaśni, co się w nim kryje? Czy wszystko, co się tu twierdzi, to tylko urojenia? Trzeba podnieść kamienne płyty, trzeba otworzyć prawdziwy grób. Szkielet z widocznymi ranami na rękach i nogach będzie stanowił dowód. Może uzyska się też dodatkowe informacje dzięki przedmiotom włożonym do grobu.

Można sobie nawet wyobrazić, że obok postaci tak słynnej jak Jezus położono w miejscu wiecznego spoczynku zwoje z zapisanymi na nich informacjami o jego życiu. Już na podstawie małego kawałka kości można by ustalić dokładną datę jego śmierci.

- Panie profesorze, dlaczego nie zbadano tego grobu? Przypuszczenia zmieniłyby się wówczas w pewność.

Hassnain wyjaśnił, że stara się o to bezskutecznie od lat. Najwyższe czynniki obawiają się zranień uczucia religijne chrześcijan, mahometan i hindusów. A potem, mrugnawszy do mnie, powiedział:

- Niech pan o tym napisze! Pańskie książki czyta się wszędzie, wszędzie się nad nimi dyskutuje. Może to coś pomoże. Byłby to ogromny sukces, gdyby najwyższe władze Indii zezwoliłyby wreszcie uczonym otworzyć grób!

- Nawet prześwietlenie tego miejsca pochówku promieniami rentgenowskimi dostarczyłoby istotnych informacji - powiedziałem. - I to bez ruszania kości czy mumii, czy tego, co jest na dole.

- Możliwe - odparł Hassnain z rezygnacją.

Podczas jazdy powrotnej do hotelu wyjaśniłem ostrożnie profesorowi, że grób ten i tak nikogo nie przekona o prawdziwości hipotezy, że Jezus był w Kaszmirze, tu się zestarzał i pochowano go w Śrinagarze.

Hassnain spojrział na ludzi kłębiących się na ulicy i powiedział:

- Zgadza się, ale niech pan pamięta o dokumentach!

- Jakich dokumentach?

- Jutro na górze Tron Salomona pokażę panu dwie inskrypcje. Jedna brzmi: „W owych czasach kazał prorok Yusu”. Data, przeliczona według kalendarza gregoriańskiego, to 54 rok po narodzinach Chrystusa. Druga inskrypcja brzmi: „On jest Jezusem, prorokiem dzieci Izraela”.

- Czy w 54 roku nie mógł przybyć do Śrinagaru uczeń Chrystusa, który zlecił sporządzenie takiej inskrypcji?

- Niech pan przyjdzie jutro do biblioteki! Pokażę panu sanskrycką księgę *Bhavishya Maha Purana*. Napisano ją w 115 roku. Na stronach 465 i 466 w wierszach 17-32 opisano spotkanie Jezusa z ówczesnym władcą

Kaszmiru. Goście z Zachodu tak często pytali mnie o ten fragment, że przepisałem go sobie i mam zawsze w kieszeni. Jak pan chce, mogę nagrać panu ten tekst na pański magnetofon...

Czy chciałem! Dzięki temu mam w swoim archiwum dźwiękowym tę taśmę. Oto co przeczytał mi profesor Hassnain:

„W okresie rządów Raya Shalewahina - a było to w 78 roku po narodzinach Chrystusa! - władcę niesiono przez chłodne wzgórza Kaszmiru. Król ujrzał tam siedzącego w trawie szczęśliwego człowieka w białej lnianej szacie, człowiek ten miał wielu słuchaczy. Shalewahin spytał nieznanego, kim jest. Człowiek w białym odzieniu odparł głosem pełnym spokoju i szczęścia:

- Zrodziła mnie młoda kobieta. Jestem kapłanem religii kraju Mlachha, wyznającej zasady prawdziwe. Król pytał dalej:

- Cóż to za religia? Obcy odparł:

- *Omaharay* (wielki władco), wędrowałem i nauczałem w kraju Mlachha (geograficzna Palestyna), i głosiłem prawdę, i ostrzegałem przed wykorzenianiem tradycji. Pojawiłem się tam, oni zaś nazwali mnie *Masih* (Mesjasz). Nie lubili mej nauki, odrzucili tradycję i skazali mnie. Cierpiałem bardzo w ich rękach. Gdy król chciał dowiedzieć się więcej o obcej mu religii, człowiek w białej lnianej szacie tak odrzekł:

- Religia ta zowie się miłość, prawda i czystość serca i dlatego nazwali mnie *Masih*”.

Pasjonujący fragment.

Pożegnaliśmy się w hotelu Oberoi. Potem siedziałem jeszcze przez godzinę w zapadającym zmierzchu na balkonie. Jak na wielkim panoramicznym ekranie widziałem rzekę Jhelum, przepływającą przez Śrinagar, na zboczach wznosiły się świątynie hinduistyczne, pałace i meczety z XIV i XV wieku. Odzyskiwałem spokój po denerwującym dniu, rozmyślałem nad tym, co usłyszałem, wciąż na nowo przesłuchiwałem nagrany dziś taśmę.

Wedle sanskryckiego przekazu ze 115 roku po Chr. Jezus-Masih odpowiedział królowi: „Zrodziła mnie *młoda kobieta*. [...] głosiłem prawdę, i ostrzegałem przed wykorzenianiem tradycji [...]. Odrzucili tradycję i skazali mnie [...]”.

O tym, że Jezusa urodziła dziewica - albo młoda kobieta - piszą też ewangeliści. Od kiedy w 1947 roku w grotach koło Qumran znaleziono tzw. rolki albo rękopisy znad Morza Martwego, wiemy, że Jezus głosił nie zafalszowane nauki tradycji [4]. Rękopisy te zawierają istotne informacje o czasach, datowanych od narodzin Chrystusa. *Anno Domini* 66 roku po Chr. esseńscy mnisi ukryli swoje najwartościowsze rękopisy w glinianych dzbanach, które umieścili w grotach nad Qumran. Od chwili, gdy odnaleziono je przypadkowo w grocie nad Morzem Martwym, zaczął się prawdziwy kryminał [5]. Kilka rękopisów zaczęło krążyć nielegalnie i półlegalnie po świecie. Badano je na uniwersytetach i w klasztorach, pewną rolę w przypadku tego sensacyjnego znaleziska odgrywały też pieniądze..., aż wreszcie te niepowtarzalne dokumenty, które zmieniły teologiczny obraz świata, wpadły w dobre ręce profesorów Andre Duponta-Sommera i Millara Burrowsa.

Znaleziska te definitywnie dowodzą, że Jezus właśnie od esseńczyków przejął najistotniejszą część swoich nauk, choćby ich sedno, jakim jest Kazanie na Górze czy opisy walk „synów światła” z „synami ciemności”. Oto przykłady.

Już Filon z Aleksandrii, żyjący od około 25 roku do 50 roku po narodzinach Chrystusa, tak pisał w swojej pracy *Quod omnia probus liber sit* o esseńczykach:

„Palestyńska Syria, zamieszkiwana przez znaczną część licznego narodu żydowskiego, umiała również wydobyć wiele cnót. Niektórych spośród tych ludzi, w liczbie ponad 4000, określa się mianem esseńczyków; miano to, moim zdaniem, [...] wiąże się ze słowem »świętość«; w istocie bowiem ludzie ci są w sposób nader szczególnie oddani służbie bożej [...]».

Nie pożądają ni srebra, ni złota, i nie kupują wielkich dóbr ziemskich [...], dbając jeno o podstawowe potrzeby [...], odrzucają wszystko, co mogłoby w nich wzbudzić żądzę posiadania [...]. Nie ma wśród nich niewolników, a wszyscy są wolni i pomagają sobie wzajem [...], o ich miłości do Boga świadczą tysiące przykładów [...]” [6]. Żydowski historyk i wódz Józef Flawiusz (37-97 r. po Chr.) tak napisał w 77 roku w *Wojnie żydowskiej* o gminie esseńczyków:

„Są bowiem u Żydów trzy rodzaje uprawianej filozofii: zwolennicy jednej zwą się *faryzeuszami*, drugiej - *saduceuszami*, a trzeciej - *esseńczykami*. Ci ostatni cieszą się powszechnie opinią wielce świątobliwych. Są rodowitymi Żydami, lecz łączą ich ze sobą silniejsze niż u innych więzy miłości [...]. Małżeństwo jest przez nich nisko szacowane, lecz *przyjmują cudze dzieci jeszcze w wieku podatnym do nauki, traktują je jak swoich krewnych i kształtują podług swoich zasad* [...]».

Z ubioru i postawy podobni są do dzieci [...]. Przed jedzeniem kapłan odmawia modlitwę [...]. Po posiłku znów on się modli. [...] W szczególny sposób interesują się dziełami autorów starożytnych, wy-czytując w nich przede wszystkim to, co dotyczy dobra duszy i ciała [...], cierpienia przewyciężają mocą ducha [...]. Mają oni niezłomną wiarę, że ciała są zniszczalne, a tworząca je materia przemijająca, lecz dusze nieśmiertelne trwają wiecznie [...]” [7]. Ten psychogram wspólnoty pasuje do Jezusa-samotnika. Czy zrodzonego z dziewicy, oddano na wychowanie esseńczykom? Czy w klasztorze gdzieś koło Qumran wpojono mu prawo możeszowe -jest tylko jeden Bóg! - które dorosłemu Jezusowi kazało wzgardzić rzymskim wielobóstwem i sprawiło, że został członkiem ruchu

oporu? Czy u esseńczyków nauczył się znoszenia, przewycięzania męczarni i katuszy mocą ducha? Czy można też uznać tylko za przypadek - skoro według dawnych tekstów sanskryckich jest to pewne - że Masih--Mesjasz opowiedział królowi, że zrodziła go dziewica i głosił „prawdę” przeciw wykorzenianiu tradycji, co także było programem esseńczyków?

Ujrzałem ślad prowadzący ze Śrinagaru w przeszłość, 2000 lat wstecz, w czasy Jezusa, a potem jeszcze dalej, w epokę bogów i anielskich buntowników. Choćbym nawet uważał, że grób Jezusa jest w Śrinagarze, to wiem, że zachodni teolodzy uśmiechną się tylko, słysząc o azjatyckich legendach. A tymczasem powinni się wspólnie zabrać do wyjaśnienia indyjskiej legendy o Jezusie! Czy to niestosowna propozycja, czy to herezja? Błuznierstwo? Czy kaszmirskiego grobu Jezusa nie można zbadać dlatego, że skoro Jezus został wniebowzięty, to nie może mieć grobu?

Kwestię tę należy wyjaśnić dla dobra samego chrześcijaństwa. Jeśli nawet w miejscu pielgrzymek *Rauzabal Khanyar* naprawdę znajdują się szczątki Jezusa, to i tak w niczym nie zmieni to jego wzniosłych nauk. Nie trzeba wszystkiego widzieć w tak czarnych barwach, jak w „Pierwszym liście św. Pawła do Koryntian” (15, 16 n.):

„Jeśli bowiem umarli nie bywają wzbudzeni, to i Chrystus nie został wzbudzony. A jeśli Chrystus nie został wzbudzony, daremna jest wiara wasza; jesteście jeszcze w waszych grzechach”.

Eksplozja atomowa przed 4000 lat?

Profesor Hassnain pokazał nam ruiny świątyni Parhaspur, gdzie w promieniu wielu kilometrów wszystko jest całkowicie zniszczone.

Wyraźnie widać tarasowy układ dawnej budowli, który od razu przywiódł mi na myśl metody obróbki kamienia i budowy inkaskich świątyń, na przykład w Cuzco w Peru, co polegało na układaniu kamiennych ciosów, łączących się wzajemnie, jednego na drugim. Podobnie jak tam, również tu ogromne ilości kamienia wycięto ze skały jakby bez trudu, również tu transport tego budulca nie stwarzał chyba żadnych problemów, również tu człowiek odnosi wrażenie, że zagłada nastąpiła skutkiem wybuchu, bo zniszczeń nie spowodował upływ tysiącleci. Patrząc na te spustoszenia - są to obrazy, jakie telewizja pokazuje codziennie: skutki bombardowań w rejonach wojen - trudno sobie wyobrazić, żeby tak straszne zniszczenia, przypominające wybuch bomby atomowej w Hiroszimie, nie powstały za sprawą wybuchu. Jeżeli rozejrzemy się wokół z centrum dawnej budowli, zauważymy, że tysiące kamiennych bloków leży mniej więcej w takiej samej odległości od środka.

Legendy o „bogach” i ich straszliwej broni znam równie dobrze jak tabliczkę mnożenia. Dlatego myśl o zniszczeniach dokonanych z powietrza wcale nie wydaje mi się tak absurdalna.

Latające aparaty w staroindyjskich tekstach sanskryckich

Taki właśnie tytuł miał wspaniały wykład, wygłoszony przez prof. dr. Dileepa Kandzilala na VI Światowym Kongresie Ancient Astronaut Society, jaki odbył się w 1979 roku w Monachium [8]. Kandzilal jest profesorem w Calcutta Sanskrit College, jest jednym z czołowych sanskrytologów.

Wywody profesora Kandzilala, które pozwolił mi uprzejmie przytoczyć w książce, podbudowują moją hipotezę, że „buntownicy”, opisani przez Henocha, dysponowali urządzeniami technicznymi i nieskomplikowanymi aparatami latającymi nawet po odlocie macierzystego statku kosmicznego. „Anioły-renegaci”, „istoty przybyłe z nieba” zadawały się z ziemskimi kobietami, spłodziły potomstwo. Nazywano ich „synami bożymi”, ale na pewno nie dysponowali oni już *pierwotną* wiedzą buntowników, należących do pierwszej załogi statku kosmicznego, urodzonych gdzieś na odległej planecie. Urządzenia techniczne istot pozaziemskich uległy zniszczeniu, zardzewiały, zginęły w pierwszych stuleciach po wylądowaniu ekspedycji. Dzieci spłodzone przez „buntowników” i ich dzieci dorastały na Ziemi, już nikt nie umiał naprawiać uszkodzonych aparatów. Dzięki technicznym przekazom przodków i *know-how* praojców potrafili oni wszakże budować proste aparaty latające, co dało im ogromną przewagę nad innymi mieszkańcami Ziemi.

Zawsze nadstawiam ucha na każdą próbę wyjaśnienia zdarzeń, przekazywanych przez starsanskryckie teksty. Nie są to żadne podejrzone sekretne pisma. Dokumenty cytowane przez prof. Kandzilala można w każdej większej sanskryckiej bibliotece obejrzeć i przeczytać, jeśli zna się sanskryt. Informacje przekazywane przez sanskrytologa z Kalkuty są tak „niebezpieczne” dla nauki podążającej utartymi szlakami, że nauka ta - pozbawiona możliwości obrony dotychczasowego stanowiska - może tylko sobie z nich pokpiwać albo udawać, że nie istnieją. Nie ma argumentów przeciwko przekazom. Cytuję dosłownie wypowiedź prof. Kandzilala:

„Można skłaniać się ku twierdzeniu, że przybycie pozaziemskich bogów i ich stosunki płciowe z ziemskimi kobietami oraz tego skutki stały się powodem powstania literatury wedyjskiej (najdawniejsza literatura religijna aryjskich Hindusów) oraz *Mahabharaty* (narodowy epos Indii).

Ale gdyby prześledzić historię czci oddawanej obrazom, to natknemy się na dwa ważne dzieła mówiące o wizerunkach bogów. Są to *Kausitaki* i *Satapatha Brahmana*, powstałe około 500 roku prz. Chr. Treści i obrazy dowodzą dobitnie, że bogowie byli pierwotnie istotami cielesnymi. Ale jak, a pytanie to jest

nieuniknione, bogowie ci dotarli przez atmosferę na Ziemię?

Jadźurweda mówi wyraźnie o latającej maszynie, używanej przez Aświnów (boskich bliźniaków). Słowo *wimana* to nic innego jak synonim maszyny latającej. Jest wymieniane w *Jadźurwedzie*, w *Ramajanie*, w *Mahabharacie*, w *Bhagawadgicie* i w innych dziełach klasycznej literatury indyjskiej. Słowo *jantra* znaczy dokładnie »aparat mechaniczny« i występuje często w literaturze sanskryckiej [9]. Co najmniej 20 fragmentów *Rigwedy* (1028 hymnów do bóstw) dotyczy wyłącznie latającego pojazdu Aświnów, który przedstawiany jest jako trzypiętrowy i trójkątny aparat latający z trzema kołami, mogący zabierać na pokład co najmniej trzech pasażerów. Pojazd ten zrobiony był wedle legendy ze złota, srebra i żelaza, a miał dwoje skrzydeł. Z pomocą tego aparatu Aświnowie uratowali króla Bhudźu, któremu zagrażało niebezpieczeństwo na morzu. Każdy sanskrytolog zna *Yaimaanika Sastra*, zbiór notatek, których sedno przypisuje się mądrymu Bharadwadży, żyjącemu ok. IV w. prz. Chr. *Yaimaanika Sastra* odnaleziono w 1875 roku w Indiach. Teksty te opisują wielkość i najważniejsze elementy różnych aparatów latających. Można się z nich dowiedzieć, jak kierowano tymi aparatami, na co należy zwrócić szczególną uwagę podczas lotów długodystansowych, jak chronić aparaty przed silnymi burzami i błyskawicami, jak lądować awaryjnie, a nawet jak przestawić napęd na energię słoneczną dla zaoszczędzenia paliwa. Mądry Bharadwadża odsyła czytelników do nie mniej niż siedemdziesięciu autorytetów i dziesięciu ekspertów indyjskiego prehistorycznego lotnictwa!

Opisy tych aparatów w tekstach staroindyjskich są zdumiewająco precyzyjne. Trudność, na jaką dziś natrafiamy, polega tylko na tym, że wymienia się w nich nazwy różnych metali i stopów, których dziś nie potrafimy przetłumaczyć. W *Samar anganasutradhar* ze czytamy, że dla bogów Brahmę, Wisznu, Jamę, Kuwery i Indry zbudowano pięć aparatów latających. Później doszło jeszcze kilka. Opisano cztery podstawowe pojazdy typu *wimana*: *rukma*, *sundara*, *tripura* i *sakuna*. *Rukma* miała kształt stożka i była pomalowana na kolor złoty, *sundara* przypominała raketę i lśniła srebrem, *tripura* była trzypiętrowa, a *sakuna* wyglądała jak ptak. Te cztery typy mają jeszcze 113 najróżniejszych podtypów, nieznacznie się od siebie różniących.

W *Yaimaanika Sastra* opisano miejsce zamontowania i sposób działania kolektorów energii słonecznej. Do tego celu trzeba wyprodukować osiem rur z określonego gatunku szkła pochłaniającego energię słoneczną. Wylicza się tam szereg szczegółów, których częściowo dziś już nie rozumiemy. W *Samarangansutradharze* objaśniono nawet sposób napędu, kontroli i rodzaj paliwa aparatu latającego. Napisano tam, że stosuje się rtęć i »rasa«. Niestety, nie wiemy, co znaczy słowo »rasa«. Nasuwające się porównanie relacji proroka Henocha z tekstami staroindyjskimi pozwoli wyjaśnić to, co dziś uważamy za zagadkę. Ruiny Parhaspuru, gdzie stałem, mogły powstać na skutek „boskich” walk powietrznych.

Mnożą się poszlaki

W 1979 roku ukazała się we Włoszech książka pióra urodzonego w Indiach Anglika, Davida W. Davenporta, *2000 A. C. Distrucione Atomica (Zniszczenia atomowe 2000 lat przed Chrystusem)* [9].

Davenport twierdzi, że dysponuje dowodami na to, iż najstarszy ośrodek historii ludzkiej cywilizacji - Mohendźo-Daro, również cel mojej podróży - został zniszczony eksplozją jądrową. Mohendźo-Daro znajduje się 350 km na północ od Karaczi, w dzisiejszym Pakistanie, na zachód od Sukkura nad Indusem. Davenport dowodzi, że resztki budowli, nazwane przez archeologów „miejscem śmierci”, nie uległy zniszczeniu za sprawą czasu.

Pierwotnie Mohendźo-Daro, liczące sobie 4000 lat, leżało na dwóch wyspach w nurcie Indusu. W promieniu półtora kilometra Davenport wykazuje trzy różne stopnie zniszczenia, coraz słabsze im dalej od centrum. W centrum zniszczenia panowała bardzo wysoka temperatura. Znajdują się tu teraz tysiące brył najróżniejszej wielkości, ochrzczonych przez archeologów mianem „czarnych kamieni”, a które okazały się fragmentami glinianych naczyń, stopionych w nadzwyczaj wysokiej temperaturze. Wybuch wulkanu trzeba wykluczyć, bo ani w Mohendźo-Daro, ani w okolicy nie ma zakrzepłej lawy czy popiołu wulkanicznego. Davenport zakłada, że działanie wysokiej temperatury, dochodzącej do 2000°C, trwało krótko. Sprawilo jednak, że gliniane naczynia uległy stopieniu.

Na obrzeżach Mohendźo-Daro znaleziono, jak pisze David W. Davenport, ludzkie szkielety leżące na ziemi, często obok siebie, jak gdyby żyjących zaskoczył nagle jakiś kataklizm.

Mimo możliwości zastosowania metod interdyscyplinarnych, archeolodzy pracują, niestety, w Mohendźo-Daro tradycyjnymi sposobami: byłoby to słuszne, gdyby dawało jakieś efekty. Jeśli jednak na samym początku wyklucza się istnienie aparatów latających i prawdopodobieństwo eksplozji jądrowej jako przyczyny zniszczenia Mohendźo-Daro, to nie może prowadzić badań zespół poszerzony o fizyków, chemików, metalurgów i przedstawicieli innych specjalności. Ponieważ ta żelazna kurtyna tak często spada w miejscach ważnych dla historii ludzkości, nie mogę wyzbyć się podejrzenia, że nie wolno i nie należy odkrywać żadnych niespodzianek, które mogłyby stanowić zagrożenie dla dotychczasowego gmachu myślowego. Eksplozja jądrowa przed 4000 lat

nie pasuje do schematu? Po przeczytaniu relacji Davenporta Mohendzo-Daro intryguje mnie jeszcze bardziej, zwłaszcza że to, co wykryto dotąd, wydaje mi się tylko połową prawdy.

Oh, Calcutta!

Przed kolejnym etapem podróży w dolinę Indusu lecę do Kalkuty odwiedzić mojego indyjskiego wydawcę Ajita Dutta. Dutt oczekiwał mnie na lotnisku wraz z całą rodziną. Poruszyła mnie jego radość oraz informacja, że oczekiwano mnie już przed dwoma dniami i że trzeba było odesłać do domu kilka tysięcy ludzi, którzy przyszli na mój odczyt. Odniosłem wrażenie, że Dutt operuje wysokimi „nakładami ludzi”.

Chciałem zwiedzić Kalkutę, największe miasto Indii, mające 425 km² i liczące ponad 3,5 mln mieszkańców. Jest to jedno z największych skupisk ludzkich na Ziemi. Niestety, nawet na krok nie mogłem się ruszyć z mojego hotelowego pokoju. Dziennikarze czyhali na mnie pod drzwiami, radiowcy podtykali mikrofony. Odmówiłem udziału w programie telewizyjnym, kiedy usłyszałem, że w mieście jest tylko 2000 odbiorników. Epoka telewizji dopiero się tu chyba zaczęła.

Dzień drugi upłynął tak samo jak pierwszy. Swoje wczorajsze oświadczenia znalazłem - poznałem je po zdjęciach - obok aktualnych informacji politycznych oraz fotografii Indiry Gandhi, na pierwszych stronach gazet. Co o mnie piszą? Nie potrafię wprawdzie czytać po bengalsku, ale na tutejszej glebie mój siew wszędzie wschodzi.

W południe przybył „Komitet powitalny Ericha von Danikena”, w którego skład wchodziło dwóch archeologów, jeden dyrektor muzeum, do tego wielu asystentów uniwersyteckich. Pomny na wcześniejsze nauki, złożyłem ręce jak do modlitwy i pochyliłem się w ukłonie. Powiedziano mi, że wszystko jest doskonale przygotowane.

To, co przytrafiło mi się w Kalkucie tego wieczora, przechodzi wszelkie pojęcie. Był to największy koszmar, jaki mógł mi się przyśnić. Koło szóstej samochodem komitetu powitalnego przyjechaliśmy do muzeum. Ujrzałem tłumy ludzi, powstrzymywane przez kordony policji. Czy to wszystko z mojego powodu? Policja przepchnęła mnie na wewnętrzne podwórze. Potem policjanci stworzyli w tłumie uliczkę, którą dotarłem do sali... rozległej hali z szerokimi schodami, galeriami i szerokimi parapetami okiennymi. Wszędzie tłumy. Powietrze było gorące, duszne i pełne wilgoci. Przed ekranem do wyświetlania slajdów stały cztery potężne krzesła. Wcisnięto mnie w jedno z nich. Jedna pani antropolog, jeden archeolog i dyrektor muzeum wychwalali mnie w przemowach tak bardzo, że aż zrobiło mi się przykro. Z lewej strony pulpitu mównicy położyłem zdjęty z ręki zegarek. Stałem tak parę minut nie mogąc nic powiedzieć z powodu wrzawy. Gdzieś w tej ciżbie stoi zapewne Willi w jaskrawoczerwonej koszuli, któremu spojrzeniem miałem sygnalizować zmianę slajdu w rzutniku. Od razu zrozumiałem, że tego wieczora wygłoszę skróconą wersję mojego odczytu. Mimo to głos odmówił mi posłuszeństwa trzy razy. Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło, spowodowała to chyba ta paralizująca duchota.

Gdy skończyłem, wybuchła dzika wrzawa. Nagle zaczęły się do mnie przeciskać tysiące słuchaczy. Do tej chwili nie wiedziałem, że ludzi można się bać aż tak bardzo. Dociśnięto mnie do ściany, proszono o autografy, ale w tym ścisku nie mogłem nawet ruszyć ręką. W pobliżu ujrzałem Williiego, który próbował się do mnie przebić. Na próżno. Ciężar napierających ciał sprawił, że wylądowałem na podłodze. Ostatkiem sił dotarłem na czworakach do kąta, gdzie przynajmniej dwie ściany stanowiły ochronę. Potem ujrzałem policjantów wymachujących pałkami. Interwencja była ostra, ale nie wywarło to żadnego wrażenia na rozszalałym tłumie. Było mi przykro na to patrzeć. Czy nie ma tu okna, przez które mógłbym uciec?

Wszystkie zakratowane. Wreszcie pałująca policja stworzyła ścieżkę, prowadzącą do samochodu. Nareszcie jesteśmy w środku. Wycieńczeni, złani potem, sfatygowani..., lecz mimo to trochę szczęśliwi.

Przez cały następny dzień nie opuszczał mnie lęk przed wieczornym odczytem na uniwersytecie. W Kalkucie ma siedzibę największy i najstarszy uniwersytet Azji, na którym studiuje 240 000 (!) studentów. Powiedziano mi, że odczyt odbędzie się w audytorium fizyki jądrowej, największym obiekcie tej placówki, publiczność zaś będą stanowić przede wszystkim przedstawiciele środowiska akademickiego.

Nie było akademicko. Zaczęło się od tego, że nie mogłem wysiąść z samochodu, tak oblepili go studenci. Policja znów musiała siłą zrobić dla mnie przejście. Studenci wcale się tym nie przejmowali. Przez tuby wołali: „Long live Daniken!” Czyżbym śnił?

W audytorium panował potworny ścisak. Ani szpilki wetknąć. Mówiłem przez dwie godziny. Aplauz, jaki mi zgotowano po zakończeniu odczytu, był nie do opisania.

Ze strony dziekanów odczułem sympatię. Profesorowie byli gotowi wspomóc mnie fachową wiedzą. Badacze sanskrytu powiedzieli, że z obszaru kultury indyjskiej mogą się dla mnie wystarać o góry materiału. Dotrzymali słowa. Pewien sanskrytolog zapewniał mnie, że teorie przedstawione w moich książkach stanowią dla wyznawców hinduizmu oczekiwaną przez nich rzeczywistość. To, co opisuję, jest dla zwykłego człowieka potwierdzeniem jego myśli.

Sploszony, chudy student wręczył mi książkę w różowoczerwonej oprawie.

- To dla pana!

Szybko przeczytałem tytuł *Yymaanika-Shastra Aeronautics*, autorem był Maharshi Bharadwaaja [10].

Zapytałem uprzejmie, o czym jest ta książka. Student, chudy i blady, uśmiechnął się.

- To pradawny zbiór tekstów, które na pewno pana zainteresują - powiedział i przepadł w tłumie.

W hotelu zajrzałem do książki i przestraszyłem się, że znów będę musiał zasiąść w szkolnej ławie, żeby uczyć się sanskrytu, ale po chwili z ulgą stwierdziłem, że druga połowa książki zawiera angielski przekład oryginału. Lektura zajęła mi całą noc.

Dziesięć rozdziałów książki traktowało o niewiarygodnie aktualnych problemach: o treningu pilotów, korytarzach powietrznych, elementach aparatu latającego, a nawet o ubraniach pilotów i pasażerów. Podano też szczegóły techniczne: stosowane metale, metale pochłaniające ciepło - podano nawet ich temperatury topnienia - napęd i najróżniejsze typy aparatów latających.

Gdybym nie wiedział, że są to teksty sanskryckie, tysiącletnie, uznałbym książkę za podręcznik dla kandydatów na pilotów. Zapisano tam 32 wskazówki, które musi znać osoba prowadząca taki pojazd, nim wzniesie się w powietrze. Wśród nich są takie sekrety, jak „skakanie” pojazdem powietrznym, latanie zygakiem i wężykiem, w jaki sposób pilot może patrzeć we wszystkie strony i słyszeć wszystkie odgłosy. Nie brak wskazań na temat bojowego zastosowania maszyn: jak przewidzieć we właściwym czasie manewry nieprzyjacielskiej maszyny, jak określić kierunek ataków nieprzyjaciela i jak im zapobiec.

Metale, stosowane do budowy aparatów latających, dzieli się na trzy grupy: *somala*, *soundaalika* i *mourthwika*. Jeśli zmiesza się je w odpowiednich proporcjach, powstanie 16 stopów, pochłaniających ciepło: *ushnambhara*, *ushnapaa*, *raajaamlatrit* i tak dalej. Nie bardzo wiem, o co tu chodzi, ale i tłumacz nie potrafił ich zidentyfikować, bo gdyby tak było, to w przekładzie znajdowałyby się ich angielskie nazwy.

Wyjaśniono tam również, co robić, żeby metale były czyste, jakie stosować kwasy - na przykład kwas cytrynowy i jabłkowy - i w jakiej proporcji, jakie oleje stosować w trakcie obróbki i w jakiej temperaturze zaleca się to robić.

Opisano siedem rodzajów silników, informując, do jakich celów się nadają i do osiągania jakich pułapów są stosowane. W katalogu nie brak danych na temat wielkości aparatów latających - niektóre mają po kilka pięter - i na temat ich zastosowania w różnych sytuacjach.

Powątpiewającym w fakt, że w prehistorii istniały pojazdy latające, polecam wspomniane teksty sanskryckie. Ignorancie wrzaski w rodzaju „Czegoś takiego w ogóle nie było” na pewno wówczas ucichną.

Książka, która za sprawą studenta przypadkiem wpadła mi w ręce, powinna stać się obowiązkową lekturą inżynierów i konstruktorów lotniczych i kosmicznych. Może w tekstach sanskryckich znajdą rozstrzygnięcie problemów związanych z projektami, nad którymi pracują w pocie czoła. Może wystąpią szybko z wnioskami patentowymi! Nikt nie ma już praw autorskich do tysiącletnich projektów. Przedtem jednak nasze mądrale muszą uznać dawne teksty za to, czym są w istocie: za opisy dawnej rzeczywistości.

Leciałem z powrotem do Śrinagaru. Z Kalkuty pamiętałem tylko mój pokój w hotelu, muzeum, uniwersytet i ulice zatłoczone tysiącami ludzi. Ale mój wydawca, Ajitt Dutt, był bardzo zadowolony.

Cel: MohendzoDaro

Wykorzystaliśmy nasze dotychczasowe doświadczenia i wyruszyliśmy ze Śrinagaru o czwartej rano. O tej porze karawany wędrowników śpią jeszcze na skraju drogi. Jechaliśmy między nimi sto kilometrów, potem wszystko, co żyje, zaczęło się budzić: miejscowi ludzie, krowy, wielbłądy, psy i kozy. Ruszały - jak czołgi podczas walki - autobusy i ciężarówki. Od „pobudki” jechaliśmy najwyżej 40 kilometrów na godzinę. Na pozostałe 350 km do Dżammu zużyliśmy pełne osiem godzin.

Dżammu, stolica stanu Dżammu i Kaszmir, było niegdyś zimową rezydencją maharadzów północnych Indii, dzisiaj „zimują” tam w przyjemnym klimacie na wysokości 1403 m n.p.m. urzędnicy państwowi ze Śrinagaru. Bardzo trudno zapamiętać cechy miast Indii. We wszystkich kłębi się masa ludzi, wszystkie dławią się nieuregulowanym ruchem, wszystkie zastygają w jednakowym brudzie, wszystkie są opanowane przez wychudzone krowy.

Wybraliśmy drogę, która według mapy biegnie do Amritsar, bo szybką jazdą chcieliśmy nadrobić trochę czasu oraz obejrzeć tam słynną Złotą Świątynię, największą świętość sikhów, wspólnoty religijnej liczącej 8 mln wyznawców. Miasto założył w XVI wieku guru sikhów. Znajduje się tu także „Staw Nieśmiertelności”, od którego nazwę wzięło Amritsar. Jak miasto może rościć sobie prawo do nieśmiertelności, uwieczniając ją w nazwie? Działo się tu zapewne coś nieodgadnionego, bo pod obitą złotą blachą kopułą pewnej budowli stoi „Tron Nieśmiertelności”. Dziś pod złotą kopułą rezydują strażnicy religii sikhów.

Ale nasz krzepki rangę rover właśnie w tym momencie udowodnił, że nie jest niezawodny. Lewe tylne koło siadło. W samo południe. *High noon*. Droga parzyła. Ani śladu cienia, ani chmurki na niebie. Spod gór bagażu wykopaliśmy koło zapasowe. Chcieliśmy szybko wszystko załatwić. Gdy jednak po wymianie koła opuściłem podnośnik, opona koła zapasowego rozpląszczyła się na asfalcie. Zapomnieliśmy uzupełnić ciśnienie w kole, z którego wypuściliśmy powietrze przed transportem. Nożną pompką, którą na zmianę deptaliśmy, pocąc się i sapiąc, nie udało się napompować opony. Zapewne pompka wyzionęła ducha już na lotnisku w Karaczi. W ślimaczym tempie dotoczyliśmy się do najbliższej stacji benzynowej.

- *Do you have air?* - spytałem, ale po angielsku rozumie tylko elita Indii. Uciekłem się więc do gestów, stosowanych zapewne już przez pierwszych ludzi. Udałem, że pompuję, wydałem policzki i z sykiem wypuściłem powietrze. Pracownik stacji benzynowej wytłumaczył nam z pomocą nie mniej zabawnych gestów, że sprężonego powietrza nie ma. W indyjskich stacjach benzynowych nie ma go zresztą z zasady. Nadciągał wieczór. Ale w jakimś warsztacie miły dziewięćolatek napompował nam koło zapasowe i błyskawicznie załatał dziurę w wężyku naszej pompki.

Na mapie drogę do Lahore oznaczono kolorem czerwonym, można więc przyjąć, że jest asfaltowa. Od Lahore do Multani czerwień znika. Już wiemy, że będzie okropnie. Zapytałem policjanta o najkrótszą drogę do Sukkur.

Azjaci wiedzą, co to współczucie. Jeśli nie potrafią ubrać złej wiadomości w ładne słowa, na ich twarzach zaczyna malować się żaloba. Informacja przekazana przez policjanta odpowiadała jego minie. Zaledwie 32 km od Multanu, koło wsi Muzaffargar, płynie Indus. Nastąpiła właśnie pora deszczowa i niebo spuściło na ziemię potop. Gdy opalaliśmy się w Śrinagarze, na nizinie łało w przerażający sposób. Mohendzo-Daro, leżące na drugim brzegu Indusu, było nieosiągalne. Policjant, który nie najgorzej znał angielski, poradził się miejscowych ludzi. Potem zalecił nam przejechać Indus dalej na południu, po koronie zapory wodnej w Alipurze.

Powódź jest od nas szybsza

Kłęski żywiołowe można tylko przyjmować z pokorą, nie należy się złościć z ich powodu. Jedziemy więc w kierunku Alipuru! Ale zapora jest już pod wodą, fala powodziowa załata mosty drugiej odnogi Indusu. Poradzono nam jednak pojechać 320 km na północ, zapora koło Dera Ismail Khan jest przejezdna. Strasznie daleko, ale cóż zrobić!

Licznik dawno wskazał 320 km. Droga zwężała się coraz bardziej, aż przeszła w błotnistą polną drogę. Zapory ani widu, ani słyhu. W jakiejś wioszczynie bez nazwy dowiedzieliśmy się, że Indus zniósł zaporę koło Dera Ismail Khan, powinniśmy się jednak pośpieszyć, bo znajdująca się tylko 140 km z powrotem na południe zapora Taunsa jest według ostatnich informacji nie uszkodzona i można po niej przejechać.

Zapora Taunsa to wielka budowla o betonowych jezdnich. Mogą tamtędy jeździć czołgi, zapomniano tylko zbudować drogi dojazdowe.

Szósta wieczór. Jeździmy już od szesnastu godzin, mamy jednak nadzieję, że dostaniemy się do Sukkur. „Nadzieja jest jak pies myśliwski szukający tropu”, mawiał mądry Szekspir. Słusznie. Udało mi się minąć zator z ciężarówek i autobusów i już jesteśmy nad rzeką. Droga się jednak obsunęła i teraz kończy się w mule. Ale mamy wóz terenowy z napędem na cztery koła i wyciągarką! Zobaczymy, co potrafi technika.

Willi wysiadł w kaloszach do kolan i szedł, szeroko rozstawiając nogi, jak marynarz na rozkołysanym pokładzie, oświetlony reflektorami naszego samochodu, w bulgocącej, żółtej zupie. Po jego długich nogach wiedziałem, jak jest głęboko. Na biegu terenowym, z zablokowanym mechanizmem różnicowym jechałem za nim krok za krokiem, czując, że pod kołami jest muł, śliski jak mydło. „Tylko się nie zatrzymać”, myślałem sobie. Po kilku minutach, które wydały się godzinami, przebyliśmy rzekę. *Eureka!* Dotarliśmy do zbawczego brzegu. Cóż takiego odkrył Archimedes, gdy zawołał *eureka*? Myślę, że tym radosnym okrzykiem powitał odkrycie prawa wyporu hydrostatycznego. Na moim miejscu zawołałby *eureka* przynajmniej dwa albo trzy razy.

Mimo zapadającego zmroku postanowiliśmy jechać dalej. Na pierwszym skrzyżowaniu zatrzymano nas i poinformowano, że wszystkie drogi do Sukkur są zamknięte, a mosty zalane. Gdy to usłyszeliśmy, uszło z nas całe powietrze. Byliśmy ugotowani! Ruszyliśmy powoli do Dera Ghazi Khan. Na skraju drogi, wokół małych ognisk, handlarze oferowali owoce i warzywa w świetle kaganków oliwnych, ale wbrew zasadom handlu patrzyli na nas nieprzyjaźnie, niemal wrogo, i niechętnie udzielali informacji.

Jakiś młodzieniec o wyglądzie budzącym odrobinę zaufania powiedział nam w *staccato* strzępków swoich angielskich słów, że hotel Shezan jest tu najlepszym lokum. Hotel Shezan był brudny, zawszony i zapluskwiony, miał odrażający bar kawowy i podwórze ze studnią, która w życiu nie widziała kropli wody. Jakiś Pakistańczyk, mówiący płynnie po angielsku i trzymający się nieco na uboczu, powiedział nam po cichu, żebyśmy byli ostrożni, bo zdarzało się już, że obrabowano tu podróżnych. Władze są bezsilne, bo miejscowi trzymają ze sobą jak mafia. Poprosiłem o pozwolenie zostawienia samochodu na podwórzu. W brudnych ciuchach padliśmy straszliwie zmęczeni na brudne prycze.

Obudziliśmy się z niespokojnych snów. Z podwórza dobiegało dzwonienie łańcuchów, ktoś coś wołał. W jaskrawym świetle trzymanej przez nich karbidówki ujrzeliśmy czterech mężczyzn, którzy - zwabieni chyba nie ciekawostkami zachodniej techniki — badali nasz samochód.

Zeszliśmy na podwórze, stanęliśmy pod murem, udając odważniej-szych niż w rzeczywistości, i patrzyliśmy wyzywająco na cztery ciemne postacie. Byłem w lekkiej kurtce, wyraźnie więc było widać wybrzuszenie w miejscu, gdzie miałem latarkę. Ale mogło to też wyglądać jak rewolwer. Oparty obok Willi miał ręce skrzyżowane na piersi, ale w lewej widać było błyszczący pojemnik z gazem łzawiącym, który wzięliśmy ze sobą w przystępie wizjonerstwa. Z ciemności wychynęły jakieś postacie, których dotąd nie widzieliśmy. Przekonywały o czymś pierwszą czwórkę, rzucając szybkie spojrzenia na wybrzuszenie mojej kurtki i na gaz łzawiący Williego. W końcu banda zrejterowała. Natychmiast ruszyliśmy w dalszą drogę, podejrzewając, że wkrótce przybędą posiłki. To była krótka noc.

Że droga do Sukkur jest nieprzejezdna, nie było niczym nadzwyczajnym. Drogi budowano tu jak za króla Ćwieczka. Z wozów, zaprzęzonych w woły, zwalano kamienie, rozbijane później przez Pakistańczyków na kawałki i rozsypywano wedle czyjegoś widzimisię, nie bacząc na ich powiązanie z podłożem. Smoła, wylewana na to cienką strużką, nie przeszkadza oczywiście, że Indus co roku spłukuje nawierzchnię. Pomoc gospodarcza przysłużyłaby się tym biednym ludziom, gdyby nauczono ich, jak budować drogi, nie zaś, jak stosować nowoczesne maszyny drogowe, które zwiększają tylko bezrobocie.

Święty Krzysztof, patron kierowców, odmówił nam błogosławieństwa. Kolejny cios: następna opona siadła nam, gdy jechaliśmy przez wodę. Brunatna ciecz Indusu sięgała po osie. Święty Krzysztof może co najwyżej błogosławić, ale nie może pomóc, musieliśmy więc sami ustawić podnośnik w gęstym, przelewającym się mule. Dlaczego podnośniki nie mają guzika, uruchamiającego pompę hydrauliczną? W samolotach kamizelki ratunkowe napęniają się automatycznie po otwarciu zaworu. „Należy pociągnąć za... Dlaczego podnośniki podnoszą samochód na zbyt małą wysokość? Dlaczego konstruktorzy samochodów zakładają, że wymiana koła będzie przeprowadzana zawsze na twardym gruncie? Bo jazdy doświadczalne odbywają się tylko na torach prób, bo nie mają pojęcia, że opona może sięść wszędzie. Gdybym miał wykształcenie techniczne, wiedziałbym, jak to zrobić. Po wynalezieniu zamka błyskawicznego byłby to ostatni pewny milionowy interes: skonstruowałbym podnośnik samochodowy na każde warunki.

W Sukkur, gdzie dojechaliśmy po ciągłym błędzeniu, oficer armii pakistańskiej powiedział nam, że dalsza jazda na południe jest niemożliwa, bo tamtejsze tereny są w całości objęte powodzią. Woda opadnie dopiero za parę tygodni. Potem zrepemje się drogi. Mohendżo-Daro, „miejsce śmierci”, nie chciało nas do siebie dopuścić.

Zostawiliśmy więc to złowieszcze, nieosiągalne miejsce po lewej ręce i pojechaliśmy dalej.

Kolejnym celem naszej podróży były wykopaliska Tępe Yahya, następnym zaś okrągłe miasto Sasanidów Ardaszir Khurreh, a jeszcze jednym jaskinie koło Kermanasza. A więc do Iranu...

Oficer, którego zapytałem, czy droga z Sukkur do Quetta jest przejezdna i czy da się nią dojechać do Iranu, popatrzył na mnie, jakby nie rozumiał.

- Gdzie pan chce jechać?

- Do Iranu!

- Nie czyta pan gazet?

Nie. Teraz przypomniałem sobie, że od przybycia do Karaczi nie miałem w ręku gazety. Program naszej podróży był wypełniony po brzegi.

- Nie słucha pan wiadomości?

Oficer zupełnie nie rozumiał obcych. Jak mielibyśmy słuchać wiadomości nie znając języka?

Z wojskową zwięzłością oficer powiedział:

- Wszystkie przejścia graniczne do Iranu są zamknięte. Wybuchła tam rewolucja! Proszę pójść za mną!

Weszliśmy do skromnego przydrożnego biura. Oficer był kiedyś w służbie brytyjskiej, nadal czytywał „Timesa”. Z półki podał nam stertę starych numerów.

- Proszę przeczytać!

Demonstracje w Sziras przeciw szachowi - Ciężkie starcia po wyjeździe szacha - Ajatollah Chomeini zapowiada swój powrót - Oddziały wojska zajęły port lotniczy w Teheranie - Wojsko strzela do demonstrantów - Triumfalne przyjęcie Chomeiniego w Teheranie - Wojna domowa w Iranie. Stolica w rękach powstańców - Napad na Ambasadę Amerykańską - Rewolucja w Iranie. Zamknięto granice kraju.

Takie tytuły znalazłem w „Timesie”. Najnowsze wydanie, z 20 lutego, zawierało informację, przekazaną nam już przez oficera.

Po klęskach żywiołowych żywioł wielkiej polityki! Musieliśmy się poddać. Z powrotem więc do portu w Karaczi, znanego nam aż za dobrze. Łysy wyszczerzył się na nasz widok. Chyba ucieszył się z naszego niepowodzenia.

- Wiesz, czego nam zabrakło? - zapytał Willi po paru godzinach milczenia.

Myślałem przez chwilę.

- Szczęścia! - odparłem.

- Nie. Czterech dni, które straciliśmy po przybyciu do Karaczi i trzech błędzenia po deszczu...

Jeszcze tydzień i bylibyśmy w Iranie, gdzie znaleźlibyśmy się w ogniu rewolucji, wyzywającej się - jak zdążyliśmy przeczytać - na cudzoziemcach.

- Nie - powiedziałem - mieliśmy jednak szczęście..., a i tak jeszcze tam pojedziemy!

Bez pośpiechu - dzięki splotowi dwóch żywiołów - załadowaliśmy naszego rangę rovera w Karaczi na statek. Z pomocą znanego nam dobrze łysego wszystko poszło gładko i bez dodatkowych kosztów. Z końcem kwietnia, już w Szwajcarii, dostaliśmy list z zawiadomieniem, że możemy odebrać nasze dzielne auto z cła w Wenecji.

VI. Zmierzch bogów

Nie pozwólcie, aby obowiązujący dogmat zakleił wam umysł!
Aleksander Fleming (1881-1955) do swoich studentów

Zacząło się w Chicago od dwóch starych fotografii - Pomaga nam pułkownik lotnictwa Omar Chioino - **Przez** Gwatemalę - Powódź w drodze do El Ba ul - Przed Monumentem nr 27 - Myśl biegnie do Monte Alban w Meksyku i Copan w Hondurasie - „El astronauta!” - Pomyłka w Limie - Przystanek w La Paź - Cel: Puma-Punku - Prehistoryczne budowle - Długa noc bogów - Spory na temat Sacsayhuaman - Za Humay w dolinie Pisco - Zdeformowane czaszki w muzeum w Ica - Śladem nie rozwiązanych andyjskich zagadek

Okropna sprawa. Podczas podróży zagaduje mnie zawsze tak wielu miłych i uprzejmych ludzi, dających mi — jak tym razem - istotne wskazówki i zostawiający swoje wizytówki. Ale czasem po powrocie do domu przy segregowaniu rzeczy, przywiezionych z podróży, okazuje się, że coś mi zginęło. Nie znoszę takiej sytuacji, bo lubię porządek i zawsze chciałbym napisać choć parę słów podziękowania.

Tym razem mam nadzieję, że mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna w granatowym garniturze, który zagadnął mnie w Chicago, przeczyta tę książkę i - zauważywszy moje podziękowanie - zorientuje się, że skierował mnie na właściwy ślad.

We foyer hotelu, w którym odbywał się V Światowy Kongres Ancient Astronaut Society, człowiek ten dał mi dwa zdjęcia lotnicze z numeru „National Geographic Magazine” z lat trzydziestych. Ukazujący się od 1888 roku co miesiąc „National Geographic Magazine” jest organem National Geographic Society, mającego siedzibę w Waszyngtonie.

Ujrzałem sfotografowaną szerokokątnym obiektywem panoramę kuli ziemskiej: niemalże prehistoryczną pagórkowatą okolicę, poprzecinaną bruzdami. W gruncie widać było wyżłobienia powstałe przez górskie potoki, toczące masy kamieni, było to więc chyba jakieś przedgórze, znajdujące się - nietrudno zauważyć - w gorącej strefie klimatycznej. Nie było tam roślinności, drzew i krzewów. Natychmiast przyszła mi na myśl fotografia przedandyjskich terenów Kordyliery, łańcucha gór na zachodzie Ameryki Południowej, sięgającego aż do Ziemi Ognistej.

- Widział to pan kiedyś? - zapytał mnie mężczyzna, który dotąd bacznie mi się przyglądał.

- Nigdy! - odparłem.

- Co sądzi pan o tych śladach? - zapytał, wskazując palcem na ciemne pasmo, ciągnące się przez wzniesienia i zagłębienia terenu. Widziałem oczywiście ciemniejszy cień, biegnący z nieskończonej głębi zdjęcia przez wzgórze i wąwozy leżące na pierwszym planie, odcinający się wyraźnie od okolicy.

Mój chicagowski rozmówca miał dla mnie w zanadrzu niespodziankę. Podał mi drugie zdjęcie, było to powiększenie fragmentu pierwszej fotografii. Ten sam ślad, ale tym razem wytłoczono w nim tysiące niewielkich otworów, dokładnie i równomiernie, jakby za pomocą wałka odcisnięto w ziemi jakiś wzór. Porównując go ze strumieniami, uznałem, że ślad ma około 15 metrów szerokości. Zelektryzowały mnie te zdjęcia.

- Co to jest? - zapytałem mojego eleganckiego rozmówcę.

- Tędy jechali bogowie swoim pojazdem - odparł, jak gdyby był tego pewien. - Proszę spojrzeć, to musiał być fantastyczny wehikuł. Zna pan jakieś współczesne pojazdy, które zostawiają na skałach takie ślady, a poza tym poruszające się na takich wysokościach? Widzi pan, że ślad biegnie przez góry i wąwozy! Nie powstał dziś...

- Czy wie pan, gdzie to jest?

Nie wiedział, niestety, dokładnie. W każdym razie były to zdjęcia z Peru, ale opis nie mówił, jaka to okolica. Pan zostawił mi zdjęcia i powiedziawszy *God bless you*, zniknął w ciżbie gości, sprawiającej, że hali każdego amerykańskiego hotelu przypomina dworzec.

Już w domu, w swoim gabinecie, przewertowałem ze sto książek o Peru, z początku będąc pewny, że zaraz trafię na sensacyjne zdjęcia. Ale ich nie znalazłem. Na wielu, robionych z różnej perspektywy, znalazłem widoki słynnego sześćdziesięciodziesięcioletniego inkaskiego muru, umocnionego z lewej i z prawej strony czterestoma fortyfikacjami, a ciągnącego się od wybrzeży Pacyfiku do Paramongi na Wyżynie Peruwiańskiej. Inkaski mur miał z ciemnym pasem tyle wspólnego, że wił się, jak prehistoryczny gad, przez wzgórza i doliny.

Ale nie tego szukałem. Czym jednak był ten ciemny ślad? Czy to rzędy dawnych grobów? Wybryk natury, która przyozdobiła okolicę równiutkim gustownym wzorkiem? Czy był to wał ochronny ze strefą prawie nie do przebycia? Czy pozostałość po pradawnych plantacjach? Dręczyły mnie te pytania. Musiałem tam pojechać. Ale gdzie to jest?

Peru, mające 1 285 216 km², jest krajem bardzo rozległym, szczególnie kiedy w trudnym terenie szuka się niewielkiego punktu. Z mojej szwajcarskiej samotni poszły więc pocztą lotniczą listy do przyjaciół w tym kraju. We wszystkich były kopie obu zdjęć, we wszystkich kołatała prośba: „Napiszcie, gdzie to jest!” Odpowiedzi przyszły po deprymująco wielu tygodniach, nie chciało mi się już nawet otwierać kopert. Byłem całkiem zrezygnowany, ale mój sekretarz położył mi na biurku - otwarty! - list ze słowami otuchy.

Nadawcą był pułkownik lotnictwa Omar Chioino Carranza. Od przyjaciela wiedziałem, że jest zarówno wyśmienitym pilotem, jak i znanym archeologiem-hobbystą. Od kilku lat, na zlecenie ministerstwa lotnictwa, organizuje w stolicy Peru, Limie, muzeum lotnictwa. Pułkownik Chioino puścił moje zdjęcia wśród swoich

kolegów i wśród peruwiańskich archeologów. W liście pisał, że jeden z jego przyjaciół archeologów wie, gdzie znajduje się ten dziurkowany pas. Jest to na północy Peru, u stóp Andów. Na północ od miasta Trujillo, centrum zabytków dawnych indiańskich kultur. Zorganizuje mi podróż w to miejsce, mam tylko napisać, kiedy przyjeżdżam do Limy. Na początek wyprawy zaproponowałem 15 sierpnia 1980 roku.

A ponieważ „było to blisko”, postanowiłem jeszcze pojechać przedtem do El Baul w Gwatemali w Ameryce Środkowej. Na miejscowość tę zwrócił uwagę mój przyjaciel, dr Gene Phillips. Są tam nadzwyczaj interesujące, całkowicie pomijane milczeniem przez naukę, posągi bogów. Z Gwatemala-City do Limy odrzutowcem to tylko chwilka.

Przez Gwatemalę

Nauczony doświadczeniem, na lotnisku w stolicy Gwatemali chciałem wynająć samochód terenowy. Pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego firmy wynajmujące samochody oferują tylko luksusowe wozy. W krajach Ameryki Środkowej i Południowej można się poruszać wyłącznie wozami terenowymi, ale wynająć ich nie sposób. A piękna Gwatemalka w okienku zapytała mnie, gdzie w ogóle jest El Baul.

- Koło Likkin, które jest koło San Jose nad Oceanem Spokojnym - powiedziałem, bo byłem dobrze przygotowany.

Urocza dama uśmiechnęła się, a uśmiech ten był jak reklama pasty do zębów.

- To nie potrzebuje pan wozu terenowego! Tam są bardzo dobre drogi.

Gdyby powiedział mi to mężczyzna mający zęby brązowe, to nie dałbym się nabrać. Ale za podszeptem pięknych usteczek wynajęłem krążownik szos, dodge'a, za 28 quetzalów dziennie plus 11 centów za kilometr. Quetzal jest tutejszą walutą, o równowartości dolara amerykańskiego.

Za miastem wijąca się czteropasmowa autostrada biegnie w kierunku Escuintly, leżącej znacznie niżej. Wyprawa zaczynała się jak luksusowa wycieczka, ale już po dwudziestu kilometrach, przed Escuintlą, rozkosz się skończyła. Z obu stron wisiły opary dżungli. Na drodze tłoczyły się autobusy i ciężarówki, wyrzucające z rur wydechowych wielkie chmury czarnego dymu. O wyprzedzaniu nie było co marzyć. Jak okiem sięgnąć, w ślimaczym tempie sunęła serpentynami nie kończąca się kolumna kopających potworów. Z Escuintli, liczej dziury, pamiętam tylko wyboje, jakie znajdują się zwykle na torach, służących do testowania nowych modeli samochodów: jak długo takie obciążenie wytrzymają osie i resory? Nie powinienem dać się nabrać na czarujący uśmiech i stwierdzenie, że do wyboru mam tylko dodge'a.

Droga się rozwidlała. Główna prowadziła na zachód do granicy z Meksykiem, nasza, CA 9, biegła na południe do San Jose. Asfaltowane były tylko niektóre jej odcinki. Dodge trzeszczał, pokonując wyboje i dziury, w których zmieściłaby się średniej wielkości wanna, jęczał i stękał, podskakując na wystających kamieniach, leżących tak blisko, że któregoś zawsze nie dawało się ominąć. Z prawej strony płynął strumień mniej więcej dwumetrowej szerokości, który przy oberwaniu chmury na pewno zalewał drogę. Ale nie padało, przynajmniej dziś.

Kiedy licznik wskazał, że przejechaliśmy 49 kilometrów, skończył się odcinek z Escuintli do San Jose, który pokonał w rekordowym czasie trzech godzin! Ach, ten uśmiech!

Wymordowany i wytrzęsiony, czując w kościach pięciogodzinną różnicę czasu, przejechałem jeszcze dziesięć kilometrów z San Jose do modnej miejscowości wypoczynkowej Likkin, gdzie wreszcie mogłem się wypaść. Nazajutrz chciałem być świeżutki, żeby pojechać dalej do El Balii. Gdy zasypiałem, uśmiechała się do mnie „madonna” wypożyczająca samochody na lotnisku.

Nocą wiele rzeczy może się zdarzyć. Przyjemnych i nieprzyjemnych. Kiedy rankiem odsłoniłem zasłony, niebo pokrywały ciężkie chmury. Dzięki Bogu, pomyślałem sobie, przynajmniej w dodge'u nie będzie jak w piecu. Takie ciężkie chmury wyglądają często w dżungli bardzo groźnie, a potem nic z tego nie wynika. Poza tym, jeśli człowiek ma zwrotny wóz terenowy, to może im uciec.

Wyjechałem właśnie na drogę, kiedy niebo się rozwarło i sprawiło taki potop, jakby chciało sobie zapewnić przynajmniej dziesięć linijek w *Księdze rekordów Guinnessa*. Nie było to dla mnie nic nowego, miałem już do czynienia z najobfitszymi tropikalnymi opadami, ale ulewa z 12 sierpnia nie miała sobie równych.

Strumień, który wczoraj płynął z prawej strony drogi, huczał teraz, rwąc po lewej w przeciwnym kierunku, a jego poziom podnosił się groźnie z minuty na minutę. W końcu woda, niosąca kamienie, połamane drzewa i małe zwierzęta, zalała drogę. Tylko samobójca albo żółtodziób nie znający dżungli jechałby dalej. Stałem, brodząc po kolana wyciągnąłem z bagażnika linkę holowniczą i przywiązałem samochód do pnia potężnego mahoniowca.

Słuchając niezbyt pokrępowanego plusku żółtobrązowej cieczy, znów ujrzałem ukazujący wszystkie zęby uśmiech uwodzicielskiej Gwatemalki, który pojawił się na ciemnej powierzchni wody jak biblijne *mane tekel fares*. Gdybym miał wóz terenowy! Zawieszenie byłoby wyżej, silnik lepiej zabezpieczony przed wodą i kurzem. Przed maską dodge'a brunatna ciecz kłębiła się jak przed tęnym dziobem statku. Zdjąłem buty, dzinsy i, balansując jak akrobata, ułożyłem bagaże jak najwyżej na tylnym siedzeniu i na półce przy tylnym oknie, bo woda zaczęła się już wdzierać do środka wozu.

Na wszelki wypadek zawsze mam ze sobą izolujący koc NASA, podarunek z Houston. Dziś najstaranniej, jak mogłem, zawiązałem nim silnik. Niesamowicie czułem się w samym środku rozszalałego potoku, który tymczasem zmienił się w rwącą rzekę. Jej środkiem płynęła właśnie jadowna *barbamarilla*, waż, częsty w tej okolicy. Bardzo ich nie lubię, choć ze wszystkich spotkań z nimi wychodziłem dotąd bez szwanku. Dodge szarpał się na linie jak uparty osioł, chcący galopem ruszyć ku swej zgubie.

Przycupnąłem na dachu i zacząłem się zastanawiać, dlaczego ciągle narażam się na takie przygody. Potem posłałem parę ciepłych myśli swojej żonie i córce do domu w idyllicznej Szwajcarii. Czekałem.

Po dwóch godzinach powódź skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Prawdopodobnie anioły opróżniły wszystkie baseny pływackie w niebie i włączyły słońce. Nad dżunglę wzniosły się duszne opary, jakby ze średniowiecznej kuchni. Ptaki ćwierkały i pokrzykiwały dumnie, jak gdyby to one przyczyniły się do ustania powodzi.

Kowboj w filmowym stroju, wybijanym srebrem, i w czarnym sombrero okrzyknął na koniu mój pojazd, stojący na kotwicy, i pocieszył mnie, że strumień podmył w wielu miejscach skarpe i droga jest raczej sfatygowana. Powinienem jechać ostrożnie. Wiedziałem o tym bez informatora na rumaku.

Dopiero po trzech godzinach powódź częściowo opadła. Drogą nadal płynęła mętna woda, pod którą mogły kryć się wielkie wyrwy. Zdjąłem koc z silnika, który udało mi się uruchomić po kilku próbach. Wielkie szczęście, zważywszy czekającą mnie jazdę przez szalejące odmęty. Od dołu silnik wciąż był obmywany wodą. Nie udało się od razu odjechać z tego straszego miejsca i uciec przed chmarami moskitów, które zgodnie uznały, że moje ciało stanowi najlepszą stołówkę. Byłem ofiarą powodzi. Nierzadko z pomocą miejscowych chłopów pchałem i wyciągałem samochód z błota. Trzydzieści osiem kilometrów za San Jose droga wynurzyła się z wód potoku. Przed przyjazdem do El Baul bogowie wyznaczili mi trudny egzamin, wiedzieli, że mają w zanadrzu atrakcję wartą wielu trudów.

El Baul inspiruje do porównań

Mała wioska El Baul leży kilka kilometrów od Santa Lucia Cotzumalguapa. Jej największa atrakcja znajduje się pod wystawioną na wiatry i deszcze ażurową drewnianą konstrukcją koło cukrowni. Kamienne rzeźby, cel mojej podróży, znajdowano w ostatnich dziesięcioleciach przypadkiem, podczas karczowania dżungli... i odstawiano właśnie tu.

Najwspanialszy eksponat archeolodzy zaklasyfikowali jako „Monument nr 27 z El Baul”. Przynajmniej ma numer katalogowy. Przyjrzyjmy się więc, cóż tam niszczeje z biegiem czasu.

„Monument nr 27” jest stelą, mającą 2,54 m wysokości i 1,47 m szerokości. W tej kamiennej rzeźbie dominuje postać, która dziarsko wzięła się pod boki i wygląda na dość pewną siebie. Na rękach ma jakby rękawice bokserskie, w których trzyma kule wielkości piłek tenisowych. Równie nowoczesne jak reszta jej rynsztunku są buty, sięgające aż do kolan i przechodzące w spodenki, jakby zdjęte z kick-boksera.

Szeroki pas oddziela spodnie od górnej części ubrania, przylegającej dokładnie do ciała. Tak nowoczesna - choćby to było, nie wiem jak dziwne - była moda tamtejszej epoki. Zdumiewający jest hełm, który istota ma na głowie. Hełm ten ma szerokie zgrubienia i osłonę na kark i przypomina hełm nurka. Z tyłu, z niewielkiej skrzynki, jakby zbiornika, prowadzi do hełmu przewód. Hełm ma otwory z przezroczystymi szybami, za którymi widać oczy, brwi, nasadę i fragment nosa.

Ale kamienny zabytek zawiera jeszcze jeden zadziwiający element: na przedłużeniu nosa, ale jakby poza hełmem, kamienne arcydzieło ma wyobrazony pysk, przypominający pysk jaguara. Ze szczerzącej zęby paszczy wydobywa się - jak pod ciśnieniem - oddech istoty w hełmie. Kolejna rzecz warta uwagi to fakt, że istota ma na szyi dwie taśmy. Na jednej na pierś istoty zwisa niewielkie, kwadratowe pudełeczko, na drugiej coś okrągłego, być może amulet.

Gość w hełmie musiał być kimś, bo na ziemi u jego stóp siedzi w kucki niewielka postać, która także ma na sobie - *a la modę* - rękawice bokserskie i podaje potężnej istocie piłkę tenisową. Na zakończenie opisu reliefu trzeba powiedzieć, że u dołu steli w szerokim prostokącie widać sześć nieokreślonych skrzatów.

Zdaniem archeologów relief przedstawia znaną z przekazów śmiertelnie niebezpieczną grę w piłkę, jaką uprawiali Majowie, zwycięzca zaś ma na twarzy maskę, wyobrażającą jakoby pysk jakiejś małpy, jaguara, a najprawdopodobniej oposa. A więc ów „przewód” łączący hełm z pojemnikiem nie jest niczym innym jak tylko ogonem tego stworzonka, „powietrze” zaś wychodzące z ust symbolem wody. Że to niby opos jest zwierzęciem ziemno-wodnym [1].

Nie wiem, co wymaga większej fantazji: czy twierdzenie, że na steli przedstawiono gibkiego oposa, czy że są to wyraźnie elementy techniczne? Jak bardzo trzeba oślepnąć w czasie jednostronnych studiów, aby *uwierzyć*, że opos, małpa czy jaguar będzie zanurzać swój ogon w pojemniku na grzbiecie?

Niestety, nie da się ustalić, kto był dzielnym „wynalazcą” twierdzenia, że stylizowany oddech symbolizuje wodę. Interpretator ten był zapewne bardzo skrupulatny, bo jego obłądne teorie weszły przez aklamację do podręczników, a jeśli coś się w nich znajdzie choć raz, od razu staje się *tabu yako* pogląd nauki. Ale na temat pojemnika nie znajdziemy tam ani słowa wyjaśnienia. Zwierzęce akcesoria? Naukowa wiara nie potrzebuje

wyjaśnić. Trzeba wierzyć i basta.

Interpretacja mówiąca o grze Majów w piłkę mogłaby być pierwszym krokiem do zrozumienia reliefu, gdyby nie fakt, że poza piłkami zawiera on również rekwizyty zupełnie zbędne, a nawet zawadzające podczas gry w piłkę. Poza tym Majowie nie grywali chyba w piłkę w spodniach, w butach i w dresach przylegających do ciała.

Będę naśladował sir Aleksandra Fleminga: nie pozwolę, żeby obowiązujący dogmat zakleił mi umysł. Oto moja interpretacja:

Dwie istoty pozaziemskie, „bogowie”, walczą ze sobą, zwyciężony oddaje zwycięzcy broń, prosząc go o łaskę. Albo: tylko większa postać jest istotą boską. Władca albo kapłan prosi na kolanach o względy potężnego nieznanego. Postać dominująca to zwycięzca, ma inne odzienie niż mieszkańcy Ziemi, hermetyczny skafander chroni ją przed bakteriami i wirusami obcej planety. Istoty zrodzone na Ziemi nie potrzebują takiej ochrony, są uodpornione na miejscowe bakterie i zarazki wywołujące choroby infekcyjne. Przez przewód, biegnący do hełmu, obcy oddycha filtrowanym powietrzem ze zbiornika na plecach.

Indianie z okolic El Baul czczą tę stelę do dziś, uważając ją za wizerunek wielkiego, nieznanego boga. Jeszcze kilka lat temu u stóp postaci zapalali świece. Gwatemalscy Indianie to potomkowie tych Majów, którzy wzniesli niegdyś w Ameryce wspaniałe świątynie i piramidy. Wedle pradawnych wierzeń tego ludu materia była uduchowiona, tak jak stela z El Baul, zawierająca *mana*.

Irytujący jest ten pysk na zewnątrz hełmu. Moi oponenci zaprotestują gromko. Istoty pozaziemskie nie mają zwierzęcych pysków, a poza tym nie tworzą i nie zostawiają na Ziemi żadnych rzeźb.

Po raz kolejny powtarzam, że dłutem nie posługiwała się istota pozaziemska! Rzeźbiarz, który uwiecznił „boga” w hełmie, dresie i z rekwizytami technicznymi, nie wiedział, kogo przedstawia. Ujrzał tę osobliwą istotę, zjawisko z Kosmosu, które wywarło na nim wielkie wrażenie. Nie znając techniki, przedstawił je tak, jak je widział. Wszyscy dawni rzeźbiarze postępowali, moim zdaniem, w ten sposób: samolot zamieniał się w ptaka, koparka na gąsienicach w prehistoryczne zwierzę z baśni, broń laserowa w błyskawicę w rękę boga, a hełm w maskę o absurdalnym wyglądzie.

Błądząc myślami

Z jednej ze ścian na Monte Alban w Meksyku pozdrawia nas istota z głową słonia, ale o ludzkim ciele. Jest w spodniach, łopocących nad obutymi stopami, rękoma obsługuje jakieś urządzenie. Ludzie nigdy nie miewali głowy słonia, wokół której na dobitkę lśni świetlisty wieniec.

Monte Alban, stolicę i ośrodek obrzędowy Zapoteków, wraz z budowlami datuje się na około 600-100 r. prz. Chr. Tylko skąd Zapoteci wiedzieli o słoniach? Żyły one, jak twierdzi św. Nauka, wyłącznie w Afryce i Azji. Kiedy mi się mówi - a nie ma nic tak głupiego, żeby nie można było tego zaproponować - że słonie albo mamuty przyszły przed mniej więcej 12 000-15 000 lat do Ameryki przez Cieśninę Beringa, to Monte Alban należałoby w konsekwencji datować - proszę bardzo! - na 12 000 r. prz. Chr. Nie można mieć jednocześnie słoni i 100 roku przed Chrystusem! Zgoda! Słoni nie było. Jeśli jednak na ścianach Monte Alban widnieją wizerunki słoni, to dawni kamieniarze rzeźbili coś, czego nie znali.

Ale przecież czytałem - przysięgam! - że faraon Ramzes III (l 195-1164 prz. Chr.) wysłał z Egiptu do Meksyku flotę. Tak wizerunki słoni pokonały Wielką Wodę. Do kroćset! Słonie Ramzesa w Meksyku! Są nawet archeolodzy, którzy w południowoamerykańskich wyobrażeniach trąb wcale nie widzą słoni, tylko wymarły gatunek ptaków [2]. Ptak z trąbą. Nieźle! Niech sobie ci panowie kupią okulary!

Żywię podejrzenie, że istoty z trąbami nie są ani słoniami, ani ptakami. W Muzeum Antropologicznym w stolicy Meksyku stałem przed potężną, klęczącą postacią o szerokiej, płaskiej głowie z szeroko rozstawionymi, wielkimi oczami. Ze środka głowy wychodzi trąba, znikająca w dziwnym guzie na piersi.

Ktoś, kto uzna to monstrum za słonia, musi zaakceptować prawdopodobieństwo, że są to słonie nie z tej Ziemi. Ziemskie bowiem wyglądają zupełnie inaczej,

W Tikal w Gwatemali, w trawie między piramidami tkwi kamienna rzeźba, licząca sobie tysiące lat. Wyraźne niegdyś kształty zatarły się pod wpływem wiatrów i deszczy. Jeśli się jej jednak dokładnie przyjrzeć, można dostrzec zarysy postaci. Ona również miała skrzyneczkę na plecach albo na piersi. Nadal widać koło zębate, od którego trąba - czy może przewód - biegnie do głowy postaci. Dziwne?

Podobno Majowie nie znali koła. Ta nie udowodniona hipoteza opiera się na spostrzeżeniu, że w świątyniach i na stelach Majów nie ma wyobrażeń koła. Gdyby ten sposób myślenia przenieść na wszystkie przekazy, wówczas istniałoby tylko to, co w nich przedstawiono; strasznie prostacka metoda polegająca na lekceważeniu i niedocenianiu ludów, kultur i cywilizacji. Wbrew uczonemu mniemaniu odważę się wysunąć przypuszczenie, że wizerunków tacek czy wozów nie było dlatego, że stanowiły *tabu*.

Mój pracowity przyjaciel, dr Gene Phillips, sfotografował w ruinach Copan w Hondurasie dwa doskonale koła zębate, uwiecznione w kamieniu. Od osi ku obręczy, w równych odstępach, biegną szprychy. Zewnętrzna strona obręczy jest naszpikowana zębami. Sensacyjne odkrycie!

Ponieważ w żadnym razie nie są to koła zębate, to czekam z uśmiechem rozkoszy na wieczór, kiedy jakiś niezwykle mądry telewizyjny profesorek wychrypi w cierpliwy ekran, że jest to szczeka boga deszczu, ostre zęby patrona chłopów uprawiających kukurydzę albo wiązka sznurowadeł arcykapłana. „Granice między arogancją a ignorancją są płynne”, powiedział kiedyś Alfred Polgar.

Odrestaurowane ruiny Copan to skarbnica dla kogoś, kto ma oczy otwarte. Archeolog-hobbysta, dr Gene Phillips, adwokat z Chicago, niejako z racji swojego zawodu ma oczy otwarte stale. Zauważył więc - aparat fotograficzny zaś utrwalił jego spostrzeżenie - między ruinami murów świątyni dwa popiersia, które, ponieważ nie pasowały do żadnego schematu, nie znalazły się w muzeum. Popiersia mają spadające na ramiona szerokie „ślinaki” z dużymi otworami do zakładania przez głowę. Ze śliniaka zwisa prostokąt 50 cm długości i 20 cm szerokości. Znow widać zarysy jakiejś skrzynki. Sfatygowana postać - ręce zgięte w łokciach, dłonie prawie zaciśnięte w pięści – porusza nie istniejące już dziś dźwignie, znajdujące się niegdyś na wysokości skrzynki.

Nie ma co dyskutować na temat dających się uzasadnić w tak różnorodny sposób wyobrażeń natury technicznej. Otwarta pozostaje najwyżej kwestia, jaką technikę uwieczniono w kamieniu.

Kilkaset metrów od popiersi, w niewielkim muzeum w centrum ruin Copan, stoi kamienne popiersie ze wspaniale zachowaną głową. Postać ta nie jest może tak urocza jak Wenus z Milo, ale, podobnie jak ona, nie ma rąk. Na szelkach spodni wisi coś przypominającego niewielką ręczną harmonię. Harmonia ta ma w środku bulajowate oko z dwiema skrzyżowanymi belkami. Archeologia maistyczna wie, że są to hieroglify, znaki pisma. Ale tego znaku odczytać się nie udało. To *coś* można więc też uznać za stosowaną na statkach lampę do nadawania alfabetem Morse'a, a nawet za niewielki silnik! Istotnie, austriacki fizyk, Friedrich Egger, zainspirowany tym „hieroglifem”, skonstruował i opatentował bardzo praktyczny, niewielki silnik z tłokiem obrotowym. Tak, nie można dopuścić, żeby obowiązujące dogmaty zaklejały nam umysł.

El astronauta!

Zwróciłem się do indiańskich chłopców, którzy zgromadziwszy się koło mnie podziwiali aparaty fotograficzne i mnie, stojącego tak długo i w takim skupieniu przed zagadkową stelą. Wskazując na zbiornik i hełm, spytałem:

- Co to jest?

- *El astronauta!* - odpowiedział najstarszy z chłopców, jak gdyby było to oczywiste. Uśmiechnąłem się.

- A dlaczego ten astronauta trzyma kule w rękach, na których ma rękawice bokserskie?

- Nie widzi pan, że to bóg? - Chłopiec spojrzał na mnie ze zdziwieniem, a jego ciemnobrązowe oczy pociemniały jeszcze bardziej. - To jest bóg, a bóg zawsze jest *un misterio!*

Tak, to naprawdę zagadkowe.

Pragnę z całego serca, aby te dzieci zachowały w sobie umiejętność niczym nie skrepowanej obserwacji, nawet jeśli zachodni specjaliści w dziedzinie krajów rozwijających się będą błędnego zdania, że Indianie staną się szczęśliwsi, jeśli umożliwi się im studia w zagranicznych szkołach wyższych. Stracą swoją tożsamość, jeśli wyrwie się ich z kręgu własnej kultury. Może zaczną robić różne rewolucyjki, ale nieodwołalnie stracą szczęście, wynikające z prostoty myśli.

Pomyłka

Tak, jak to było uzgodnione, 16 sierpnia siedziałem o umówionej godzinie w hallu hotelu Sheraton w Limie, czekając na pułkownika Omara Chioiniego. Jak oficerowi przystoi, punktualnie z wybicciem dwunastej wśliznął się przez obrotowe drzwi; nic się nie zmienił od czasu, kiedy widziałem go ostatni raz przed laty. *Gentleman*, mniej więcej sześćdziesięcioletni, wysoki, ze szpakowatą brodą i wypielegnowanymi wąsami, pod ciemnymi brwiami mimiczne zmarszczki wokół oczu od częstego uśmiechania się. Kiedy stanął przede mną, w dyskretnym ciemnoszarym moherze, białej koszuli, z granatowym krawatem, można by go wziąć za bankiera z Wall Street albo z londyńskiego City, a nie za oficera lotnictwa.

Powitanie było gwałtowne, połączone z obowiązkowym południowoamerykańskim klepaniem się po plecach i obejmowaniem, ale na szczęście bez obrzydliwych pocałunków, typowych dla dostojników z Kremla.

Usiedliśmy przy marmurowym stoliku i zamówiliśmy miejscowy napój, *pisco-sour*. Jest to rodzaj *brandy*, produkowanej w okolicach miasteczka Pisco na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Do *pisco-sour* dodaje się cytryny, cukru, trochę lodu i miesza wszystko w shakerze. Ta mlecznozielona, kwaskowata mieszanka, do której na koniec dolewa się gorzkiej nalewki na agnosturze, jest ulubionym tu wytrawnym napojem.

- Przygotowałem wszystko - powiedział pułkownik, gdy opowiedzieliśmy sobie nowinki z życia prywatnego. - Jutro o szóstej rano będziemy mieli landrovera, tak więc, jeśli nic się nie stanie, wrócisz za cztery dni. Będzie ci towarzyszył mój przyjaciel, Federico Falconi, doświadczony archeolog. Bardzo dobrze zna *la muralla*...

- ...*la muralla* to znaczy mur, nieprawdaż? - Coś zaczęło mi świtać, uświadomiłem sobie swój błąd.

- Oczywiście! - odparł Chioini. - Przecież to chciałeś zobaczyć.

Do kłopotów jestem przyzwyczajony, pomyłka zdenerwowała mnie więc, ale nie zwała z nóg, zbyt często bowiem zdarzało mi się w obcych krajach, nawet po najdokładniejszym przygotowaniu wyprawy, stawać przed koniecznością wyczerpującego wyjaśniania na miejscu, o co mi naprawdę chodzi. Pułkownik i archeolog przypuszczali, że marzę o tym, aby zobaczyć wielki, słynny mur peruwiański. Tylko spokojnie, Eryku, mawiam

sobie w takich chwilach. Z praktycznego neseserka Swissair wygrzebałem obie fotografie z „National Geographic Magazine” i wskazując na perforowane ciemne pasmo biegnące przez góry i doliny, powiedziałem:

- *Amigo*, to chciałbym zobaczyć! Mur już znam.

Pułkownik przez chwilę skubał nerwowo wąsy, potem zagryzł wargi, poprosił o wybaczenie za pomyłkę, wstał i podszedł do jednej z kabin telefonicznych obok recepcji. Po chwili wrócił z wieścią, że odwołał landrovera i archeologów. Starał się też złapać architekta Carlosa Millę, ale tylko dowiedział się od jego żony, że Carlos jest w ten weekend nieosiągalny. Można będzie z nim porozmawiać dopiero w poniedziałek. Na pocieszenie wysłuchałem następującego oświadczenia: Milla wie o każdej osobliwości archeologicznej w Peru, powiedział pułkownik, zna nie tylko archeologów oficjalnych, legalnych, lecz również nielegalnych, plądrujących groby oraz paserów, jeśli więc ktoś mógłby mi coś na ten temat powiedzieć, to tylko on. Niech Bóg ma go w swojej opiece.

Nie miałem najmniejszej ochoty czekać na niego w Limie. Już tu byłem. Znam to miasto i wartościowe zbiory w jego muzeach. Zwiedzałem liczącą 350 lat katedrę, gdzie są wspaniałe rzeźbione stalle, uważane za najpiękniejsze w Ameryce. Francisco Pizarro, Hiszpan, zdobywca Peru, położył kamień węgielny pod jej budowę, świątynię poświęcono w 1624 roku. Liczne trzęsienia ziemi oraz styl, inny przy każdej odbudowie, nadały katedrze charakter architektonicznego kalendarza, w którym widać elementy gotyckie, barokowe i klasycystyczne. W Limie podziwiałem też okazałe domy z czasów kolonialnych z obszernymi dziedzińcami wewnętrznymi, skarbami sztuki rzeźbionymi w drewnie miejscowych gatunków drzew z dżungli, wykonane z lanego żelaza, kutymi i cyzelowanymi. Wiem, że w śródmieściu jest Plaža de Armas, gdzie Francisco Pizarro wykreślił *Anno Domini* 1535 plan miasta mieczem na ziemi. Nie, gdybym poza czekaniem nie miał nic lepszego do roboty, ruchliwe półtoramilionowe miasto działałoby mi na nerwy. Pułkownik Chioini zrozumiał moje obiekcje i zaoferował, że będzie mnie woził po swojej pięknej ojczyźnie.

- Polecę do La Paź! - powiedziałem oschle.

- Znasz to miasto równie dobrze jak Limę. Po co chcesz tam lecieć?

- Zobaczyć ruiny Puma-Punku - oświadczyłem, a po minie Chioi-niego zrozumiałem, że to pojęcie nic mu nie mówi.

- Aha - odparł. - A kiedy się spotkamy?

- Proponuję za tydzień, dwudziestego drugiego, o tej samej porze, w tym samym miejscu. Zgoda?

Pułkownik przepił do mnie resztką *pisco-sour*: ~ *Okay!*

Puma-Punku, cel wart podróży

Nazajutrz o 7³⁰ rano wyleciałem z Limy samolotem Lloyd Boliyiana i o 10³⁰ wylądowałem w La Paź.

Znów zaczęły się problemy ze znalezieniem łazika. Także tu oferta firm wynajmujących samochody ograniczała się do niedużych wozów europejskich albo pożerających hektolitry benzyny amerykańskich krażowników szos. Wszystkie są poobijane, wielokrotnie naprawiane, wielokrotnie rozbierane; w istocie są to wraki, nadające się na złom.

W Boliwii sprawny samochód to nieosiągalny skarb, równie rzadki jak własny domek. Jeśli w La Paź zobaczy się jadący bezgłośnie, lśniący samochód, to można być pewnym, że jakiś dyplomata przyjechał zwiedzić La Paź z Sucre, które jest konstytucyjną stolicą Boliwii.

Wybrałem volkswagena, rocznik 1969, 264 000 kilometrów na liczniku, którego stan był zapewne kilkakrotnie „modyfikowany”. Z minionych lat pamiętałem jeszcze prostą jak strzeżoną, nie asfaltowaną drogę, biegnącą po bezdrzewnej wyżynie 4000 m n.p.m. Z punktu widzenia Szwajcara, przyzwyczajonego do Alp, jest tu tylko jakieś niewielkie wzgórze, które Boliwijczycy nazywają przełęczą. Na najbardziej stromym odcinku mój volkswagen jednak zaczął się buntować. W rozrzedzonym, ubogim w tlen powietrzu tłoki nie przekazywały na wał korbowy pełnej mocy. Zastosowałem jednak stary i wypróbowany sposób. Zawróciłem i włączyłem wsteczny bieg. W ten sposób dzielny volkswagen pokonał ostatnie kilkaset metrów różnicy wzniesień, choć była to jazda piekielna, wciąż na skraju przepaści, do której spychały mnie przejeżdżające autobusy, prawie niewidoczne w chmurach kurzu. Po obu stronach jezdni wałęsają się watahy bezpieczeństwa psów, kundli przypominających nieco wilki. Miejscowi nazywają je *los perdidos*, zagubione. Są tak chude, że na ich widok każdemu przyjacielowi zwierząt ściska się serce. *Losperdidos* całymi watahami wędrują, polują, wyją tak, że ciarki przechodzą po plecach, a nocą są niebezpieczne nawet dla ludzi.

Biedni jak bezpańskie psy są też Indianie z wyżyny. W trakcie długich wędrówek przeganiają parę kóz albo owiec na nędzne pastwiska. Patrząc szklanym wzrokiem, siedzą, przycupnąwszy na skraju drogi. Zarówno tu, jak i na ulicach La Paź, w zatłoczonych autobusach, żują liście zerwane z krasnodrzewu pospolitego, znanego lepiej jako krzew kokainowy, pochodzący z Andów. Krasnodrzew, który ma delikatne liście i żółtawe pęki kwiatów, uprawia się na plantacjach. Kokaina jest najważniejszym z alkaloidów, zawartych w liściach krasnodrzewu, mających gorzki smak i znieczulających czasowo nerwy języka. Pierwsi Europejczycy, którzy

dotarli w rejon Andów, relacjonowali, że żucie koki daje tubylcom siłę. Medycyna dowiodła jednak, że przyjmowanie dużych ilości kokainy przez łykanie, żucie albo wdychanie po początkowo dobrym okresie samopoczucia prowadzi do rozstroju nerwowego. Narkotyk ten, dostępny na każdym targu po bardzo niskiej cenie, pozwala Indianom znosić biedę, z której nie ma wyjścia. Kiedy zagadną Indianina, ten, zanim odpowie, musi powrócić najpierw ze świata marzeń do rzeczywistości.

Po dwóch i pół godzinie minąłem wioskę Tiahuanaco, gdzie są sporne ruiny. O miejscowości tej pisało wielu autorów, ja również. Od głównej drogi w lewo, na południowy wschód, odchodzi wąska droga polna, biegnąca przez opuszczoną, nie używaną i zarosniętą linię kolejową z La Paź nad Jezioro Titicaca. Wznosi się tu wzgórze,

porośnięte trawą i ogrodzone siatką. W literaturze fachowej wzniesienie to określa się mianem „piramidy”, chociaż nie widać tam nic, co by przypominało piramidę.

U stóp wzgórza leży monolit, jakby porzucony przez olbrzyma. Szwajcarski pisarz-podróżnik, Johann Jakob von Tschudi, który widział kamień w 1869 roku, tak go opisał:

„Na drodze do Puma-Punku trafiliśmy na szczególny monolit, leżący na polu, a mający 155 cm wysokości i 162 cm szerokości, u podstawy zaś 52 cm, a na górze 45 cm grubości. Monolit ów ma dwa rzędy jakby przegródek. U dołu są dwie przegródki duże, rozmieszczone po bokach, podłużne, między nimi dwie mniejsze, kwadratowe, jedna nad drugą, u dołu zaś, oddzielone od dolnych gzymsem, cztery małe prostokątne. Monolit znany jest jako *El Escorito*, biurko” [3].

Ten precyzyjnie obrobiony blok andezytu został zapewne ochrzczone przez jakiegoś uczonego, któremu przypomniało się własne biurko z przegródkami i szufladami. W literaturze nie można do dziś znaleźć ani jednej propozycji, co sądzić o tym dziele sztuki, jakie było jego przeznaczenie. Ale na pewno nie było to biurko.

Bez wątplenia wykonano je według projektu. Są tam proporcjonalne prostokąty różnej wielkości, z prostokątnymi, ostro zakończonymi obramowaniami, z wąskimi gzymсами, z doskonale obrobionymi odsadkami. Na pewno było w tym czasie jakieś pendant, do którego przedmiot ten pasował dokładnie, co do milimetra, idealnie. Bez projektu praca tego rodzaju byłaby na nic. Aby sporządzić plan, trzeba jednak dysponować odpowiednimi środkami, trzeba znać pismo.

Zagadka Andów

Powyżej wzgórza naszym oczom ukazuje się zagadka Andów: Puma-Punku, kamienny twór o niewiarygodnej potędze, różnorodności i precyzji. To, co tu jest, nie zostało nigdy zrozumiane, należycie ocenione w żadnej ze znanych mi *współczesnych* książek. W najnowszym, wielkim kompendium na temat Ameryki Południowej Puma-Punku zbyt zaledwie kilku zdaniem:

„W południowo-zachodnim wierzchołku obszaru Tiahuanaco wznosi się wielka piramida, zwana Puma-Punku. Jej najwyższą platformę tworzą dwie płaszczyzny, leżące na różnej wysokości. Wchodzi się tam po wielu schodach. Na jednej z platform stała zapewne świątynia, do której prowadziły trzy portale w stylu Bramy Słońca” [4].

Opis dość skąpy. Trochę tak, jakby Berliner Philharmoniker zamiast całej „Eroiki” odegrali tylko szesnaście taktów tego utworu. Poświęćmy Puma-Punku naszą całą uwagę!

Pierwsze informacje o tej budowli przywieźli ze Starego Świata konkwistadorzy. W połowie XVI wieku Pedro de Cieza określił Puma-Punku jako jedno miejsce budowy „z gigantycznymi posągami i ogromnym tarasem. Nikt nie widział tego niesamowitego miejsca w innym stanie, jak tylko w ruinie” [5].

Jego krajan, Antonio de Castro y del Castillo, który w 1651 roku był biskupem La Paź, napisał:

„A choć sądzono drzewiej, iż ruiny owe dziełem są Inków, niczym twierdza na wypadek prowadzenia przez nich wojen, teraz wszakże uznano, iż przeciwnie; są to ruiny *budowli sprzed potopu* [...]. Gdybyż to było dzieło Inków na równinie, wody pozbawionej, a kopane tak głęboko, to Hiszpanie nie potrafiliby nigdy stworzyć budowli tak cudownej i o takiej piękności. Tym, co najbardziej podziwiam, są tak wspaniale dopasowane do siebie kamienie [...]” [6]. W pierwszej połowie XIX wieku francuski paleontolog Alcide Charles Yictor d'Orbigny (1802-1857) podróżował po Ameryce Południowej. Napisał, że w Puma-Punku są monumentalne bramy, stojące na poziomych kamiennych płytach. Podał, że jedna z tych monolitycznych platform ma 40 metrów długości. Dziś nie ma już tych płyt, połamały się, pokruszyły, rozpadły, zniszczone zębem czasu. To jednak, co pozostało, jest wystarczająco monumentalne, aby wzbudzać respekt [7].

Jestem „kolekcjonerem” prehistorycznych budowli, trudno więc mnie czymkolwiek zadziwić, ale Puma-Punku, to wspaniałe świadectwo innej epoki, odebrało mi głos. Leżą tam potężne bryły granitu, andezytu, diorytu i szarzielonego plutonu, nadzwyczajnej twardości i wytrzymałości. Są porzucane chaotycznie, wydaje się jednak, że niegdyś panował tu porządek. Można się tylko dziwić, jak precyzyjnie obrobione, oszlifowane i wypolerowane są te ciosy: jakby dostarczono je z zakładu obróbki kamienia, dysponującego nowoczesnymi maszynami, frezami i wiertłami z wysokogatunkowej stali. Wykonane z niezwykłą dokładnością wyłobienia, mające 6 mm szerokości i 12 mm głębokości, biegną -jak według linii - przez pięciometrowe

ciosy diorytu. Gniazda na czopy pozwalały na łączenie tych olbrzymów z innymi monolitami. Metalowe klamry wiązały te kamienne olbrzymy w obiekt, wymykający się dziś wszelkim myślom o rekonstrukcji.

Fundamentalna praca o Puma-Punku

Drezdeński archeolog **Max Uhle** (1856-1944) jest uważany za „ojca archeologii peruwiańskiej”, określa się go nawet mianem „drugiego odkrywcy Peru” [8]. W Królewskim Muzeum Zoologicznym i Antropologiczno-Etnograficznym Uhle poznał geologa i badacza-podróżnika Alphonsa Stiibla (1835-1904), który wydał trzytomowe dzieło o wykopaliskach archeologicznych w Peru. Po wieloletnich wspólnych badaniach Uhle i Stubel wydali pracę „Ruiny Tiahuanaco na wyżynie starożytnego Peru”. Księga ta ma 58 cm wysokości, 38 cm szerokości, waży dziesięć kilo i zawiera najdoskonalsze po dziś dzień szczegółowe rysunki i dokładne, co do milimetra, dane Puma-Punku. Szkice przedstawione w mojej książce zaczerpnąłem z tego właśnie dzieła, wydanego w Lipsku w 1892 roku.

Puma-Punku zafascynowało obu uczonych. Stanąwszy przed zagadką, postanowili dokładnie zmierzyć oraz sporządzić i zabrać do kraju szkice obiektu. Można sobie wyobrazić, że skłoniła ich do tego nie tylko naukowa pedanteria, lecz również przekonanie, że nikt by im nie uwierzył, w to, co widzieli: zbyt monumentalne były te dzieła. Stubel pisał:

„Najdziwniejszy fragment ruin Puma-Punku tworzą znajdujące się tu jeszcze »platformy« i porozrzucane między nimi całe lub spękane bloki kamienia, niezwykle różnorodne pod względem kształtu, wielkości i sposobów obróbki. Są tu kamienie w kształcie płyty, równo obrobione płyty z lawy, mające niewielkie, bramkowate wyrobienia, kamienie z nieckowatymi wyżłobieniami, kamienie z ornamentami krzyżowymi, z niewielkimi wnękami oraz z bardzo lub niewiele wystającymi listwami, i niezliczone inne kształty. Obecny stan ruin świadczy - z wyjątkiem trzech wielkich płyt głównych, leżących na jednej linii - o wielkiej nieregularności. Trzy zaś tak zwane płyty główne leżą w linii północ-południe, zajmując miejsce mające 43 metry długości i około 7 metrów szerokości” [9]. Max Uhle był przypadkowym świadkiem ćwiczeń w strzelaniu, jakie urządziła sobie tu jednostka boliwijskiego wojska. Gdyby budowniczy Puma-Punku nie planowali, że budowle te przetrwają wieczność, pozostałoby po nich ledwie rumowisko, a może nawet i nie.

Puma-Punku znaczy „lwia brama”. Ale nie widać tu już żadnej bramy. Nic dziwnego, bo Hiszpanie, a po nich Indianie, rozbijali wszystko na kawałki i wynosili, co tylko dawało się stąd wynieść czy wywlec. Ale gdyby nawet Hiszpanie, Indianie i boliwijskie wojsko zaczęły razem rabować Puma-Punku, to i tak nie udałoby się im ruszyć olbrzymich, obrobionych płyt. Czy dziś można by to zrobić?

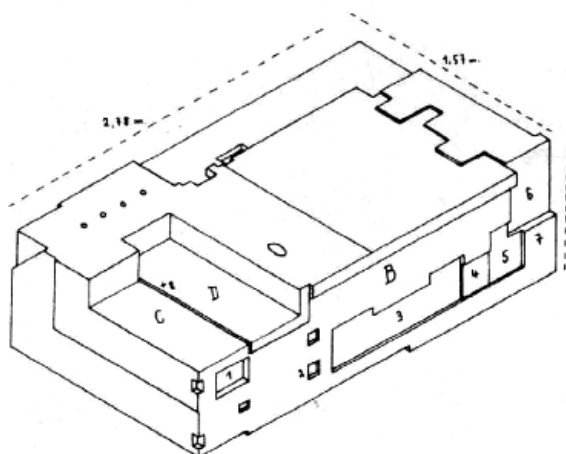
W 1964 roku świątynię Abu Simbel pocięto wprawdzie na kawałki, które ponumerowano i przeniesiono 60 metrów wyżej, gdzie złożono je jak gigantyczne *puzzle* z pomocą najnowocześniejszych osiągnięć ówczesnej techniki. W Puma-Punku nie przeprowadzano takiej próby. Nadal nie wiadomo, jak głęboko w gruncie tkwią andezytowe i diorytowe bloki i płyty. Sprowadzone tu koparki nie próbowały dotychczas - bogom niech będą dzięki! - podnosić wielkich kamiennych bloków. Gdyby udało się je poruszyć, rozbito by je wybuchami i znalazłyby natychmiast zastosowanie jako trwałe i tani materiał do budowy pompatycznych biurów albo domów towarowych. W najlepszym razie gorliwi archeolodzy wpasowałiby je w rekonstruowane mury, gdzie ich dotąd nie było. Mimo to okolica ta sprawia, wedle opisu Siegfrieda Hubera, wrażenie zdumiewająco ruchliwego placu budowy: „Miejsce to wygląda jak warsztat kamieniarski, w którym mistrzowie i czeladnicy dopiero co odeszli od pracy, aby zjeść podwieczorek, wkrótce zaś na powrót do niej przystąpią, wzięwszy młoty i dłuta do ręki. Wydaje się, że nieogarniona liczba po mistrzowsku ociosanego i wygładzonego materiału, płyt, bloków, kamieni młyńskich, fragmentów fryzów, kamiennych siedzisk, bram czeka tutaj na transport” [10].

Kiedy przyjrzymy się temu, co jest w Puma-Punku, zagadką będzie problem transportu tych elementów. Alcide d'Orbigny pisze, że znajdujące się dziś w trzech kawałach płyty główne widział jeszcze w całości, kiedy miały ponad 40 m każda. Kamienny klocek długości 40 m i 7 m szerokości, tkwiący nie wiadomo jak głęboko, jest mniej więcej wielkości jedenastopiętrowego budynku. Ale w stanie surowym był zapewne znacznie większy i cięższy, bo przecież nadawano mu kształt, obrabiano go. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. W Puma-Punku nie ma jednak odpadów po obróbce kamienia. Reasumując; kamienne bloki o wadze kilkuset tysięcy ton transportowano na bezleśną wyżynę, a ponieważ nie dysponowano dzisiejszymi platformami niskopodwoziowymi i dźwigami, robiono to siłą ludzkich mięśni. Kto bezmyślnie twierdzi, że wszystko da się zrobić, niech pomyśli, że 1000 ton to 1 000 000 kilogramów i że w Puma-Punku przemieszczano bloki ważące po wiele tysięcy ton! Czy pod te kamienne kolosy podkładano drewniane rolki? Na takie twierdzenie mogą się powążyć tylko ludzie, którzy jak ślepcy mówią o kolorach. Drewniane rolki uległyby zgnieceniu, popękałyby! Gdyby zaś brygady transportowe, stękając, próbowały wnieść ten straszny ciężar na górę, a nadeszłaby choć jedna tropikalna ulewa, to kamienne bloki zapadłyby się w grząskiej ziemi jak rodzyнки w cieście. Ale mimo wszystko uporano się z transportem, w przeciwnym bowiem razie w Puma-Punku nie byłoby dziś kamiennych płyt i ciosów. Jak to zrobiono, pozostaje zagadką bez przekonującego rozwiązania. Równie tajemniczą sprawą jak transport jest zdumiewająca dokładność obróbki.

Przykład 1:

Mamy przed sobą prostokątny blok kamienia długości 2,78 m, szerokości 1,57 m i średniej wysokości 88 cm.

Blok ten jest zamknięty sześcioma płaszczyznami podstawowymi: górną, dolną i czterema bokami. Płaszczyzny te z kolei są podzielone na mniejsze i większe, przy czym każda znajduje się na innej wysokości. Na boku B znajdują się płaszczyzny 1.-7., różnica wysokości od płaszczyzny sąsiedniej wynosi 1 cm. Płaszczyzna 6. jest oddzielona od 7. o 5 cm, a wystaje z jednej strony jak nadbita listwa grubości 4 cm. Dokładnie pociągnięta,



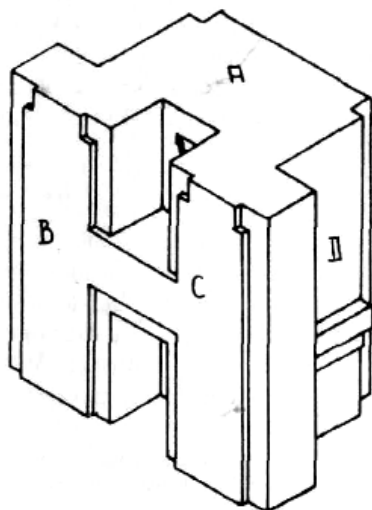
stosunkowo wąska, bo mająca tylko 2 cm szerokości listwa 8. ogranicza płaszczyznę C od D. Cały blok jest klinem, jego część tylna (na rysunku u góry) jest węższa niż przednia.

Dziś do wykonania roboty tak precyzyjnej -jeśli w ogóle zgodziłby ją jakiś kamieniarz - zastosowano by frezy i wiertła pracujące z wielką prędkością obrotową, chłodzone wodą albo specjalną cieczą. Do frezowania i wiercenia stosowano by stalowe szablony. Pracę szczególnie utrudniałaby twardość diorytu, porównywalna do twardości granitu. Pytanie za pięć punktów: Jakich narzędzi używali kamieniarze z Puma-Punku?

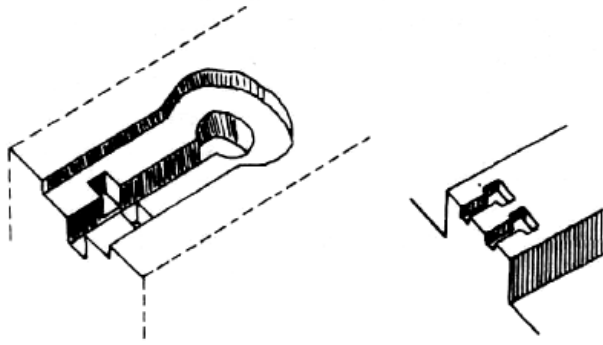
Przykład 2:

Kolejny blok, wykonany z lawy andezytowej, ma metr wysokości i metr szerokości w najszerszym miejscu. Widoczne płaszczyzny oznaczyłem literami A, B, C i D. Między płaszczyznami B a C wydłutowano jedno nad drugim dwa wgłębienia, w których dnie wycięto niewielkie prostokąty, precyzyjne prostokątne kadry głębokości 8 mm. Te niewielkie kształty przywodzą na myśl zamki karabinu, zaskakujące w przeznaczonym do tego miejscu.

Łatwo powiedzieć, trudno zrobić. Poza tym, że poszczególne elementy zaskakują na siebie, niezbędne były jeszcze jakieś urządzenia



Ten rysunek techniczny przedstawia kształt bloku z lawy andezytowej



Niewielkie wyrobienia po drugiej stronie **kamienia przywodzą** na myśl **zamki dzisiejszych** karabinów uniemożliwiające uszkodzenie kamienia przy „zamykaniu” i „otwieraniu” elementów. Rolki z drewna czy dźwignia - nieistotne z jakiego materiału - nie wystarczyłyby przecież, żeby wielotonowe bloki „zamykały się” jak drzwi sejfów. Cały ten proces odbywał się zapewne w powietrzu, nie zaś gdy prostopadłościanny leżały na ziemi. W przypadku tak skomplikowanego systemu płaszczyzn o różnych wysokościach - prostokątów, kwadratów, listew i gzymsów - nie dałoby się opuścić bloków na linach z rusztowania na element leżący na ziemi. Trzeba je było jeszcze obracać, żeby elementy łączące trafiły na swoje miejsce. Dzisiejsze betonowe prefabrykаты są mniej skomplikowane, stosunkowo prymitywniejsze od wytworów rzemiosła Puma-Punku. Jeśli takie w ogóle istniało...

Przykład 3:

Zdumiewająco nietknięty przez tysiąclecia, blok diorytu wystaje na 1,10 m z żółtobrazowej ziemi. Osiem i pół centymetra od wypolerowanej płaszczyzny przez jeden z jego boków przebiega wyłobienie, mające 3 mm szerokości i 2,5 mm głębokości. Wywiercono w nim — jak diamentowym wiertłem - precyzyjne półtoramilimetrowe otwory w czterocentymetrowych odstępach. Stosując narzędzia kamienne lub drewniane, albo wiertła z najtwardszych nawet kości **zwierzęcych, nie** udało się osiągnąć takiej precyzji.

Przykład 4:

W andezytowy blok o wymiarach 7,81 x 5,07 m wpuszczono duży prostokąt na głębokość 2,5 mm. Tu nie było fuszerki, nie zdarzały się wybrakowane miejsca, maskowane później tynkiem czy zaprawą. Było to arcydzieło sztuki kamieniarskiej. Także zagłębienie wskazuje, że poszczególne płyty łączono.

Przykład 5:

Budowniczy Puma-Punku wiedzieli nie tylko o kątach prostych, oprócz linijki umieli się posługiwać cyrklem. Widziałem i sfotografowałem koła, wyfrezowane z kamienia, mające 36 cm średnicy.

Bilans okresowy

Puma-Punku jest dowodem na poparcie moich najistotniejszych hipotez, dotyczących prehistorycznych budowli: budowli tych nie mogło wznieść preinkaskie plemię Ajmarów, ponieważ:

- stosowana technika przewyższała umiejętności plemion preinkaskich;
- pracowano tu według planu! Plan zaś całości opierał się na pomiarach geometrycznych;
- wykończenie detali świadczy o stosowaniu nowoczesnej techniki;
- problem transportu takich ilości kamienia: budowniczy musieli znać ich ciężar, brali również w rachubę wytrzymałość i kruchość materiału;
- planowanie w tej skali wymaga znajomości *pisma*. Trzeba było przemyśleć, wyliczyć i utrwalić tak wiele różnych danych, że nie poradziłaby z tym sobie tak fantastyczna „kultura pamięciowa” (Stonehenge!);
- hipotezę, że pokazał tu pazurki jakiś geniusz, architekt rodzący się raz na tysiąc lat, można odrzucić. W przypadku tak wielu placów budowy, konieczności zorganizowania na tak wielką skalę transportu, obróbki, wydawania poleceń pracownikom etc. skapitulowałby nawet geniusz, pomijając fakt, że - gdyby pracowali tu ludzie - do zakończenia budowy nie starczyłoby jednego ludzkiego życia, a nawet życia kilku pokoleń.

Skutek:

Jeśli istniały plany budowy, to budowniczy musieli znać pismo. Ale - w tym miejscu archeolodzy i etnografowie są zdumiewająco zgodni - Ajmarowie pisma nie znali. Należy ich więc wyeliminować z grona potencjalnych budowniczych!

Nie ma projektu bez rozrysowania szczegółów! Robiono tak i w Puma-Punku. Nawet archeolodzy mówią o „miedzianych klamrach”, które podobno łączyły bloki, wchodząc w „zamki karabinowe”. Miedź jest miękka, w skali twardości Mohsa ma wartość 3, gdy na przykład stal 4,5. Miedzią nie udało się „związać” wielotonowych płyt. Dziwiło to już Johanna Jakoba von Tschudiego:

„Jeszcze bardziej od transportu potężnych płyt kamiennych wprawia nas w zdumienie doskonałość techniczna prac kamieniarskich, zważywszy, że dawni indiańscy rzemieślnicy nie mieli narzędzi z żelaza i że znane im stopy

miedzi i cynku były o wiele za słabe do obróbki granitu. Pozostaje zagadką, jak tego dokonali. Najbardziej prawdopodobna jest hipoteza, że na koniec szlifowano kamienie trąc je kamiennym pyłem albo roślinami zawierającymi krzemionkę [4]. Zdziwienie Tschudiego zdradza, że już w minionym stuleciu rozpaczliwie poszukiwano przekonującego rozwiązania zagadki Puma-Punku. Mączką kamienną i roślinami zawierającymi krzemionkę można było wprawdzie zrobić ostateczny szlif powierzchni, nie dało się jednak na pewno wykonać w twardym kamieniu wyźłobień paromilimetrowej szerokości ani mniejszych i większych kwadratów! Dziś wiadomo, że przynajmniej granit znajdujący się w Puma-Punku był niegdyś wydobywany w Cerro de Skapią koło dzisiejszej Zepity w Peru, odległej o dobre 60 km od ruin budowli. Że 60 km to żadna odległość? Zgoda, ale na równej drodze utrzymanej w dobrym stanie, ta droga jednak, prowadząca przez góry i rzeki, nie miała końca. Wzór jest prosty:

planowanie -|- arytmetyka + geometria + transport + narzędzia z twardego metalu = technika, która dorównuje naszej, a może ją przewyższa.

Długa noc bogów

Indiańskie legendy mówią, że Puma-Punku zostało „wzniesione przez bogów zaledwie w jedną noc” [1], w pracy tej nie uczestniczyli ludzie, bogowie zaś, umiejący latać, zniszczyli własną budowlę, podniósłszy ją, obróciwszy w powietrzu i spuściwszy na ziemię.

Dziś wszystko nadal świadczy o tym, że była to praca wymagająca ogromnej siły. Czy można traktować poważnie ten naiwny przekaz mitologiczny? Czy spadnie nam korona z głowy, jeśli przyznamy, że w tej wspaniałej okolicy, leżącej na wysokości 4000 m w rozrzedzonym powietrzu, uczyniono coś, co nie da się wyjaśnić?

„Czym jest człowiek? W każdym razie nie tym, za co się uważa, czyli koroną stworzenia!” - powiedział pisarz Wilhelm Raabe (1831-1910).

Trzy dni kluczyłem w ruinach, mierząc i fotografując poszczególne monolity oraz nagrywając hasłowo spostrzeżenia na dyktafon. Dwa razy dziennie, o jedenastej, a potem o drugiej po południu, autobus Crillon Tours przywoził do Puma-Punku pół setki turystów, obwieszonych aparatami fotograficznymi. Było wśród nich wielu Amerykanów, niektórzy szepotali coś między sobą. Było widać, że mnie poznają, zapraszali mnie do grupowej fotografii, prosili o autograf. Ostatniego dnia - autobus o drugiej wyrzucał akurat swój ładunek przed wiejskim kościołem w Tiahuanaco - pojawili się koło mnie dwaj Indianie o ponurym wejrzeniu, ubrani w ciemnozielone poncza i w *chullos*, wełniane spiczaste czapki, naciągnięte głęboko na uszy.

- Proszę natychmiast przerwać pomiary - rozkazał mi pierwszy.

- Dlaczego, *senores*? - spytałem.

- Bez pisemnego zezwolenia uniwersytetu z La Paź obcym nie wolno prowadzić tu prac archeologicznych!

Wiedziałem o tym. Namyslałem się przez chwilę, potem wszakże powstrzymałem się przed powiedzeniem Indianom, że 12.2.1975 roku Universidad Boliviana, Grał Jose Ballivian, na Trynidadzie, przyznał mi tytuł doktora *honoris causa*. Kiedy wręczono mi ten dokument, odnosiłem się nieufnie do tego tytułu. Różne doktoraty *honoris causa* przyznawano często ludziom przekazującym tej placówce jakieś darowizny, ja natomiast nie dałem uniwersytetowi złamanego grosza. Podziękowałem za tę godność dopiero, kiedy jej prawdziwość potwierdziło boliwijskie Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Spraw Zagranicznych i ambasada niemiecka. Teraz po raz pierwszy mogłem odnieść z tego tytułu jakieś korzyści, ale tego nie zrobiłem. Spodobała mi się czujność Indian. Co by to było, gdyby każdy turysta czy archeolog--amator wrzucał sobie do plecaka coś na pamiątkę? Odparłem:

- Macie rację, ale ja nie prowadzę prac wykopaliskowych, niczego nie ruszam, tylko mierzę. Czy to jest dozwolone?

No, senior von Daniken! Kazano nam położyć kres pańskiej działalności.

Czyżby wymienił moje nazwisko? Kto mnie zna na tym pustkowiu? Nie udzielałem wywiadu żadnej gazecie. Kto wie, że tu jestem? Taśmę mierniczą musiałem oddać do depozytu, obserwowano mnie, ale pozwolono robić zdjęcia. Komu nie podobało się moje zainteresowanie Puma-Punku? Czy obawiano się natłoku zwiedzających, których skieruje tu moja relacja, tak jak stało się to w Tiahuanaco?

Czego nie pokazuje się turystom w Sacsayhuaman

Wieczorem, w barze na 25. piętrze Hotelu Sheraton w La Paź, gawędziłem przy drinku z młodym małżeństwem z Monachium. Ona studiowała etnografię, on skończył prawo. Przybyli tu z Peru wodolotem kursującym po Jeziorze Titicaca, oboje czytali moje książki, oboje byli rozczarowani tym, co zobaczyli w ciągu dnia, poddawali moje opisy w wątpliwość. Studentka skarciła mnie:

Nad Cuzco widzieliśmy ruiny Sacsayhuaman, ale mimo najlepszych chęci nie udało nam się znaleźć żadnej z pozaziemskich rzeczy, o których pan pisał.

Prawnik dokończył oschle:

- Przewodnik powiedział nam, jak obrabiano skały. Tak samo obrabia się po dziś dzień kamienie w zaułkach

Cuzco!

Stara śpiewka, wieczny błąd! Nawet zespół, kręcący w Sacsayhuaman zdjęcia do mojego filmu „Wspomnienia z przyszłości”, nie znalazł - zapewne nie zadał sobie trudu - opisywanych przeze mnie ruin. Widząc góry kuszących ofert podróży morskich do Ameryki Południowej podejrzewam, że czasem korzysta z nich parę osób znających moje książki. Osoby te są potem równie rozczarowane jak monachijskie małżeństwo. Ze względu na otwierający się worek z podróżami do Ameryki Południowej wytłumaczę, jak dotrzeć do *moich* ruin:

Szanowni państwo, rano - ale nie musi to być wcale skoro świt! -pojadą państwo taksówką do ruin Sacsayhuaman. Proszę polecić kierowcy, żeby pojechał 1,5 km pod górę starą drogą do Pisać. Proszę zatrzymać taksówkę przed pierwszym zakrętem w lewo i zapłacić kierowcy, nawet kiedy będzie protestował. Będzie się starał państwa przekonać, że poczeka. To za drogo i nic nie da.

Teraz proszę spojrzeć w dół, w kierunku inkaskiej twierdzy. Proszę się wspiąć na zaczynające się tuż obok drogi nieduże wzniesienie o splekanych skalach, którego szczyt znajduje się po prawej 200 m wyżej. Trafia państwo do skalnego labiryntu, który nie zasługuje na określenie go mianem „ruin”. Leży tu nieokreślona liczba skal, prostopadłością większe i mniejsze, niewiadome pozostałości jakichś historycznych budowli. Wkrótce odniosą państwo wrażenie, że za pomocą najnowocześniejszych sztuczek technicznych zniszczono całkowicie wznoszącą się tu budowlę.

Przez rozpadliny i grotty proszę się wspiąć na platformy. Nieoczekiwanie, niespodziewanie staną państwo przed kamiennymi olbrzymami wyciętymi ze skały najnowocześniejszymi metodami. Szanowni państwo, proszę się temu dokładnie przyjrzeć, proszę dotknąć tych wypolerowanych betonowych ścian. Wydaje się, że zaledwie wczoraj zdjęto z nich szalunki. Ale państwo się mylą! To nie beton, to granit!

Jeśli nie potrafią się już państwo dziwić, to tutaj umiejętność tę sobie państwo przypomną. Jakby porozrzucane przez żywioly, jaskinie stoją do góry nogami, tunele są poprzerywane i ponasuwane jeden na drugi. Nic nie jest tu, proszę się przyjrzeć, połączone spoiwem, wszystko zrobiono z jednego kawałka, nie ma śladu metalowych klamer, jakie można znaleźć w Puma-Punku, Nie, tu na górze, nad twierdzą Sac-sayhuaman, tą atrakcją turystów, wszystko jest „z jednego odlewu”. Krawędzie dochodzą do siebie pod kątem prostym, a każdy kamienny olbrzym kryje w sobie nowe niespodzianki.

Jeśli zwidzą państwo inkaską twierdzę Sacsayhuaman, zauważą państwo, że prawdziwa sensacja Cuzco, prawdziwa prehistoryczna zagadka, jest tu na górze, za i nad zboczami Sacsayhuaman. Rzadko ktoś tu przychodzi. Na miejsce to zwraca się niewielką uwagę.

Proszę mieć oczy otwarte! Te masy skal stanowią tylko fragment mozaiki nie dającego się ułożyć puzzla. Proszę spojrzeć na mniejsze i większe układy skal na zboczach góry. Proszę tam spokojnie pójść przez nierówne łąki. Nikt państwu nie przeszkodzi, nikt tego nie zabroni. Proszę przejść przez płoty ogradzające pastwiska. Nie stawali mi na przeszkodzie indiańscy rolnicy. Są uprzejmi, a -jeśli to konieczne —parę soli, będących miejscową walutą, zawsze czyni cuda.

Po kilku godzinach wędrowania w przeszłość zrozumieją państwo, że prawie wszystkie skały poddawano obróbce. Żaden wędrowny kaznodzieja-archeolog nie wmówi państwu, że to nasza kochana przyroda wyczarowała prostokątne krawędzie skal, wypolerowała doskonale powierzchnie, dla igraszki porozstawiała po okolicy olbrzymie kamienne fotele, wykuli w skalach kamienne gabloty, stworzyła schody, prowadzące z sufitu na podłogę. Fakt, że stoją państwo „na głowie”, stanowi ostateczny dowód na to, że ten olbrzymi labirynt został kiedyś przewrócony, obrócony wokół własnej osi. Dziś schody są w takiej pozycji, że nie da się nimi przejść. Po obróceniu okażą się pierwszorzędnymi schodami na wysoki parter, a może jeszcze wyżej.

Rzućmy też spojrzenie za kulisy inkaskiej twierdzy! Proszę się odwrócić plecami do tak często fotografowanych murów. Okaże się, że na tej samej wysokości znajdują się obrobione monolity niewiadomego przeznaczenia. Ich dzisiejsze położenie nie ma sensu. Nie ujrzą państwo nic, zupełnie nic, co pasowałoby do obowiązującego schematu: ani porządku, ani łączących się murów, ani ciosów poukładanych jeden na drugim. Chylą się ku sobie tylko płaszczyzny gołej skały, równe załamania kończą się przy schodach, obróconych na opak, zaczynających się przy suficie.

Jeśli zobaczyli państwo to wszystko i jeśli jeszcze raz przeczytają państwo w domu mój opis i obejrzą zdjęcia tego miejsca, to będą państwo zadowoleni, że jednak zeszli z wydeptanej ścieżki dla turystów.

To zaś na temat Sacsayhuaman, czego po powrocie z podróży nie uda się znaleźć w moich książkach, szybko uzupełnię:

Literatura fachowa twierdzi, że skala zwana *Lacco* albo *Kenko Grandę*, w której są nisze, przestrzenie i wejścia do tuneli, była miejscem świętym. Nisze były tronami zmarłych, wszystko zaś należało do magicznego królestwa podziemi. Twierdzi się bezpodstawnie, że dzisiejszy porządek (nieporządek!) całej struktury był formą zamierzoną przez budowniczych!

Garcilaso de la Vega już w 1720 roku pisał, że wielki labirynt, znany dziś pod nazwą *Chingana Grandę*, ciągnięty przez 20 000 robotników w kierunku Sacsayhuaman, wymknął się im spod kontroli i spadając pogrzebał pod sobą 3000 ludzi [1]. Dziś archeolodzy przedstawiają to nieco inaczej: „Skala nie była prawdopodobnie nigdy przeznaczona dla Sacsayhuaman. Nigdy jej też nie transportowano, lecz znajduje się w tym samym miejscu od samego początku” [12].

Robi się idiotów z budowniczych Sacsayhuaman, twierdząc, że byli głupi czy szaleni. **Że** wykuli w skale schody, prowadzące z sufitu, schody, którymi nijak nie da się zejść ani wejść. **Że** wykuli, wedle tej kuriozalnej

interpretacji, niszę o płaszczyznach tak krzywych, że nie da się na nich postawić nawet kwiatów ku czci mieszkańców podziemi, nie mówiąc o posągu, do którego można by się w świętym miejscu pomodlić. Ci kretyni z trudem polerowali powierzchnie, drażyli zagłębienia, które nie były do niczego potrzebne.

Dla tych, którzy nie mogli sprawdzić na miejscu moich opisów, zamieszczam zdjęcia, zrobione latem 1980 roku kilkaset metrów od inkaskiej twierdzy. Dla tych, którzy odwiedzą Sacsayhuaman, znów zamieniam się w przewodnika:

Szanowni państwo, proszę stanąć w jednej trzeciej długości muru twierdzy i spojrzeć w jej kierunku. Dokładnie z tyłu będą państwo mieli rozpadliny w gruncie -proszę tam wejść, to nie jest niebezpieczne! Znajdą się państwo w niezwykle tajemniczym, podziemnym krajobrazie. Przed państwem leżą wysokie, gładkie kamienne pomniki historii z wystającymi gzymsami. Zaraz za rogiem znajdują państwo szerokie pasma schodów, nienagannie wycięte ze ściany skalnej. Skala jest lekko pochylona ku przodowi, w kilku miejscach dotyka ścian obok. Proszę sprawdzić. Nie jest to wcale budowla złożona z elementów, ale lita skała! Szorstka nie obrobiona naturalna skała zaczyna się dopiero nad obrobionymi powierzchniami. W pozycji, w której widzą państwo te obiekty, nigdy nie były do niczego przydatne. Proszę pobyc przez chwilę w tym zagadkowym pomieszczeniu. Założę się, że zaraz zacznie państwu świtać, iż skały poddane obróbce stały kiedyś wyżej, a w obecnej pozycji, na opak, znalazły się na skutek zdarzenia naturalnego, trzęsienia ziemi albo świadomego, na przykład eksplozji.

W sumie prowadzi to do takich samych wniosków, jak w przypadku Puma-Punku. Technika, stosowana kiedyś nad inkaską twierdzą, była nowocześniejsza, doskonalsza i potężniejsza od tej, za której pomocą wzniesiono cyklopowe mury inkaskie w Sacsayhuaman. A ponieważ mury te istniały, gdy Hiszpanie podbijali ten kraj, to obróbki skał, o której opowiadam, dokonano, zanim zbudowano twierdzę. Tak jak w Puma-Punku, musiał tu istnieć jakiś plan, ergo musiano znać pismo. Monumentalna budowla była większa od wszystkiego, co potrafili zbudować Inkowie i ich przodkowie.

Czy pracowali tu ci sami budowniczowie co w Puma-Punku? Czy muszę mówić, że legendy twierdzą, że bogowie sami zniszczyli swoje dzieło, gdy poznali niewdzięczność stworzonych przez siebie ludzi?

Zakończenie całej przygody było miłe i zabawne:

Po wyjaśnieniu pomyłki monachijskie małżeństwo przyrzekło mi, że jeszcze raz pojedzie do Cuzco. Podczas pisania tego rozdziału dostałem kartę pocztową. „To nie może być dzieło prostych Indian! Czemu nikt o tym .nie mówi?“, przeczytałem pod pozdrowieniami i podziękowaniem.

Ja o tym mówię. Ciągłe. Tak jak tu. Doradzam ponowne zbadanie tej sprawy.

U celu

Konferencja z pułkownikiem Chioinim i architektem Carlosem Millą zaczęła się, jak było umówione, w piątek 22 sierpnia, nieprzyjemnymi targami. Milla był człowiekiem uprzejmym, mówił tylko wtedy, kiedy go zapytano, miał chropowatą skórę na dłoniach, co świadczyło o tym, że pracy się nie boi, jeśli to konieczne.

- Wiedzą panowie, czego szukam? - włączyłem się bez ceregieli do rozmowy. - Proszę mi pokazać na mapie, gdzie znajdę tę „taśmę perforowaną”,

Carlos Milla odwrócił się, usłyszawszy moje obcesowe pytanie.

- *Si, si, señor*, wiem co do metra, gdzie to jest, mogę to panu dokładnie pokazać na mapie Peru...

- To niech mi pan pokaże! - zachęcałem.

Architekt zamknął oczy, potem je otworzył i popatrzył wyczekująco na pułkownika, który nerwowo bębnił palcami w marmurowy blat stolika. Z zakłopotaniem znamionującym gentlemana powiedział po angielsku:

- *I believe, he wants money!*

Nie powinno to być przeszkodą w kontynuowaniu ekspedycji. Od dawna jestem przyzwyczajony do płacenia za informacje. Jak najdyskretniej - w takich sytuacjach zawsze czuję się głupio - położyłem banknot pięćdziesięciodolarowy obok jego kieliszka z *isco-sour*.

- Proszę więc mi teraz powiedzieć, gdzie to jest.

Carlos Milla nie raczył zauważyć banknotu, chciał więcej. Żeby zdobyć te informacje, musiałem zapłacić, powiedział, poza tym chciał nam towarzyszyć, a więc nie może wtedy pracować.

- Ile to będzie kosztowało? - spytałem.

- Sześćset dolarów za trzy dni, plus dwieście dwadzieścia pięć za wynajęcie landrovera! - zażądał architekt, nie bojący się wielkich liczb. Nie lubię, kiedy ktoś chce mnie oskubać, poza tym czułem, że ten łebski gość zażąda niewątpliwie dalszych kwot w trakcie podróży. Wiedząc, że tajemnicza „taśma perforowana” istnieje i że w razie potrzeby uda nam się ją znaleźć bez Milli, zrobiłem pokerową zagrywkę:

- Nie musi pan z nami jechać. Dam panu dwieście dolarów!

Patrząc nań wyczekująco, wyjąłem z aktówki coś do pisania. Powinien się domyślić, że to moje ostatnie słowo. Pułkownik Chioini mówił coś bez przerwy do swojego znajomego, te targi były dlań równie nieprzyjemne jak dla mnie. Milla znów zamknął oczy - doskonały sposób zmylenia rozmówcy - otworzył je dopiero, gdy uznał, że lepsze dwieście dolarów w garści niż nic. Z lekkim zalem w głosie powiedział:

- Pańskie podziurawione pasmo ciągnie się znacznie dalej przez góry i doliny, niż to widać na starych zdjęciach w „National Geographic”. Najlepsze miejsce dla pana jest dwa kilometry za wsią Humay w dolinie Pisco. Proszę

dojechać do hacjendy Montesierpe. Za nią jest pas ziemi uprawnej trzystumetrowej szerokości, a nieco wyżej, na łysych wzgórzach, zobaczy pan swoją „taśmę perforowaną”!

Dobra informacja, jeśli to tylko prawda. Na mapie samochodowej dolina Pisco jest prostopadła do Panamericany, jednej z najcudowniejszych dróg świata. Zapłaciłem 200 dolarów i przyrzekłem Carlosowi Milli, że będę z nim nadal robił interesy, gdy tylko odkryję inne zagadkowe miejsca w Peru. Dla zainteresowanych podaję adres tego obeznanego w terenie człowieka: aren. Carlos Milla, Avenida Salaverry 674, Lima.

Zaraz po rozmowie zadzwoniłem do swojego znajomego, profesora dr. Jaiwiera Cabrery w Ica, które jest tylko 70 km od Pisco. Może Cabrera zna hacjendę Montesierpe, może będzie miał ochotę ze mną tam pojechać. Cabrera, nieortodoksyjny antropolog, od razu się zgodził. Umówiliśmy się następnego dnia na piątą po południu w muzeum w Ica.

Wynajętym datsunem jechałem do Ica dobre cztery godziny. Za Limą Panamericana przez 40 km jest prawdziwą autostradą, polem zwęża się do jednej nitki, biegnącej wybrzeżem, ale najczęściej przez pustynię. Chociaż odcinek prowadzący ku Pisco nad Oceanem Spokojnym znajduje się w strefie klimatycznej, w której normalnie rosłyby bujna roślinność, to tu jest nieco inaczej. Chłodny prąd Humboldta obniża temperaturę gorącego, rozgrzanego słońcem powietrza do tego stopnia, że rano i wieczorem trzeba się liczyć z mgłami. Ale że w wyższych, gorących partiach atmosfery wilgoć zanika, nie ma tu prawie opadów. Równie niegościnnie pejzaże oferują też dalsze odcinki cudownej trasy. Są tam wydmy, żwir, nieurodzajnej ziemi trzymają się wyschnięte, pozbawione korzeni pęki roślin, z których miejscowi układają na zboczach wzgórz napisy, jak wielkie hasła reklamowe.

Obrazy zmieniają się niespodziewanie: żyzne doliny pełne pól bawełny, z obu stron drogi plantacje owoców i trzciny cukrowej. Na skraju drogi Indianie sprzedają owoce, jarzyny, oczywiście *pisco*, ulubiony tu gatunek wódki, i wino w brzuchatych butelkach. Zaledwie zdażyłem się przyzwyczaić do widoku tych uroczych oaz, nastąpiła gwałtowna zmiana krajobrazu, jak cięcie w filmie krajoznawczym. Pojawiło się zapierające dech w piersi beznadziejne pustkowienie, kalejdoskop z morza, mgły, błękitnego nieba. Raz bezludna pustynia, raz obszary żyznej ziemi.

Z wielką prędkością przemykają tędy autobusy, w których odpoczywają turyści jadący do Nazca - w przeciagach klimatyzacji, których nie da się uniknąć. Zdrowiej byłoby trochę się spocic, ale ten przeklęty komfort to konieczność.

W muzeum w Ica gapią się na mnie dziwnie zdeformowane czaszki

Czekam na profesora Cabrere.

Z muzealnych gablot gapią się na mnie czaszki ludzkie wykopane ze starodawnych grobów w okolicach Ica. Czaszki te są zniekształcone. Deformacja zaczyna się w pobliżu skroni, czaszki przypominają odwłoki szerszeni, są wyciągnięte ku górze. Mają często objętość trzy razy większą od zwykłej czaszki.

W mądrych książkach można znaleźć wyjaśnienie tej potworności:

Inkascy kapłani wybierali bardzo młodych chłopców, obkładali im głowy wyściełanymi deseczkami. Przez zawiasy przeciągano sznurki, którymi powoli zmniejszano odległość między deseczkami. Kilkorgu dzieciom udało się zapewne przeżyć te niewysłowione tortury i dorosnąć, inaczej nie byłoby zdeformowanych męskich czaszek.

Widok tych potwornych głów, jak *Frankenteina* Mary Shelley, skłonił mnie do zadania sobie kilku pytań.

Po co i dlaczego robiono coś tak strasznego?

Co było inspiracją perwersyjnego pomysłu deformowania dziecięcych czaszek?

Czaszki takie nie są specjalnością Peru ani Ameryki Południowej, można je również znaleźć u Majów w Ameryce Środkowej, w północno-zachodnich regionach USA u Indian płaskogłowych (*flathead*) oraz w starożytnym Egipcie [13]. Wszystkie te ludy coś naśladowały, coś kopiowały.

Czy prawdą jest przypuszczenie - nikt nie był tego świadkiem - że osoby ze zdeformowanymi czaszkami były przeznaczone na kapłanów i arcykapłanów? Dlaczego? Czy głowy dzieci trzeba było zniekształcać tak, aby po osiągnięciu wieku dorosłego przypominały może głowy dawnych bogów? Czy kiedyś spotkano wzbudające respekt mądre istoty i teraz starano się do nich upodobnić, przynajmniej zewnątrz? Czy kapłani stosowali te barbarzyńskie metody, aby udawać, że pod maską ukształtowaną siłą kryje się wszechmoc zapożyczona od istot, które zniknęły? Czy kapłani chcieli się wyróżnić spośród zwykłych ludzi ogromnymi czaszkami, być niejako wybrańcami? To możliwe, bo deformacje przeprowadzano jakoby w tajemnicy.

Gdyby te podle świadectwa brutalnej przeszłości istniały tylko w obrębie *jednego* ludu, to może dałoby się jeszcze ustalić specyficzne, uwarunkowane religijnie powody takiego postępowania. Zwyczajnie te kultywowano jednak na obszarach bardzo od siebie odległych, na różnych kontynentach. Czy powodem dokonywania deformacji czaszek była chęć naśladowania wyglądu istot, które widziano, gdy przebywały wśród ludzi? Czy zniekształcone czaszki miały - przynajmniej wzrokowo - zachować coś z aury potężnych władców? Gdyby udało się odpowiedzieć twierdząco choćby na jedno z tych pytań, to czaszki te stałyby się znaczącymi wskazówkami co do wyglądu istot pozaziemskich, które dawno, bardzo dawno temu uszczęśliwiły naszych

przodków swoją obecnością.

Marsz wstążką perforowanej taśmy

Profesor Cabrera przerwał moje rozmyślenia powitalnym potokiem słów, typowym dla najgorętszego temperamentu południowca. Wypiliśmy *pisco-sour*, a ja pokazałem mu zdjęcia dziurawej wstęgi, przebiegającej przez jego ojczyznę. Nie wiedział o niej i zaczął powątpiewać w jej istnienie, gdy zapewniłem go, że ciągnie się przez wzniesienia i doliny zaledwie 100 km od Ica.

- W dolinie Pisco? Dobrze znam tę dolinę, wielokrotnie nad nią przelatywałem, znam też hacjendę Montesierpe. Ale nigdy nie widziałem tej dziwnej wstęgi - przyznał Cabrera.

Ja również byłem nastawiony sceptycznie, kiedy nazajutrz rano jechaliśmy Panamericana do Pisco. W trakcie jazdy przez Pisco mój żołądek zawsze się buntuje. Pisco śmierdzi. Nie znam miasta, wydzielającego taki fetor. W porcie cumuje flota rybacka. Miejscowe fabryki nie wytwarzają olejku różanego, ale śmierdzącą mączkę rybną. „Woń” Pisco, chmura pachnąca tranem, unosi się również nad drogą nadbrzeżną, przypominając mi czasy dzieciństwa, gdy matka wlewała we mnie tran wielką łyżką. Ze względu na zawarte w nim witaminy, niezbędne rosnącemu dziecku. Dziś dzieciom jest lepiej, witaminy są smaczne. Ale mączka rybna niezbędna jest jako pokarm dla drobiu, który zjada jej straszne ilości. Sprawia to, że zarówno jajka, jak i kurczaki śmierdzą rybą. Gdzie indziej w naszym tak cywilizowanym świecie apetyt na jedzone niegdyś tak chętnie kurczaki psuje mi myśl o drobiu hodowanym w „drobiarskich obozach koncentracyjnych”, tu sprawia to rybi smak drobiu.

Niebo było idealnie błękitne, taki dzień daje nadzieję na sukces. Cztery kilometry na północ od Pisco szutrowa droga odchodzi w dolinę Pisco do Humay, potem biegnie w górę, w kierunku Andów, do Castrovirreyna i Huancavelica. Tam, gdzie pola są nawadniane sztucznie, udają się owoce i jarzyny. Denerwujące jest każde przejście od pustyni do żyznych pól i odwrotnie. Skalne i piaskowe wzgórza wznoszą się po bokach krętej, wąskiej drogi.

Po przejechaniu 31 km mijamy miasteczko Humay, po dalszych pięciu minutach jazdy jesteśmy na plantacji Montesierpe. Skręcamy na dziedziniec wewnętrzny, który czasy świetności dawno ma już za sobą. Do dawnego dworku dobudowano jakieś chałupy, kościół ma zapadnięty dach, niewielkie rzeźby leżą na ziemi z głowami w błocie, na ścianach dworku i kościoła łuszczą się freski. Od czasów pierwszej reformy rolnej, przeprowadzonej za rządów socjalistycznych wojskowych, kiedy wypędzono właścicieli, niszczyło wszystko, co powinno być zachowane. Naprawia się tylko to, co najkonieczniejsze. Indianom powodzi się równie źle jak przed rewolucją. Niesprawiedliwy reżym obalono, następny, taki sam, przejął władzę, a szarzy ludzie cierpią nadal.

Wokół nas zgromadziły się opalone na brązowo dzieci o wielkich, ciemnych oczach, poubierane w za duże albo za małe koszule i spodnie, obszarpane, tak brudne, że aż godne politowania. Także tu rewolucja obiecywała nowy raj. Nic się nie zmieniło. Chodziło tylko o władzę.

Profesor Cabrera wszedł do domu, ja za nim. Pokazał zdjęcia jakiejś grubawej ma tronie, przedzającej owczą wełnę na kołowrotku. Obok niej piętrzyła się piramida pomarańczy, nad nią suszyły się na sznurku dziurawe, kolorowe koszule.

Podobnie jak matrona, Cabrera wyrzucał z siebie salwy słów, do których zrozumienia nie wystarczała moja skromna znajomość hiszpańskiego. Po chwili podszedł do mnie i powiedział, że matrona o niczym takim nie wie i że nigdy czegoś takiego nie widziała. Przypomniał mi się architekt Carlos Milla, który powiedział, że swój cel znajdzie zaledwie 300 m od hacjendy. Matrona, która bez wątpienia nigdy w życiu nie wyjeżdżała z tej miejscowości, musiała o tym wiedzieć!

Na podwórzu warczał wrak jakiegoś traktora. Cabrera pokłusował do dwóch mężczyzn przy pojeździe i poprosił o informacje. Stałem z boku, próbowałem odczytać z twarzy, o czym mówią i co myślą. Wreszcie jeden z traktorzystów skinął głową, chyba coś wiedział. Niewypowiedziane zmęczonym ruchem ręki wskazał na góry za hac-jendą. Nie czekając na to, co powie Cabrera, zdjąłem z ramienia aparaty fotograficzne.

Z tyłu hacjendy jest pas ziemi uprawnej, mający szerokość 250 m. Potem wąską ścieżką wspinamy się na pierwsze wzgórze, stajemy, rozglądamy się po okolicy, ale nie widać żadnej perforowanej wstęgi. Ciężko dysząc, idziemy dalej, słońce pali, jest duszno.

Robimy przerwę, siadamy. Światło jest jaskrawe. Słońce stoi niemal w zenicie, prawie nie ma cienia. Teraz mam problemy z oczami, często mnie bołą, nie znoszę jasnego światła. Myślę czasem, że winić za to należy właśnie tamto południe, kiedy ze wszystkich sił starałem się wypatrzeć w rażącym świetle jakieś zarysy, wskazówki, punkty oparcia dla wzroku. Wtedy oczy bołały mnie tak samo jak dziś, gdy siedzę przy biurku i piszę przy jasnym świetle lampy. Niekiedy linijki migocą, drżą jak te zbocza czy skraj pustyni, widziany ze wzgórza.

Ale czy wzrok mnie nie myli? W migocącym, iryzującym świetle od podłoża po drugiej stronie doliny odcina się czarne pasmo, czarny wąż, wijący się przez wzgórza. Nic nie powiedziałem, wziąłem teleobiektyw i sprawdziłem, czy to prawda. Zbliżenie potwierdziło to, co widziałem gołym okiem. Gdzieś w dali, z oparów, wylaniała się wstęga, biegnąca przez wzgórza i doliny, a kończąca na żyznych polach doliny Pisco. W myślach zrekonstruowałem ów twór. Przedłużenie pasma przechodzi chyba tu gdzieś w pobliżu. Podałem Cabrerze teleobiektyw i wskazałem, gdzie ma szukać. Ujrzał to, co ja. Nie myliłem się zatem.

Musieliśmy się wspiąć jeszcze trochę, żeby mieć większe pole widzenia. Doszliśmy do grzbietu wzgórza, z prawej i z lewej ujrzeliśmy suche doliny, jasność, drżenie powietrza nad ziemią. Wszędzie była ta jasność, nie pozwalająca podnieść wzroku. Potykaliśmy się. Potknąłem się o pierwszy otwór ciemnego pasma...

Od razu wiedziałem, że to właśnie to!

Profesor Cabrera, sceptyk, podrapał się po spoconej potylicy, popatrzył na ziemię, potem na mnie i powiedział:

- Erich, jesteście na miejscu!

Dziura, o którą się potknąłem, miała metr średnicy i tyleż głębokości. Zaraz obok była druga, trzecia i czwarta, same dziury, prawdziwa taśma perforowana, która od nas ciągnęła się gdzieś w nieskończoność. Podniosłem wzrok i popatrzyłem jej śladem. Znikała daleko w górach.

Byliśmy 500 metrów nad hacjendą, staliśmy przy pierwszym rzędzie otworów. Wszystkie dziury były puste, w środku leżało co najwyżej trochę żwiru. Po prostu były, dokładnie takie, jakie je kiedyś ujrzałem na starych zdjęciach: jakby ktoś odcisnął w ziemi wielkim wałkiem dokładny wzór. Szliśmy w górę zbocza wzdłuż pasma dziur jak znużeni wojownicy, byliśmy jednak szczęśliwi, bo dotarliśmy do celu.

Z każdym metrem otwory w ziemi się zmieniały. Rozmieszczone na jednej linii, były jednak coraz częściej obwiedzione kamieniami. Czasem kamienie, ułożone jeden na drugim, tworzyły niewielkie murki. Na grzbiecie góry już każdy otwór był otoczony murkiem. Nie kończące się szeregi otworów wiły się jak skóra jakiegoś dziwnego gada po stromiznie zbocza wznoszącego się nad doliną. Wyglądało, jakby okopali się tu indiańscy saperzy, jednocześnie, na rozkaz, jeden obok drugiego na szerokości 24 metrów. W każdym otworze mieścił się jeden człowiek,

Czy była to struktura obronna? To pierwsze pytanie, cisnące się na usta. Musiałaby to być wielka armia o bardzo szerokim, odkrytym skrzydle, przebiegającym przez doliny i wzniesienia. Przemawia to przeciw jakiegokolwiek rozsądnej strategii. Okopani żołnierze nie mogliby zaszkodzić wojskom agresora, bo byłiby ograniczeni szczupłością okopu. Przeciw hipotezie mówiącej, że jest to struktura obronna, przemawia również bieg pasma otworów. Gdyby biegło ono tylko przez szczyty i grzbiety wzgórz i gór, spełniałoby jeden warunek: od góry agresorzy, posuwający się wzdłuż gór - jeśli było tu coś do obrony - musieliby być widoczni, znaleźliby się w polu widzenia. Duże budowle obronne, jak inkaski mur w Peru czy słynny Chiński Mur, biegły grzbieciami gór. To logiczne. Średniowieczni rycerze zakładali zamki na szczytach gór, bo można było stamtąd wypatrzeć ewentualnych wrogów w dolinie. Tu nie ma to znaczenia. Pasma z otworami często przebiega w dolinach lub po zboczach gór. Jeśli otwory były jednoosobowymi bunkrami dla obrońców, to często znajdowały się poniżej _atakujących wojsk.

Jaki sens miały te setki, tysiące otworów w ziemi? Nigdy nie było tu gleby gliniastej, w której kopanie byłoby dziecinnie łatwe, grunt zawsze był suchy, kamienisty, twardy. Dlaczego pracowano tak mozolnie?

Ukucnęliśmy w dwóch sąsiednich otworach. Penetrowaliśmy wzrokiem wyższe partie zbocza, patrzyliśmy w dolinę, śledząc pasmo aż do miejsca, gdzie ginęło w jaskrawym, migocącym, gorącym świetle.

A może był to cmentarz? Byłby to jedyny na świecie cmentarz, mający otwarte groby. Miejsca pochówku legitymują się zawsze czymś, co świadczy o ich przeznaczeniu. Albo są to kamienie nagrobne, albo resztki zbiałych kości, albo przedmioty wkładane do grobu. Tu nie było nic, co mogłoby na to wskazywać.

Czy otwory oznaczały granicę obszaru wysokogórskiego? Nawet myśląc najprymitywniej, nakład pracy, konieczny do wykopania tych otworów, jest przerażający. Można to zrobić znacznie prościej: układając kamienie. Tylko czy granica taka biegłaby w dół po stromych zboczach dolin? Nawet dyktator, zadręczający poddanych taką pracą, zaakceptowałby jako elementy oznaczenia biegi rzek. Ale perforowane pasmo przebiega często wzdłuż nich, potem biegnie prosto, potem zakręca. Dziwna infrastruktura. Ale na pewno nie oznaczała granicy. Czym więc była?

Czy były to linie sygnałowe, wzdłuż których rozmieszczano jakieś znaki? Czy jest do pomyślenia, że w ciemne noce - w rocznicę urodzin władcy, kapłana - sto tysięcy Indian siedziało w otworach i na grzmiącą komendę zapalało pochodnie? Łańcuch świateł przypominający wspaniałość iluminacji Las Vegas? Och, do tego nie trzeba kopać dziur w ziemi. Wystarczyło, żeby Indianie stanęli w jednej linii.

A może były to - podobnie jak na Płaskowyżu Nazca, znajdującym się tylko o 180 km w linii prostej na południe - znaki, przekazywane bogom? Czy pasmo było zorientowane astronomicznie? Jak dotąd tego nie badano. O starych zdjęciach z „National Geographic” zapomniano, pasmo pełne dziur jest nie znane, nie wspomina o nim żadna praca. Nie jestem nawet pewien, czy te stare zdjęcia leżą jeszcze w jakichś zakurzonych archiwach. A może leżą - opatrzone numerami katalogowymi - i pewnego dnia zainspirują jakiegoś młodego archeologa, nie skażonego jeszcze rutyną, do pójsia śladem zagadki Andów. Mnie brakuje na to środków, koniecznych do sfinansowania prac badawczych. Ale przynajmniej przetarłem nieznanemu drogę. Nie musi szukać wszędzie, może się posłużyć moim opisem.

Na krótko przed moim wyjazdem z Ica profesor Cabrera dowiedział się, że miejscowi od wieków nazywają to pasmo *la avenida misteriosa de las picaduras de viruelas* > „zagadkowa droga dziobów po ospie”.

W istocie, droga to zagadkowa. Nie wiedząc, czym może być ów ślad przeszłości, biegnący przez wzniesienia i doliny, proszę o propozycje mogące wyjaśnić ten fenomen. Przeczytam z zainteresowaniem każdy inspirujący

list, który dotrze do mnie pod adresem: Beatenberg, Postfach CH-3803, Szwajcaria.
Zmierzch bogów?